



Kamila Kula
Piotr A.Kowalczyk

**Złotno, Zdrowie
i Osiedle
im. Montwiłła-
Mireckiego
w dokumentach
i wspomnieniach
mieszkańców**



Złotno, Zdrowie i osiedle
im. Montwiłła-Mireckiego
w dokumentach i wspomnieniach
mieszkańców

Kamila Kula
Piotr A. Kowalczyk

**Złotno, Zdrowie i Osiedle
im. Montwiłła-Mireckiego
w dokumentach i wspomnieniach
mieszkańców**

Spis treści

Wprowadzenie 7

① ZŁOTNO

Historia Złotna 15

Na peryferiach miasta 29

W szkole 36

Wywczas na Złotnie 42

Tramwajem do miasta 51

Do kościoła i po kościele 58

Cygańskie tabory 63

Huk na poligonie 66

Sąsiedzi i okupanci –

Niemcy na Złotnie 69

Stare Złotno – prawdziwa wieś
w mieście Łodzi 75

② ZDROWIE I MANIA

Na początku był las... 87

...A potem park 92

Eleganckie przedmieścia 109

Mania – od osady fabrycznej
do spokojnego osiedla 129

③ OSIEDLE IM. MONTWIŁŁA-MIRECKIEGO

Historia osiedla 149

Wysiedlenia i okupacja niemiecka 154

Życie na osiedlu 161

Osiedlowa bohema 169

Zbiornik gazu 172

Literatura 177

Podziękowania 179

WPROWADZENIE

Historia Łodzi wydaje się prosta do opowiedzenia, dopóki trzymać się ustalonych kanonów. Łatwo pisać o fabrykantach, o osadnictwie sukienniczym, o rzekach dających życie zakładom u świtu rewolucji przemysłowej i o ogromnych mechanicznych zakładach w epoce maszyny parowej. Łatwo opisać dynamiczny rozwój miasta, wytłumaczyć istotę podziału gruntów na pięknych mapach z odrysowanymi od liniiki ulicami, opowiedzieć o majątkach i fortunach, które tu powstawały, a także o wyzysku, którego brzemie popychało do buntu. Łatwo stworzyć wrażenie, że miasto, ten twór rozumu, to ucieleśnienie porządku, wyłoniło się z jakiegoś beładnego chaosu, że jego idea stanęła w poprzek dotychczasowym, tradycyjnym układom ziemskim, szlacheckim i mieszczańskim, że była czymś nowym i po nowemu zaplanowanym. W końcu po to osada Nowe Miasto w XIX wieku odcięła się od dawnych, średniowiecznych granic i wyznaczyła nowy punkt startowy w rozwoju Łodzi,

która rozlała się między dawnymi łanami wsi i liniami rzek pełnych młynów.

Ale kiedy dochodzi się do tego burzliwego etapu rozwoju miasta, do momentu w którym idealnie rozplanowane ogrody tkaczy zaczynają wypełniać się coraz gęstszą zabudową, a granice dawnych osad, takich jak Mania czy Wólka, robią się zbyt ciasne, opowieść komplikuje się. Pojawiają się takie zakłęcia jak „niekontrolowany rozwój zabudowy” i „chaos przestrzenny”, ale związane z nimi sprawy odchodzą na dalszy plan. Bo trzeba opowiedzieć o pałacach, willach, posiadłościach i parkach, o ludziach, którzy je tworzyli i o tych, których historia odstawiła na boczny tor. Ślizgamy się więc po tym, o czym trudno mówić składnie i ładnie – jesteśmy wobec tego bezradni jak ówczesne władze miasta, które nie potrafiły opanować dzikiego żywiołu inwestycji i nadać mu kierunku. W końcu dajemy sobie z tym spokój, wiedząc dobrze,

że cały ten nieporządek okazał się niezwykle twórczy i zbudował Łódź taką, jaką dziś znamy.

A jednak kiedy spoglądamy na mapę z siatką ulic, od razu narzuca się nam spostrzeżenie, że niegdyś peryferyjne tereny okalają dawny rdzeń miasta jak obwarzanek. Widzimy, że trudno myśleć o nich jak o zwykłym przedłużeniu szlachejnych koncepcji XIX-wiecznych planistów. Dostrzegamy niewidoczne na pierwszy rzut oka granice, których istnienia na co dzień raczej nie odczuwamy (może oprócz Kolei Obwodowej, ale w czasach wiaduktów to żadna bariera). Widzimy trakty sieradzkie, łęczyckie, piotrkowskie, pabianickie, lutomierskie czy brzezińskie, wyobrażamy sobie ich przebieg i to, jak wyrastały wzdłuż nich kolejne ośrodki rzemiosła i handlu. Przed oczami rysują nam się układy dawnych niw, pól i rozparcelowanych folwarków, dóbr szlacheckich rozrzuconych po tym, co naukowcy nazywają kluczem łódzkim. Zdajemy sobie sprawę, że obecne układy ulic i lokalizacje osiedli są nie tylko świadectwem historii rozwoju miasta, ale żywym śladem odcisniętym w jego tkance. Dowodem na to, że ten organizm żył, rozciągał się, pochłaniał kolejne połacie lasów, łąk, nieużytków i gruntów rolnych, tworząc

miejsce do pracy, mieszkania i odpoczynku. Okazuje się wtedy, że gdzieś tam zachowało się wspomnienie po tym burzliwym okresie rozwoju nie tylko miasta, ale i jego okolic.

Przedmieścia dawnej Łodzi były pełne tanich, słabo zagospodarowanych działek i niewykarczowanych lasów. W połowie XIX wieku, kiedy miasto zaczęło tracić kontrolę nad rozwojem zabudowy, były one miejscem powstawania wielu drobnych zakładów, hut, domów i magazynów. Ci, których nie było stać na miejskie grunty, budowali choćby na środku pola, samodzielnie wytyczając ścieżkę, która przeradzała się z czasem w drogę, a potem w ulicę. Ich kształt był często przypadkowy i wynikał tylko z wcześniejszego układu zagonów i pól. Wszystko zależało od właścicieli dworów i folwarków, którzy mogli grunt przeznaczyć, na co chcieli – zrobić z niego ulicę lub rozparcelować pod zabudowę. Tam, gdzie ta ostatnia była gęsta, tworzyły się zalążki przyszłych dzielnic, takich jak Bałuty. Tam, gdzie była rzadka, wszystko skupiało się wokół dóbr folwarcznych, jak w Radogoszczu. Dopiero uwłaszczenie chłopów i regulacja wsi przyniosły komasację gruntów, wyprostowanie i przedłużenie ulic siedliskowych czy uporządkowanie

układu pól. Ale rozrastania się podłódzkich przedmieść wcale to nie zatrzymało – wręcz przeciwnie, dało impuls do jeszcze szybszej urbanizacji. Tam, gdzie do tej pory uprawiano ziemię lub gdzie rosły ostatnie lasy prastarej Puszczy Łódzkiej, wprowadził się przemysł i usługi. A w konsekwencji – zabudowa mieszkaniowa, połączenia tramwajowe i wszystko to, co sprawiło, że trudno było spostrzec, gdzie kończy się „stara” Łódź, a zaczynają jej przyległości.

Kiedy po długim ociąganiu się włączono wreszcie rozległe peryferie w granice miasta, znów przypominano sobie o potrzebie planowania. „Dzika” urbanizacja osłabła, choć raczej za sprawą kryzysu ekonomicznego i utraty rynków zbytu w Rosji, bo obie te rzeczy hamowały rozwój gospodarczy. Ale to, co widzimy dziś, to nie tylko ślady po tej burzliwej epoce odcisnięte w przestrzeni jak zaschnięta pieczęć. To także wspomnienie wizji, które chciały sobie z tym chaosem radzić: zatrzymać samowolkę budowlaną i gruntową, nadać łódzkim peryferiom konkretne funkcje, wyposażyć je w infrastrukturę, ochronić przed dewastacją większe skupiska dzikiej przyrody. Z wysoko położonych Stoków do miasta miała płynąć woda pitna, zielone tereny Zdrowia miały

stać się rezerwuarem czystego powietrza niesionego zachodnim wiatrem, a na nowoczesnych osiedlach przy Bednarskiej i na Polesiu Konstantynowskim mieli zamieszkać robotnicy, urzędnicy i wojskowi. Uregulowane rzeki, linie tramwajowe i przelotowe drogi, osuszone mokradła i połacie miejskiego lasu przemienione w park – to wciąż widoczna spuścizna po tym, jak zmieniało się nasze miasto i jak osiągało obecny kształt.

Jednak małe historie tych miejsc bywały często zapomniane i ignorowane, traktowane jako przystawka. Ginęły w cieniu wyjątkowej architektury, opowieści o przemyśle i wpływowych rodach fabrykantów. Ginęły do tego stopnia, że zatarty się w świadomości i pamięci samych mieszkańców. Dopiero ostatnio odkrywamy je na nowo: trochę na fali renesansu tożsamości lokalnej i zainteresowania swoją okolicą, a trochę dlatego, że wszystko inne znamy już na wylot. I może trochę dziwnie nam z myślą, że spoglądając na mapę możemy się tylko domyślać, jaka historia wiąże się z tymi częściami obwarzanka, które nie zamieniły się w osiedla bloków z wielkiej płyty ani dzielnice fabryczno-magazynowe.

Miejsca takie, jak tętniące zielenią Zdrowie i osada Mania, zbudowane na resztkach osuszonych mokradła Złotno czy usytuowane pomiędzy nimi i nierozdzielnie z nimi związane osiedle Montwiłła-Mireckiego to właśnie żywe dowody na to, że Łódź już dawniej miała ambicje stania się miastem prawdziwie nowoczesnym. Takim, które nie poświęca całych zasobów przyrodniczych na potrzeby przemysłu. Takim, które tworzy oddalone od miejskiego zgiełku miejsca wypoczynku i rekreacji. Takim, które buduje prawdziwie wielkomiejskie osiedla według najlepszych wzorców architektonicznych i tworzy warunki do powstawania nie mniej ciekawej zabudowy jednorodzinnej.

Ta książka jest właśnie o tych miejscach. O tych żywych śladach odcisniętych w historii miasta. O relikwach dawnej puszczy rozlewających się między nowymi ulicami. O polach, domach, stawach, PGR-ach i fabrykach północno-zachodniej Łodzi. O szkołach, zakładach, mieszkaniach, sklepach, bibliotekach i osiedlowych podwórkach. O kinie, do którego schodziła się cała okolica. O tramwaju, który zapowiadał nadejście prawdziwej cywilizacji. O parku, który gdyby powstał według pierwotnych zamierzeń, byłby największym takim obiektem w ówczesnej Europie.

O poligonie, który był miejscem śmierci dziesiątek ludzkich istnień.

Ale same miejsca i ich pisana historia są niczym bez ludzi – jej jedynych świadków. To oni przeżywali tu swoje pierwsze dziecięce radości i dramaty, to oni byli zanurzeni w polsko-niemieckim tyglu zamieszkującym Zdrowie i Złotno, to oni cierpieli konsekwencje wysiedleń z osiedla Montwiłła, to oni wreszcie prowadzili tu swoje codzienne życie. Ich opowieści pomagają ożywić ducha miejsc dobrze znanych, a także tych, które zniknęły bezpowrotnie. Ich doświadczenia nie są doświadczeniami historyków, patrzących na dzieje z lotu ptaka. Ich spojrzenie przywraca ludzki wymiar suchym faktom. Jako antropolodzy z wykształcenia i pasji uważamy, że trudno opowiadać o miejscach, traktując zamieszkujących je ludzi jak nieruchomy element otoczenia. Dlatego wydobywamy z pamięci mieszkańców Zdrowia, Mani, Złotna czy osiedla Montwiłła-Mireckiego opowieści, które odnoszą się bezpośrednio do ich doświadczeń i do spraw, o których żadne źródła historyczne raczej nie wspomną.

O dawnych potańcówkach, cygańskich taborach, dobrych i złych Niemcach, żołnierzach konspiracji,

wysiedleńcach i kolaborantach, ale i o moczeniu nóg w brudnych ciekach, wycieczkach „do miasta”, życiu na wsi czy smaku ulubionych lodów opowiedzą nam sami świadkowie epoki. Z pewnością wielu z ich przyjaciół, znajomych i sąsiadów dostrzeże w tych opowieściach coś znajomego. Pozostali mogą potraktować opowieść o tym wycinku Łodzi jak zachętę, by ocalić od zapomnienia to, co niedługo przejdzie do historii.

Książka ma formę podobną do przewodnika. Układ rozdziałów, ich kolejność i objętość nie sugeruje, że jedno miejsce są ważniejsze lub mniej ważne od

drugich. Celowo nie wprowadzaliśmy też porządku alfabetycznego ani przestrzennego. Co prawda oddzielamy od siebie wyraźnie trzy osiedla administracyjne (Zdrowie-Mania, Złotno, Osiedle im. Józefa Montwiłła-Mireckiego), ale uważamy, że ich historie splatają się ze sobą, bo ludzie nie żyją tylko w obrębie sztucznie narzuconych im granic. Zachęcamy do spacerowania z książką w rękę i odkrywania ich na własną rękę.

Bo historia jest tuż obok, a my jesteśmy jej częścią.

Autorzy

Naszą podróż zaczynamy od miejsc, które składają się na dzisiejsze osiedle Złotno, liczące obecnie ponad siedem tysięcy mieszkańców. Żeby nie plątać się w historycznych zawłościach, postanowiliśmy potraktować aktualny podział administracyjny jako wiążący. Złotno to dla nas zatem wszystkie obszary, które współcześnie należą do osiedla o tej nazwie. Choć, jak postaramy się pokazać, ich historia wcale nie jest taka jednorodna. O takim, a nie innym podziale zdecydował w końcu bardziej pragmatyzm urzędnika niż wola mieszkańców albo zaszłości historyczne.

ZŁOTNO

HISTORIA ŻŁOTNA

Patrząc dziś na osiedla bloków otaczające historyczne centrum Łodzi, z trudem przyjmujemy do wiadomości, że większość z nich to tereny historycznych wsi. Po ich dawnej zabudowie nie został zwykle ani jeden ślad, a żywi świadkowie, którzy mogliby opowiedzieć o tym, jak żyło się w dawnej Dąbrowie, Chojnach czy Żabieńcu, są coraz trudniejsi do odnalezienia. Są jednak miejsca, których widok sam sugeruje, że miasto wdarło się tu dopiero niedawno – ot, choćby Mieszki, Wiskitno czy Łaskowice. Niektórzy mogą mieć też podobne odczucia przechadzając się pierwszy raz odległymi peryferiami Żłotna.

Oczywiście w tym przypadku wrażenie jest mylne: granice miasta „połknęły” ten obszar już kilka dekad temu, ale nie miało to większego wpływu na jego urbanizację. To jedna z tych dawnych wsi, które zamiast w blokowiska, zamieniły się w przedmieścia. Przedmieścia, których historia powstawania wiąże

się bezpośrednio z dawnymi uwarunkowaniami rozwoju Łodzi.

Dla jasności warto jednak zacząć od początku.

Choć wiadomo, że na terenach dzisiejszego Żłotna osadnictwo rozwijało się z pewnością od czasów neolitu, a ślady archeologiczne wskazują na obecność kultury ceramiki grzybowo-dołkowej na Nowym Żłotnie (3100–1600 p.n.e.), a także kultury pucharów lej-kowatych w późniejszej osadzie Cyganka (3700–1900 p.n.e.), nie wiemy zbyt wiele o ciągłości tych procesów. Wiemy też, że rozproszone osadnictwo istniało tu już w czasach wczesnośredniowiecznych, jednak o ulokowanej tu wsi można mówić dopiero w odniesieniu do przełomu XIV i XV wieku. Skąd o tym wiadomo? Kiedy jeszcze za czasów Łokietka kasztelanie zaczęły tracić dawne znaczenie, a w ich miejsce w epoce Ludwika Węgierskiego pojawiały

się coraz liczniej powiaty, zachodnie tereny dzisiejszej Łodzi znalazły się w powiecie łęczyckim. Przy poborze podatków uwzględniano podział powiatu na parafie, a wsie wchodzące w skład dzisiejszego osiedla Złotno wymieniono jako należące do parafii w Kazimierzu.

Już wtedy lasy Puszczy Łódzkiej musiały być poddane intensywnemu karczowaniu – Oskar Kossman twierdzi, że działo się tak od 1420 roku – można więc przypuszczać, że tutejsze osadnictwo nie było wcale tak rozproszone. Na jednym z takich karczowisk powstała dawniej wieś Żabice Wielkie, z gruntów której wydzielono wieś Złotna. Ulokowano ją w 1426 lub 1434 roku na prawie niemieckim – była to więc zwarta ulicówka, co do dziś widać w układzie gruntów dzisiejszego Starego Złotna. Właściciel wsi nadając nazwę „Złotna” chciał zapewne nawiązać do pobliskiej osady Srebrna i pokazać wyższość nad jej posiadaczem, choć co do tego nie mamy oczywiście pewności. Złotna była niewielką osadą, w czasach późniejszych należącą po części do Wojciecha Bełdowskiego. W drugiej połowie XV wieku pokrywała obszar 3 i ¼ łana i miała ośmiu mieszkańców, w tym jednego rzemieślnika. Stała tam karczma w której



1. Okolice Łodzi, lata 1802–1803

sprzedawano głównie piwo, a wiele zabudowań już wtedy opisano w rejestrach podatkowych jako opustoszałe.

Do tego samego Bełdowskiego należała też Jagodnica, o której pierwsza wzmianka pochodzi z 1576 roku. Według *Słownika Geograficznego Królestwa Polskiego* z 1880 roku nazwa wsi została nadana przez mazurskich osadników. Wieś w XVI wieku miała 5 łanów i podobnie jak Złotno była lokowana na prawie niemieckim, co można wnioskować po układzie pól.

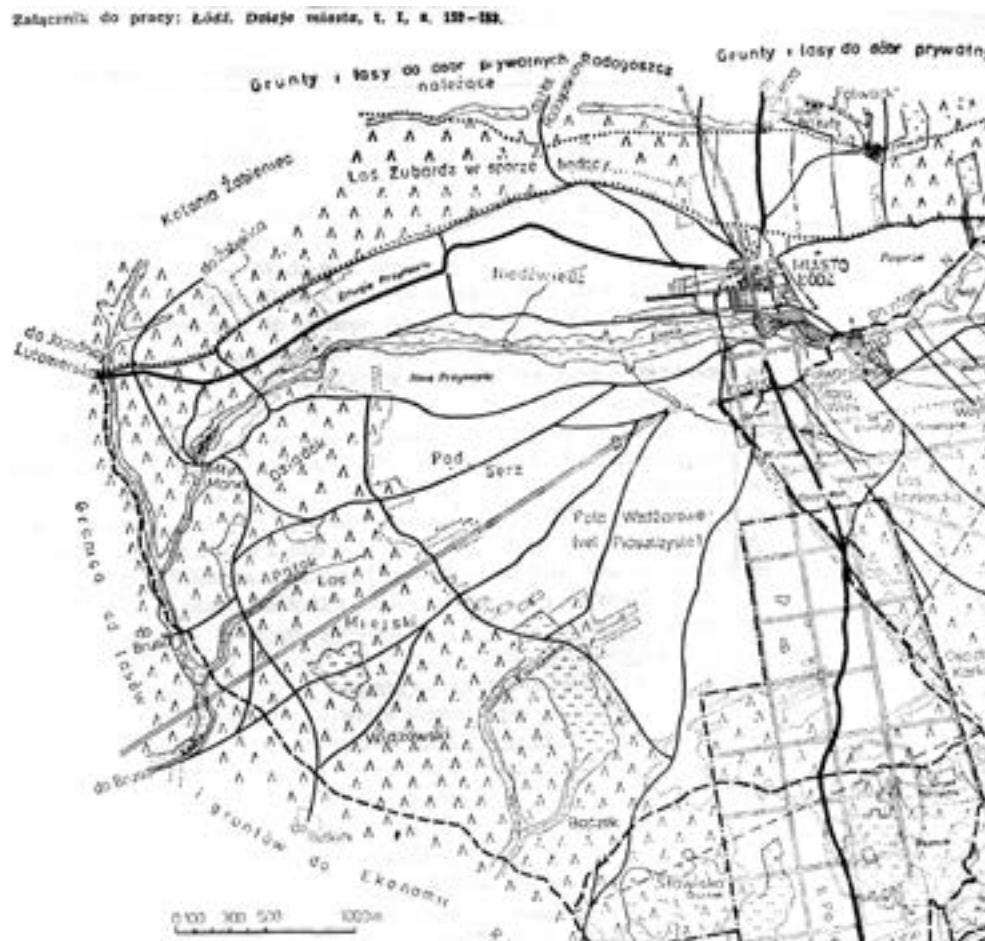
Obie osady w drugiej połowie XVII wieku należały już do właściciela Srebrnej (i to w tej wsi chłopci odrabiali pańszczyznę), ale w tym samym stuleciu kompletnie podupadły. Część ludności zginęła w trakcie potopu szwedzkiego, wiele domów strawił pożar, a spustoszenia dopełniły fale epidemii przechodzące przez Rzeczpospolitą. W Złotnej było tylko pięć zagrod i dwie opuszczone chałupy, a w Jagodnicy trzy zagrody i folwark. Folwark złotniański został wtedy zniszczony, a nowy powstał dopiero około 1750 roku. W okolicach lat 1782–1795 dobra obu tych wsi były traktowane łącznie, o czym świadczy pojawiająca się wtedy nazwa „Jagodnica Złotna”. Na wschodzie mniej więcej w tym samym czasie pojawiła się Cyganka – mała osada karczmarska, na której z czasem wyrosły domy wielorodzinne dla pracowników pobliskich fabryk Schmidta i Meyera.

Wcześniej, przed 1795 rokiem na dzisiejszym obszarze osiedla Złotno powstawały też kolonie olęderskie, często zwyczajowo zwane Holendrami: Holendry Rąbieńskie (Antoniew), Kałowskie (Grabieniec) i Radogoskie (Żabieniec). Wbrew nazwom nie zakładali ich już wtedy osadnicy holenderscy, lecz Niemcy i Polacy. Lokacja na tzw. prawie olęderskim była

wariacją na temat prawa niemieckiego, wymagała od osadników wykarczowania lasu lub osuszenia mokradeł i dawała w zamian przywilej wolności od pańszczyzny w zamian za czynsz lub inny rodzaj opłaty stałej. Podłódzkie Holendry powstawały na terenach leśnych: osadnicy karczowali pas lasu, który przydzielił im właściciel i tworzyli tam swoje gospodarstwo. Jak łatwo się domyślić, powstawała tam rozproszona zabudowa kolonijna, a grunty przylegały krótszą krawędzią do rzeki lub stawu.

Podłódzkie wsie na początku XIX wieku były rozproszonymi osadami wcinającymi się w krajobraz resztek pierwotnego lasu. Ziemie ulicówek takich jak Złotna i Jagodnica były mocno rozdrobnione, łąny były wąskie i bardzo długie. Podmokłe grunty po wschodniej stronie wsi były trudne w uprawie. Nie powstały tam żadne większe zakłady rzemieślnicze, a oprócz rolnictwa jedynym opłacalnym zajęciem był wyrąb drewna z resztek Puszczy Łódzkiej.

Kiedy jednak rozpoczął się *boom* na przemysł, dawna osada nad Łódką zaczęła się powiększać w szalonym tempie. Ceny ziemi na gruntach miejskich szły w górę, a w początkowej fazie bardzo precyzyjnie



2, Rekonstrukcja klucza łódzkiego wg Marka Kotera, stan na rok około 1820

zaplanowanego rozwoju Łodzi nie było ich wcale tak dużo: pierwsze parcele zajmowały duże ogrody tkaczy wytyczone równo co do metra i ograniczające rozwój zwartej zabudowy. W tej sytuacji nowi przybysze szukali tańszych ziem poza miastem, zwykle na podupadłych szlacheckich wsiach. Szybki rozwój miasta sprawił, że tereny podmiejskie karczowano coraz mocniej i zabudowywano je w sposób chaotyczny, bez stosowania się do norm – nawet do norm zdrowego rozsądku. Stawiano domy w środku pola, nie dbając o dojazd. Nowe drogi powstawały w śladach polnych ścieżek i często nie łączyły się ze sobą, a ich układ wynikał z układu zagonów lub dworskich pól (co widać czasem do dziś w krzywiźnie ich linii). Szerokość ulicy wyznaczała odległość między pierwszymi dwoma budynkami. Mógł się tam budować, kto chciał i kto miał choć trochę pieniędzy – stąd popularność tzw. biedadomków i drewnianych piętrowych czynszówek z jednoizbowymi mieszkaniami, nieodłącznym standardem od komory wiejskiej.

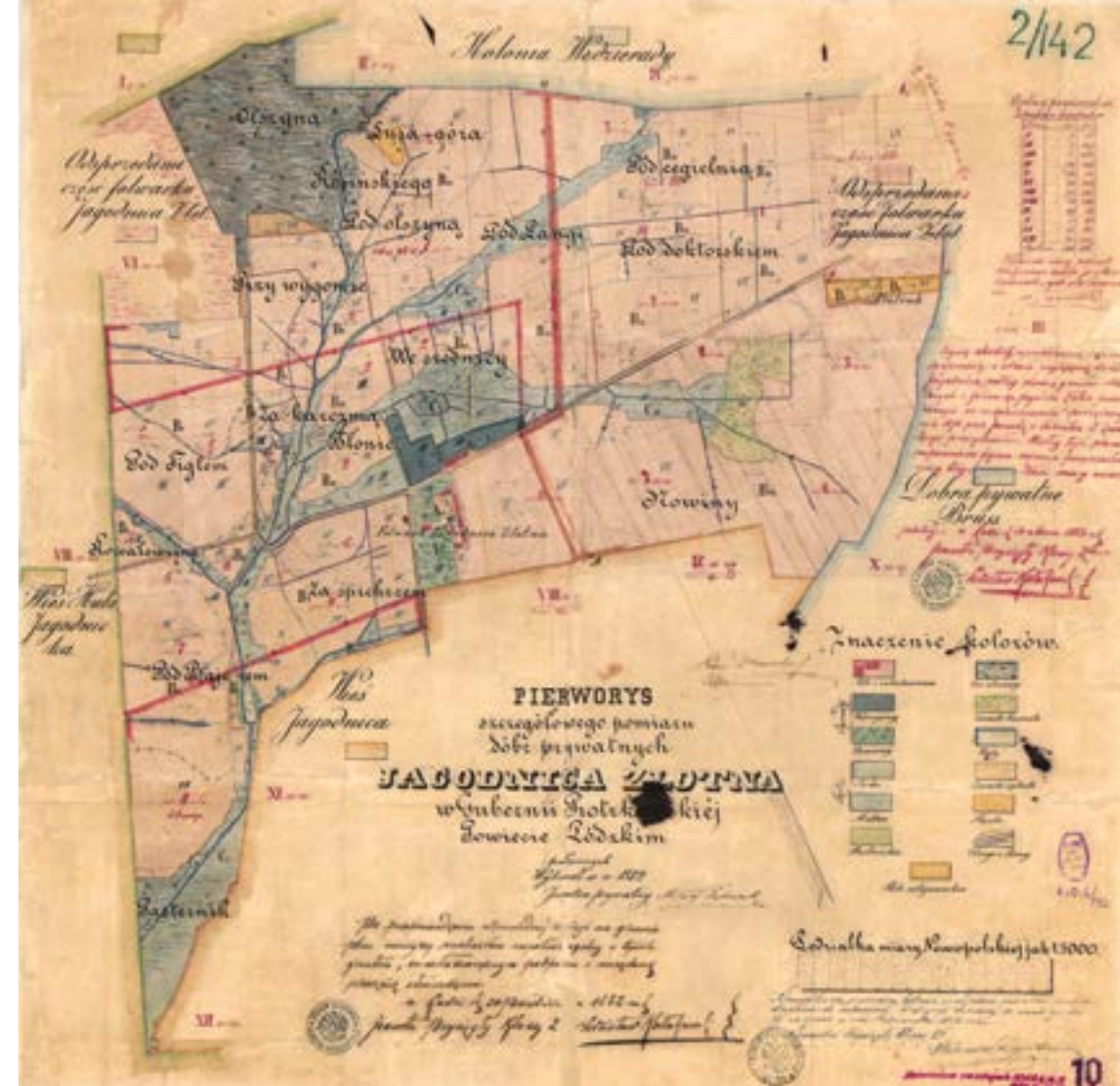
W okolicach folwarku Jagodnica (jeden dom i szesnastu mieszkańców na początku XIX wieku) zaczęły samorzutnie powstawać nowe osady kolonijne, należące ani do folwarków, ani do samych włościan.

Gdy rozparcelowano tamtejszy zadłużony majątek, z marszu pojawili się niemieccy kupcy chętni na ziemię bogate w piaski. XIX wiek to okres wzrostu popularności hutnictwa w związku z wynalezieniem techniki prasowania szkła. Drobnymi przedsiębiorcami, o nazwiskach takich jak Schmidt, Grünweald czy Petrych, zakładali huty w okolicach Łodzi. Jedną z nich powstała na ziemiach wykupionych przez niejakiego Stendla, na zachód od jagodnickiego majątku. Wokół zakładu zatrudniającego kilkudziesięciu robotników powstała mała kolonia z siedemnastoma domami, w których żyło 189 mieszkańców. Huta w Jagodnicy spłonęła w połowie XIX wieku. Drobnym przemysłem hutniczym rozwijał się szybko, ale równie szybko zaczął przegrywać konkurencję z włókiennictwem; atmosfera wśród właścicieli hut musiała się stawać coraz bardziej napięta, a każdy z nich z pewnością walczył o przejęcie rynku. Ostatecznie po zakładzie pozostała nazwa kolonii: Huta Jagodnica.

Nazwa „Złotno”, zamiast „Złotna”, funkcjonowała na pewno już w latach 20. XIX wieku. W rejestrze parafialnym pojawia się prywatna kolonia Jagodnica Złotno, która razem z majątkiem w Jagodnicy należała do parafii w Kazimierzu.

W 1864 roku w Królestwie Polskim zaczęły się reformy gruntowe związane z uwłaszczeniem chłopów. Nowe układy przestrzenne, które wtedy powstały, znacznie ułatwiły rozwój gospodarczy przedmieść Łodzi. W regulacjach tych chodziło przede wszystkim o to, by uporządkować kwestie własności i skomasować wszystkie grunty chłopskie nieprzylegające bezpośrednio do dóbr szlacheckich. Czasem w wyniku takich porządków burzono domy chłopów i rzemieślników, zwłaszcza jeśli w pobliżu były dwory, które starano się zachować. Granice nowych osad często nie pokrywały się z historycznymi: w przypadku Żółta wieś po regulacji pozostała na swoim miejscu, bo, tak samo jak Jagodnica, była zwykłym przedłużeniem gruntów folwarcznych. Regulacja nie zmieniła mocno układu wsi – wydłużono i wyprostowano tylko ulicę siedliskową, a zabudowa wróciła do typowo wiejskiego stanu rozproszenia. To samo zrobiono z Jagodnicą. W wyniku tych podziałów na wolnych terenach wykarczowanych wcześniej, tzw. leśnych odpadkach, powstały też osiedla podobne do kolonii, takie jak Zadraż (przy ul. Szczecińskiej), Odzierady (przy ul. Rąbieńskiej), a także Jagodnica-Nowiny (przy ul. Żółto). Część obecnego Starego Żółta wydzielona jeszcze z gruntów Srebrnej zmieniła się w osiedle Leonów.

W latach 80. XIX wieku dało się zauważyć większy napływ osadników niemieckich ze Śląska. Zabudowa okolicznych wsi gęstniała coraz mocniej: w 1882 roku w folwarku Jagodnica Żółta mieszkało już 72 mieszkańców w trzech domach, a w samej wsi było jeszcze 29 osadników. Dla porównania, w Odzieradach było ich tylko 3. Huta Jagodnica stała się zaściankiem zamieszkałym przez zubożałą szlachtę, a liczba jej mieszkańców nieznacznie spadła. Ze względu na coraz większe zapotrzebowanie na tanie grunty poza miastem, dochodziło do coraz częstszych parcelacji ziemi (za przykładem Bałut, które były już wtedy przeludnione). W starych wsiach było to jednak trudniejsze, ze względu na wąskie działki i niechęć chłopów przyzwyczajonych do dawnego podziału. Takiej parcelacji uległa Cyganka – całkiem spora osada z 290 mieszkańcami i trzema sklepami, Jagodnica, a także działki na wschodzie, które stały się w końcu Nowym Żółtnem. Na przełomie XIX i XX wieku te osiedla rozrastały się, a obok drewnianych chałup powstawały coraz częściej domy murowane, czynszowe kamienice, sklepy i zakłady rzemieślnicze. Krajobraz okolic Cyganki zaczynał przypominać podmiejskie tereny, a wśród mieszkańców nowych osiedli zdecydowanie dominowali Niemcy.



3. Plan dóbr Jagodnica Żółta z 1882 roku – folwark mieścił się w okolicy Starego Żółta



4. Przedwojenny
drewniany dom
przy ul. Złotno 11

W 1912 roku powołano jednoklasową szkołę powszechną. W 1913 roku powstała Ochotnicza Straż Pożarna w Nowym Złotnie. Podczas pierwszej wojny światowej Łódź znalazła się pod okupacją niemiecką, ale cesarsko-niemiecki zarząd cywilny nie interesował się zbyt zachodnimi rubieżami miasta, skupiając się raczej na powiększeniu Łodzi o tereny na południu i wschodzie. W 1917 roku mieszkańcy wyznania ewangelickiego dostali zgodę na utworzenie szkoły wyznaniowej, ale dopiero dwa lata później udało im się wybudować dla niej siedzibę przy ul. Przemysłowej (dziś ul. Zaporowa). W 1920 roku powstało kino „Sojusz” przy ul. Wysokiej (dziś Płatowcowa).

Wyzwolenie Polski przyniosło nowy podział administracyjny: w miejsce guberni piotrkowskiej pojawiło się województwo łódzkie, a na zachodnich peryferiach miasta utworzono w 1919 roku gminę Brus (najpierw z siedzibą w Łodzi, a od 1927 roku w majątku na Brusie). W jej rozległych granicach znalazło się sporo drobnych osad, rozciągających się od Lublinka po Teofilów. W 1920 roku znalazły się wśród nich także Stare i Nowe Złotno, Leonów, Odzierady, Cyganka i Jagodnica. Grabieniec i część dzisiejszego

Złotna (na północ od Rąbieńskiej) zostały włączone do gminy Radogoszcz. Wciąż pojawiały się tam nowe domy i drobne zakłady, a gmina rozpoczęła akcję zwiorowania dróg i regulacji rzek, takich jak Bałutka czy Jasieniec. Mniej więcej w tym czasie Garnizon Łódzki rozpoczyna ćwiczenia na poligonie, a właściwie strzelnicy wydzielonej z dawnego majątku Meyera w okolicach Brusa. W roku 1930 zakończono budowę kościoła im. Jana Chrzciciela, dając początek nowej parafii, a w 1938 roku powstała kolejna OSP, tym razem w Starym Złotnie. Lata 30. przyniosły pierwsze nieśmiałe pomysły dotyczące włączenia Cyganki i Nowego Złotna w granice Łodzi – stworzono plan regulacji tych osad i inwestycji w poprawę warunków sanitarnych, jednak nie wcielono go w życie.

Kiedy wojska niemieckie weszły do Łodzi w 1939 roku, mieszkańcy Złotna i okolic stali się obywatelami najpierw Generalnej Guberni, a w tydzień później – protektoratu Rzeszy zwanego Krajem Warty. Cały ten teren został przez nowe władze włączony w obręb miasta Litzmannstadt jako Karlshof. Niemców ze Złotna nakłoniono do podpisania volkslisty, niektórych Polaków wysiedlono z domów i wywłaszczono z ziemi. Mimo tego większość mieszkańców przeżyła



5. Gmina Brus

6. Złotno na planie Łodzi z 1937 roku



okupację i doczekała się wejścia wojsk radzieckich do Łodzi.

Po wojnie wszystkie dekrety okupanta zostały unieważnione – a więc i ten, na mocy którego Złotno i okolice stały się częścią miasta. Jednak nowe władze, na czele z prezydentem Kazimierzem Mijalem, postanowiły wrócić do przedwojennej idei uporządkowania podmiejskich obszarów. Czesław Gumkowski w tekście opublikowanym w „Dzienniku Zarządu Miejskiego” nazwał ją ideą „Wielkiej Łodzi”.

„*Myślenie i zabieganie wyłącznie o potrzeby chwili, o dzień dzisiejszy tylko, jest w gruncie rzeczy wyrazem nastawienia pesymistycznego, jest dowodem niewiary w przyszłość. Kogo atoli ożywia duch optymizmu, duch zaufania w swe siły i poczucie odpowiedzialności za dalsze losy, ten bez względu na aktualne troski przygotowuje trwałe i pewny grunt dla lepszego jutra. Z tego punktu widzenia przede wszystkim należy oceniać dzieło realizacji Wielkiej Łodzi. Nawet jeśli na razie przysporzy ono gospodarce miejskiej ciężarów i kłopotów, to jednak na dalszą metę zapewni miastu niewątpliwie rozległe korzyści w postaci zabezpieczenia prawidłowej rozbudowy nowych osiedli*

i ujęcia w zwartym, planowym całokształcie zagadnień tworzącego organiczną wspólnotę obszaru. (C. Gumkowski, *Wielka Łódź*, „Dziennik Zarządu Miejskiego w Łodzi” nr 6, 1945)

Częścią tego planu było włączenie do Łodzi w dniu 22 października 1945 roku osad i osiedli położonych po zachodniej stronie linii kolei kaliskiej. Przyłączono: Stare Złotno, Nowe Złotno, Leonów, Odzierady, kolonię Cyganka, kolonię Jagodnica Złotno (razem z placami i folwarkiem), a także Brus (wieś i majątek), Mikołajew, Grabieniec i część Antoniewa. Dawna gmina Brus została zniesiona, a większość jej terenu mieści się dziś w granicach administracyjnych osiedla Złotno (za wyjątkiem Grabieńca, podzielonego między Złotno i Teofilów).



7. Kiedyś ul. Akacyjowa w kolonii Żabieniec w gminie Radogoszcz, dziś ul. Bronowa w Łodzi

Staraniem społecznego komitetu w roku 1949 wybudowano linię tramwajową na Nowe Złotno z krańcówką na Cygance, jednak samo włączenie starych wsi w granice miasta i zapewnienie im lepszego dojazdu nie dało im niestety spodziewanego awansu cywilizacyjnego. Wciąż brakowało dostępu do kanalizacji i bieżącej wody, miasto nie spieszyło się też z remontami dróg (ul. Złotno była brukowana). Do późnych lat 60. nie było tu ulicznego oświetlenia. W latach 40. i 50. pojawiły się za to liczne sklepy, punkt lekarski i apteczny, poczta i komenda straży pożarnej. Przed 1950 rokiem funkcjonowała już szkoła podstawowa przy ul. Garnizonowej z oddziałem na Płatowcowej. Na rogu ulic Złotno i Spadochroniarzy stanęła też budka milicyjna, z której można było zadzwonić bezpośrednio na odległy posterunek albo zaalarmować dyżurnego milicjanta. Między 1956 a 1960 rokiem powstały też pierwsze nowe osiedla domków jednorodzinnych między ulicami Czołgistów i Tobruk, a później także na ul. Namiotowej. Od tamtej pory zabudowa Nowego Złotna i Cyganki zaczęła powoli tracić wiejski charakter.

W 1988 roku powiększono obszar osiedla, włączając w granice miasta Hutę Jagodnicę, część Antoniewa

i tereny po wschodniej stronie ul. Szczecińskiej. W latach 80. przestało działać kino „Sojusz”, a linię tramwajową ostatecznie zlikwidowano w 1992 roku. Rozwijające się dotąd Złotno stało się typowym zaniedbanym przedmieściem: nie inwestowano w remonty dróg ani w rozwój kultury, a kolejne puste działki wypełniała rozproszona zabudowa jednorodzinna. Dziś wciąż istnieją na Złotnie drogi utwardzane tłuczniem i żwirem, a poza sklepami wielkopowierzchniowymi i małymi zakładami nie pojawiają się tu większe inwestycje – może za wyjątkiem osiedli domków szeregowych na Starym Złotnie i bloków na obrzeżach Nowego Złotna.

Złotno może się jednak pochwalić zżytą i aktywną społecznością, która coraz silniej interesuje się sprawami bieżącymi osiedla oraz jego historią. Ciągłe żyją tradycje Ochotniczych Straży Pożarnych, kółka rolniczego i Koła Gospodyń Wiejskich, raz w roku odbywa się coraz popularniejsze Święto Złotna, a biblioteka przy ul. Garnizonowej animuje wiele ciekawych inicjatyw społecznych dla młodszych i starszych mieszkańców. Działa w niej klub brydżowy i Dyskusyjny Klub Książki, a w budynku należącym do przychodni spotykają się cyklicznie emeryci i renciści. Pasjonaci



8. Występ kataryniarza podczas Święta Złotna w 2017 roku



9. Święto Złotna w 2017 roku



lokalnej historii stworzyli stronę internetową Nasze Złotno, a działacze i miłośnicy osiedla – facebookowy profil Złotno Jest Fajne. Na terenach dawnej pętli tramwajowej powstał zaś kompleks „Złotnoraj”: boisko i plac zabaw wyposażone w nowoczesną infrastrukturę.

Ślady historii Złotna zacierają się jednak bardzo szybko: z roku na rok znika coraz więcej starych budynków, po wielu instytucjach, ludziach i miejscach pozostają już tylko opowieści. W książce często oddajemy głos mieszkańcom tych miejsc. Wiele wspomnień bazuje też na opowieściach i przekazach rodzinnych. Świadkowie dawniejszej historii odchodzą od nas coraz szybciej. Dlatego tak ważne jest, by uratować od zapomnienia to, co przetrwało jeszcze w dokumentach i w ludzkiej pamięci. Bo Złotno na zapomnienie z pewnością nie zasługuje.

10. Odchodząca
w przeszłość drewniana
zabudowa Złotna

NA PERYFERIACH MIASTA

Często mówi się, że tereny włączane do wielkich miast stają się po trosze ich ofiarami. Nierzadko to prawda. Szczególnie jeśli mówimy o czasach, w których polityka urbanistyczna bywała zwyczajnie niedopracowana.

Zamiary dawnych planistów łódzkich z początku XX wieku były ambitne. Zwłaszcza po pierwszej wojnie światowej, na fali entuzjazmu niepodległościowego, kreślono odważne wizje rozwoju miasta. Chciano wyposażać Łódź w prawdziwie nowoczesną infrastrukturę, zbudować osiedla robotnicze, rozwiązać problem bezrobocia, stworzyć miejsca rekreacji i wypoczynku, uregulować chaotycznie zabudowaną przestrzeń i nadać jej wielkomiejski charakter. Planowano ogromne inwestycje – dość powiedzieć, że sam park na Zdrowiu zaprojektowano jako dwa razy większy niż ten, który powstał do 1939 roku. Panowała wtedy fascynacja modernizmem nie tylko jako

stylem w architekturze, ale przede wszystkim jako nowym sposobem myślenia o mieście. Miało być ono organizmem racjonalnym, wzorowo uporządkowanym i zaspokajającym potrzeby mieszkańców. Pomagało w tym mocno prospołeczne nastawienie władz, wywodzących się często z szeregów socjalistycznych.

Rzeczywistość była jednak brutalna: kraj ledwie sklejoną z trzech organizmów państwowych i już na starcie zadłużony u europejskich mocarstw z trudem radził sobie z podstawowymi problemami, takimi jak analfabetyzm, epidemie chorób i nędza. Wielkie plany rozбивały się o realia globalnego kryzysu ekonomicznego i paraliżu władzy centralnej. Samorządy wielu miast starały się poprawić sytuację na własną rękę, ale często trafiały na opór instytucji państwowych. Na skutek polityki oszczędności i niechęci władz centralnych do tworzenia deficytów w budżetach, miasta były zmuszone do tego, by każdą inwestycję badać

pod kątem jej opłacalności. Większość z nich, nawet najbardziej potrzebnych społeczeństwu, musiała na siebie zarabiać. Z drugiej strony brak wsparcia socjalnego powodował, że ci, dla których te inwestycje czyniono, byli zbyt biedni, żeby z nich skorzystać. Dlatego większość działań inwestycyjnych podejmowano przede wszystkim w interesie obywateli z klasy średniej lub wyższej.

Łódź w latach 1914–1918 dotknęła potworna bieda wynikająca z polityki wojennej cesarskich Niemiec. Wyposażenie zakładów przemysłowych zostało rozkradzione i wywiezione w głąb kraju, gdzie wykorzystywano je do produkcji wojskowej. Po 1918 roku przemysłowcy musieli często zaczynać od zera. W dodatku na skutek wojny domowej w Rosji i rewolucji bolszewickiej stracili całkowicie dawny rynek zbytu na swoje produkty. Miasto nie było też oczkiem w głowie władz centralnych. Uznano, że priorytetem jest postawienie na nogi śląskich kopalni i kontrowersyjna akcja kolonizacyjna na Kresach, a „lokomotywa” kraju miały stać się tereny położone wzdłuż osi śląsko-warszawskiej i ośrodki centralnej Polski (wówczas: Radom i Lublin).

Łódzkie inwestycje nie znalazły się na liście flagowych projektów. Dlatego samorząd miasta musiał zadbać przede wszystkim o to, czym już dysponował. Niemcy przyłączyli w 1915 roku do Łodzi część Chojen i Bałuty, co okazało się i tak zbyt dużym ciężarem dla zdegradowanego i zbiedniałego miasta. Rozległe przedmieścia pełne podupadłych zakładów, drewnianych domów i czynszowych kamienic, pokryte w większości polami i mokradłami nie nadawały się do szybkiego „ucywilizowania” bez ponoszenia ogromnych kosztów. Pomimo tego, że część Cyganki i Nowego Złotna była względnie zurbanizowana, wielu mieszkańcom miasta ten obszar kojarzył się z wsią w środku lasu:

- ” Mój teść, Rudziński, kupił ten plac za 900 złotych i wybudował dom – był rachmistrzem w fabryce Scheiblera. I koledzy się śmiali, że to jakieś dzikie tereny. (Leszek Fecko)
- ” Wszystkie domy były drewniane. Mama mi mówiła, że najstarszy dom u nas to ten przy zakręcie Bronowej w stronę rzeczki. W tym najstarszym domu mieszkał człowiek, który, jak wspominała mama, miał konia.

Drugi stary dom jest w podwórzu kamienicy przy ul. Złotno, taki w pruskim stylu trochę. (Anna Lipińska)

Za utrzymanie tych terenów odpowiedzialna była biedna, rolnicza gmina Brus. Ogólne zacofanie i trudne warunki życia dawały się we znaki przede wszystkim mieszkańcom Starego Złotna, którzy musieli uprawiać rozdrobnione, pofolwarczne grunty:

- ” Bieda tu była, każdy tak żył, żeby tylko przeżyć. Po wojnie to już każdy się brał trochę za warzywa, czy ziemię sobie dobierał, i troszeczkę lżej było, bo gospodarstwa się powiększyły. Niektórzy gospodarze to konia na zimę sprzedawali, bo nie mieli za co go wykarmić, a na wiosnę jechał do Konstantynowa po kartofle, bo już nie miał co jeść. (Stefan Kwapisz)

Niektórym utkwiły też w pamięci obrazy skrajnej, przedwojennej nędzy:

- ” Moja mama wspominała, że jak pierwszy raz tu przyjechała jako dziecko, to jej się rzuciła w oczy taka dosyć tragiczna sprawa, która świadczy o tym, że tu była straszna nędza, bo siedziała koło latarni kobieta z tłumoczkami, z małymi dziećmi, bo była wyrzucona



11. Sklep przy ul. Złotno, lata 60.

z domu, po eksmisji. Siedziała na jakimś wózecku. (Anna Lipińska)

W raportach z wizytacji złotniańskich szkół raz z razem pojawiały się stwierdzenia o niedożywionych dzieciach. Oprócz tego pisano, że często chorują na gruźlicę. W czasie wojny, według mieszkanki Starego Złotna, dzieci małe umierały na dytertyt. Po wojnie jednym z istotniejszych problemów były wszy:

” Tu ludzie mieli po kilkoro dzieci, a niektórzy to i dziecięcioro, dzieci do szkoły boso przychodziły, wszawica była, była higienistka i dwa razy w tygodniu musiał być przegląd. (Stanisław Koprowski)

Mieszkańcom doskwierał brak opieki lekarskiej, zarówno przed, jak i w czasie wojny. Dopiero po wojnie przy ul. Złotno 29 powstał punkt apteczny, punkt lekarski przy Płatowcowej 7 i przychodnia na Podchorążych przy Zasiecznej. Wcześniej, zwłaszcza na wsi, radzono sobie inaczej:

” Ludzie do lekarza nie chodzili, jak już coś było to wsiadali na wóz i do znachorów jeździli. (Zofia Figiel)

” Nie było lekarzy, nie było czym leczyć. Na Zdrowiu jakaś znachorka była. Do dzieci, do porodów przyjeżdżała też taka pani Szczawińska, mówiło się na nią „babka”. Jak gdzieś się dziecko rodziło to przywoziło się „babkę” wozem. Wszystkie chyba dzieciaki tutaj odbierała. (Jadwiga Terpiał)

” Do mojego ojca, który miał astmę, przywoziłem z Wapiennej, z Kozin, Demczuka czy tam Dymczuka. Ruski to był, ale nie lekarz, tylko felczer. Wozem jechałem i go

przywoziłem. Bardzo zła opieka lekarska była przed wojną, kto miał pieniądze ten miał lekarza, a kto nie miał to mógł sobie umierać. (Stefan Kwapisz)

Po 1945 roku sytuacja nie zmieniła się od razu na lepsze. Z czasem skrajna bieda i brak opieki medycznej odeszły w niepamięć, ale włączone w granice miasta Złotno długo funkcjonowało raczej jak satelita Łodzi niż jak jej część. W zabudowie dominowały tam drewniane, ogrzewane piecami budynki, a każda zima była wyzwaniem dla instytucji publicznych takich jak szkoły:

” Jak było 30 stopni mrozu to nie chodziło się do szkoły. Jak zimą w piecach nie napalili to wszyscy w czapkach, szalikach siedzieliśmy, ręce grzaliśmy, atrament zamarał. (Stanisław Koprowski)

Główna ulica osiedla była brukowana, a większość dróg, takich jak ta na Starym Złotnie, nie została nawet utwardzona (inny mieszkaniec wspomina: droga była taka, że jak ktoś najął samochód na wesele to się w błocie ten samochód zatopił i trzeba było koniem wyciągać). Dopiero w latach 60. położono tam trylinę. Brakowało też wygod, które dziś wydają nam się oczywiste:

” Tą drogą między parkiem a osiedlem Mireckiego rano już jechały szeregi wozów z gnojownicą. Wybierali szamba, bo nie było kanalizacji tutaj. Mama wspominała, że od samego rana było słychać turkot tych beczkowsów po Złotnie. (Anna Lipińska)

” Jezdnia była brukowana, nie było kanalizacji, były tylko rowy, chodników też nie było. Były tylko pojedyncze lampy, ulice były ciemne, a za dziecka wydawało się, że do domu jest bardzo daleko. W naszym mieszkaniu światło było z kolei bardzo słabe. Na początku, jak taty jeszcze nie było, to mieliśmy lampę naftową i jak się miało lekcje odrabiać to był wielki raban, no bo jak coś czytać jak nie ma światła. (Jan Stawski)

” Ja chodziłam jeszcze do szkoły, brat mówił mi tak: będziemy mieli światło i będziemy mieli „kołchoźnik”. Lekcje wcześniej odrabialiśmy przy lampie naftowej, może to był rok 1953, mniej więcej wtedy. A kołchoźnik to było szczęście, była wreszcie jakaś rozrywka. (Jadwiga Terpiał)

„Cywilizacja” docierała tu oczywiście szybciej niż do wielu podłódzkich wsi: jej synonimami były z pewnością budowa linii tramwajowej z pętlą na Cygance



12. Kołchoźnik, czyli głośnik radiowęglowy GD-16,5/2

i elektryfikacja Złotna. Powojenny plan Wielkiej Łodzi został jednak zrealizowany przede wszystkim pod względem przestrzennym. Podnosząca się po wojennej hekatombie Polska nie była w stanie zaspokoić wszystkich potrzeb mieszkańców dużych miast i wsi. Dopiero w późniejszych latach rozpoczęto proces włączania kolejnych wsi w granice miasta pod budowę wielkich osiedli mieszkaniowych. Łódź wciąż



13. Ul. Złotno w latach 60.

nie była jednak dla władz państwowych priorytetowa: zwłaszcza w okresie pierwszego planu sześcioletniego, który po macoszemu potraktował potrzeby miast niezniszczonych przez wojnę.

Złotno na początku sprawiało wrażenie mocno zaniedbanego. Stosunkowo późno pojawiło się tam oświetlenie uliczne, poza budką milicyjną postawioną dopiero w 1958 roku nie funkcjonował też regularny posterunek – a przed epoką budki żeby zadzwonić po milicję trzeba było iść do budynku straży pożarnej. Przez wiele lat po wojnie funkcjonowały za to kuźnie (na ul. Złotno, Rowerowej, przy Płatowcowej...), co pokazywało jasno, że dla mieszkańców konie były przez długi czas środkiem transportu i pomocą przy pracy. W końcu pojawił się jednak np. urząd pocztowy przy ul. Złotno 74 i budynek Państwowej Straży Pożarnej przy ul. Czołgistów 66. Na połączenie autobusowe mieszkańcy czekali aż do roku 1983, kiedy w miejsce linii 79 pojawiła się podmiejska linia 259 jadąca ze skrzyżowania Biegunowej i Spadochroniarzy do Niesięcina przez Złotno i Hutę Jagodnicę. W latach

90. mocno rozwinęło się budownictwo jednorodzinne, które ostatecznie nadało Złotnu charakter podmiejski. Od tamtej pory nie powstały tam nowe budynki użyteczności publicznej, zlikwidowano linię tramwajową i urząd pocztowy, upadło też wiele dawnych zakładów i sklepów, a na ich miejsce pojawiły się drobne biznesy i supermarkety. Obecnie na Nowym Złotnie powstaje dość spore osiedle mieszkań deweloperskich, choć nawierzchnie niektórych ulic w jego pobliżu wciąż są pokryte trylinką lub tłuczniem.

W obliczu zmian, które dokonały się po transformacji ustrojowej, wielu mieszkańców lepiej wspomina jednak dawne czasy, zwłaszcza moment w którym na osiedlu można było znaleźć niemal wszystkie niezbędne usługi, czego często brakuje im dzisiaj:

» *Tu dzielnica była taka, że do miasta można było nie jechać. Tu było wszystko, Złotno było samowystarczalne – kościół, kino, straż pożarna ochotnicza i państwowa, sklepy rzeźnicze, piekarnie, masarnia, kowale byli, przychodnia była... (Andrzej Kujawa)*

W SZKOLE

Pierwsza szkoła podstawowa na dzisiejszym Złotnie powstała w 1912 roku i mieściła się w wynajętym budynku w Cygance. W 1913 roku, prawdopodobnie z inicjatywy gminy Rąbień, postanowiono wznieść niewielki budynek szkolny. Szkoła była jednoklasowa i nosiła numer 1. W 1917 roku powiększono ją o kolejny oddział, ale z czasem budynek okazał się za mały i trzeba było wynajmować pomieszczenia lekcyjne w domach prywatnych. Po 1919 roku, kiedy Złotno należało już do gminy Brus, dodawano stopniowo kolejne klasy (w 1928 były już trzy, w 1929 – sześć, a w 1931 – siedem), jednak problemy z budynkiem trwały niezmiennie aż do 1939 roku. Dyrekcja szkoły przenosiła izby lekcyjne do różnych lokali, w których można było stosunkowo tanio wynająć pomieszczenia. Szkole nr 1 pomagali w ten sposób m.in. fabrykant Adolf Schmidt i państwo Ciesielscy. Ostatnim dyrektorem „jedyńki” był Aleksy Norwiński, a ciało pedagogiczne liczyło wtedy dziesięciu nauczycieli

etatowych i dwóch płatnych od godzin. W szkole pod koniec jej istnienia uczyło się ponad siedmiuset uczniów z Cyganki, Nowego i Starego Złotna i wszystkich okolicznych wsi.

W sprawozdaniu z wizytacji z 1938 roku pisano:

„*Szkoła nr 1 znajduje się w fatalnych warunkach lokalowych. Izby lekcyjne rozrzucone są w różnych, dość daleko od siebie odległych miejscach przeważnie w budynkach wynajętych, zamieszkałych przez innych lokatorów, przyczem wejście dla lokatorów i dla dzieci szkolnych wspólne. Izby lekcyjne dość niskie, ciasne, z braku szatni płaszcze wiszą w klasach [...]. Izba lekcyjna przy ul. Orlicz-Dreszera zupełnie nie nadaje się na izbę lekcyjną i powinna być od nowego roku szkolnego zlikwidowana; wąska, ciasna, w domu zamieszkują liczni lokatorzy, podwórze maleńkie, pośrodku wykopany dół do lasowania wapna, wypełniony wodą*

nieprzykryty, ustęp fatalny, tylko 1 sedes, za ustępem odkryty dół z różnymi ściekami cuchnącymi. W klasie brak pieca, zimą wstawia się piecyk żelazny.

Dopiero w późnych latach 30. postanowiono wybudować stałą siedzibę dla szkoły przy ul. Żwirki (dziś Garnizonowa), co najprawdopodobniej udało się jeszcze latem 1939 roku, choć według sprawozdań budynek nie był w pełni wykończony i trudno powiedzieć, czy oddano go w całości do użytku. Do wynajmujących lokale rozesłano informację, że rezygnuje się z najmu i że szkoła przenosi się do nowej siedziby od 1 września. Niestety ten rok szkolny nie zaczął się zgodnie z planem...

Oprócz „jedyńki” istniała także przed wojną szkoła nr 2. Powstała w 1917 roku z inicjatywy parafii ewangelicko-augsburskiej w Konstantynowie jako szkoła wyznaniowa dla dzieci niemieckich, ale ze względu na realia gospodarki wojennej nawet Niemcy musieli wynajmować dla niej lokal. Dopiero dwa lata później kupili dla niej budynek na rogu ulic Rzewskiego i Przemysłowej (dziś – Złotno i Zaporowa). Po 1919 roku parafia uznała jednak, że nie da rady dłużej utrzymywać szkoły z własnych środków i zgodziła

się przekazać budynek z całym wyposażeniem gminie Brus. Tak powstała „dwójka”: mała, jednoklasowa szkoła, do której z początku uczęszczali tylko dzieci niemieckie, a później, z powodu kłopotów lokalowych szkoły nr 1, także polskie. Po ukończeniu pierwszej klasy niemieckie dzieci musiały uczyć się w polskich szkołach lub w szkołach wyznaniowych w Łodzi.

„*Kończyłem szkołę powszechną, chodziłem do kilku szkół, bo te szkoły porozrzucane były, i u Wernera, i na Cygance, na Wysokiej, dzisiaj Płatowcowej [...]. Na Nowym Złotnie było tak, że Niemcy mieli swoją szkołę. Dzisiaj to jest tam, gdzie jest sklep ogrodnicy, znaczy naprzeciwko. Przy ulicy Zaporowej [...] była szkoła niemiecka i tam się uczyliśmy, ja chodziłem też do tej szkoły kiedy nie było budynku. Pamiętam nauczycieli polskich, dużo z Polesia ich było: Cieślíkowa, Sokołowska, Stępnicki – kierownik z żoną, Nowakowski, Nowakowska. (Stefan Kwapisz)*

Szkoła miała tylko dwa oddziały i mieściła się w zaniedbanym budynku gminnym. Jedyne nauczyciel był przeładowany obowiązkami, dlatego wytrzymał na tej posadzie średnio około pięciu-sześciu lat.

Pierwsza pedagożka nauczwała w języku niemieckim, jednak zmieniło się to w roku 1924, kiedy do szkoły przysłano nauczyciela w charakterze „polonizatora”, który miał zaszcześcić w szkole urzędowy język i wzbudzić szacunek do polskiej kultury. W swoich wpisach do szkolnej kroniki zanotował, że „spotkał się z nieprzychylnym przyjęciem” z tego powodu – szczególnie pretensje miały dzieci o to, że uczył rachunków po polsku, zamiast po niemiecku. Nauczyciel nie ugiął się jednak pod ciężarem prośb rodziców i dzieci. Pisał za to, że dzięki jego działaniom niemieccy uczniowie coraz lepiej posługują się językiem polskim, który zresztą według niego całkiem dobrze znały, ale którego „złośliwie” nie chciały używać.

Historia szkoły nr 2 utrwalona w zapiskach nauczycieli to historia heroicznego wysiłku pedagogicznego (w pewnym momencie w placówce uczyło się ponad 120 dzieci), wyrabiania norm rzędu ponad trzydziestu godzin tygodniowo, a także walki z urzędem gminy Brus o każdą złotówkę na remont okna, naprawę dziurawego klepiska na korytarzu czy dostosowania malutkich izb na potrzeby dydaktyczne. Nauczyciel w latach 20. zanotował, że w „klasie” *pomieszczono trzy rzędy ławek dwuosobowych, aby uzyskać*

konieczną (minimalną) ilość miejsc. Zostało jedno jedyne przejście (zamiast czterech) i to o szerokości aż 45 cm. W dodatku ławki miały wmontowane poprzeczne drążki, co utrudniało wydostanie się ucznia na środek klasy. W takich warunkach trudno było też o utrzymanie dyscypliny, za co zwykle nauczycielom obrywało się w raportach z wizytacji, które wspominają o „niskiej karności” uczniów.

Zwyczajowo przez lata szkoła była uważana za „niemiecką”, choć formalnie była placówką państwową, a więc obowiązującym językiem nauczania był w niej polski. Tym niemniej na fali rodzącego się nazizmu w Niemczech próbowano wywrzeć nacisk na władze Łodzi, by w szkole na Nowym Złotnie znów uczono dzieci po niemiecku. „Lodzer Volkszeitung”, lokalny organ NSDAP, napisał w 1933 roku o „wielokrotnych skargach rodziców i opiekunów” na ówczesny stan rzeczy. Delegacja redakcji udała się do inspektora szkolnego powiatu łódzkiego, domagając się przywrócenia nauczania po niemiecku na podstawie prawa z 1919 roku. Redaktor Heike mówił powiatowemu inspektorowi Ochendalskiemu, że dyrekcja szkoły blokuje zwołanie zebrania w tej sprawie. Inspektor zbył delegację zapewnieniem, że przeprowadzi

śledztwo w tej sprawie. Polski pozostał językiem nauczania wszystkich przedmiotów – za wyjątkiem religii i zajęć z języka niemieckiego – aż do czasu drugiej wojny światowej.

„Dwójka” przestała istnieć prawdopodobnie jeszcze przed 1940 rokiem. Po 1945 roku większość niemieckich rodzin wyjechała ze Złotna.

Po wojnie szkoła nr 1, na skutek przyłączenia Złotna do Łodzi, zmieniła się w miejską szkołę podstawową numer 135. Pomimo oddania do użytku nowego budynku, nie został rozwiązany problem z miejscem na wszystkie sale lekcyjne. Dlatego dzieci zaliczały pierwszy rok nauki, a czasem nawet dwa, w budynku przy Płatowcowej 3, wybudowanym prawdopodobnie w czasie okupacji (w dokumentach niemieckich z 1940 roku budynek jest opisany jako drewniany i ma inny kształt, po wojnie był już ceglany). O tym, jak bardzo brakowało wolnych sal może świadczyć to, że biblioteka szkolna znajdowała się w osobnym budynku – w drewniaku przy Płatowcowej 6. W pełni wykończona szkoła na rogu ulic Garnizonowej i Biegunowej zaczęła działać w późnych latach 40.



14. Zakończenie roku szkolnego 1933/34 w Szkole nr 2 w Nowym Złotnie



15. Budynek
dawnej szkoły przy
ul. Płatowcowej 3

W 1961 roku zbudowano szkołę nr 169 przy ul. Napoleńskiej, ale w szkole nr 135 wciąż przez jakiś czas odbywały się lekcje, zanim ostatecznie zlikwidowano ją, a budynek przekazano na inne cele.

Szkola przy Garnizonowej gości we wspomnieniach większości starszych mieszkańców Żłotna. Niektórzy pamiętają same dobre rzeczy:

„Lecje w szkole trwały tak po cztery godziny dziennie, a w przerwach to nie pamiętam, czy po podwórku biegaliśmy, czy po ulicy. [...] Z drugiej strony było boisko, w piłkę, w siatkówkę można było grać. Ten plac był bardzo duży, nie było ogrodzenia, i pamiętam, że pani woźna wychodziła i wszyscy biegli, ile tam sił w nogach, żeby zdążyć na lekcje. Co do nauczycieli to pamiętam pana Odrzywolskiego, który prowadził zajęcia właśnie z chemii. [...] Biologii uczył pan Kaczmarek, lubiłem robić preparaty pod mikroskop, prowadziłem też ogródek szkolny – sałata, buraczki rosły. (Jan Stawski)

Niektórzy raczej te złe:

„Podłogi były drewniane, ordynarne grube dechy, smarowane pyłochłonek, stały wielkie pochyłe drewniane

ławy z kałamarzami. Budynek ponury, szary, betonowy, tak samo w środku. Klasy były duże, bo nas było 40 uczniów. Siedzieliśmy ściśnięci w klasie. Był za to kolorowy ogródek, w którym mieliśmy lekcje przyrody, gdzie sialiśmy kwiatki, buraczki, marchewki. Toaleta była na dworze. Zimą trudno było dojść do szkoły, bo nikt ulic nie odśnieżał. Pamiętam, że WF był na dworze, i latem, i zimą. (Jolanta Cała)

Ale nie można się przecież dawać ponosić powadze, zwłaszcza w tego typu wspomnieniach. W końcu dzieciom nie tylko nauka w głowie:

„Kradło się czasami dzwonek i woźna, pani Kaźmierczakowa, chodziła i pukała miotłą i szufelką i krzyczała „dzieci, dzwonek”. (Adam Pruk)

„Sypało się proszek do kałamarza, wyganiaли wszystkich do domu i potem było śledztwo, kto to zrobił, a ja miałem proszek pod kałamarzem i siedziałem spokojnie. (Stanisław Koprowski)

„Robiliśmy też „kopciuchy”. Koło szkoły był magazyn i tam taśmy filmowe były i podpalało się. (Andrzej Kujawa)

WYW CZAS NA ZŁOTNIE

Pomimo tego, że Złotno nie było z pewnością najlepiej zadbaną ani doinwestowaną częścią miasta, nie brakowało tam rozrywek dla jego mieszkańców, które uchowały się jeszcze od czasów przedwojennych. Żyta społeczność potrafiła sama zorganizować sobie wypoczynek w wolnym czasie, angażując się w różne wspólne inicjatywy. Na wyciągnięcie ręki były również park na Zdrowiu i ZOO, ale nie znaczy to, że na samym Złotnie było nudno. Wręcz przeciwnie.

Nad wodą

Ludwik Meyer oprócz fabryki na Mani był właścicielem różnych gruntów należących do folwarku Brus. Grunty te znajdowały się na wschód od Starego Złotna i na południe od wsi Jagodnica i do dziś nazywane są „Majerką”. Podmokły nieużytek nie nadawał się

pod uprawę, za to mieścił się na nim całkiem spory zbiornik wodny, który najprawdopodobniej sam Meyer kazał wzmocnić i zamienić na staw rybny.

O ile Stare Złotno i jego okolice obfitowały w dobre ziemie, o tyle grunty na Nowym Złotnie i Cygance były wtedy koszmarnie wilgotne. Starsi mieszkańcy dobrze pamiętają stojącą gdzieś w wodę, choć było to już po regulacji Bałutki. Nawet na pętli tramwajowej jeszcze w latach 70. można było spotkać roślinność typową dla szuwarów. Nic dziwnego, że na prywatnych posesjach było sporo stawów rybnych, a tu i ówdzie wybijały niewielkie jeziorka:

„Tu był bardzo bagnisty, mokry teren. Każde prawie gospodarstwo miało swój staw, gdzie hodowano ryby. Płynęła tu taka struga, którą potem skierowano do kanału, ale wcześniej ta rzeczka rozlewała się i tworzyła zakola. (Andrzej Kujawa)

„Rozrywką rodziny było też jeżdżenie na grzyby na Rąbień, wszyscy na rowerach tam jeździli, a wiosną z kolei na rąbieńskie mokradła po kaczeńce, i to był taki zwyczaj od lat, póki nie zmeliorowali tych pól. (Jolanta Cała)

„Było dużo stawów. Na końcu naszej ulicy, przy samej Krakowskiej, róg Krakowskiej i Rowerowej, mieszkała pani Agasowa, która miała krowy. Te krowy przychodziły pić nad staw, dawniej nazywany stawem u Żyda, a my wieczorem braliśmy banieczkę i do pani Agasowej po mleko szliśmy. Babcia robiła z tego mleka ser i masło. Latem szło się oczywiście kąpać w tym stawie. (Jolanta Cała)

Zbiornik „na Majerce”, nazywany też Stawem Majerowskim, był jednak ogromny. Można było się w nim kąpać i pływać po nim łódkami, a zimą jeździć na łyżwach. Mieszkańcy wspominają, że staw był głęboki i że młodsze dzieci raczej bały się w nim zanurzać. Nikt nie prowadził tam wtedy wypożyczalni sprzętu wodnego ani działalności rekreacyjnej. Trzeba było mieć własną łódkę czy łyżwy.

„Były tam łódki, kajakami ludzie pływali. Jak byłam dzieckiem to było tak, że każdy miał swoją łódkę, bo takie do wypożyczenia były w parku. (Honorata Malicka)

Przy stawie albo na mokradłach na Starym Złotnie urządzano też zabawy z muzyką na żywo podczas Nocy Świętojańskiej:

„Robiło się noce świętojańskie, ale nie nad wodą, tylko tam w polach, na samym końcu, chłopaki opony zbierały cały rok, żeby potem palić, na akordeonie grali, oranżada się lała... Ognisko ogromne się paliło, tam gdzie było podmokło, żeby się nic nie zajęło. Czasami to były takie zabawy, że chłopaki brały na kije te opony i rzucały gdzieś daleko, a potem się snopek zapalił, albo kupka siana. (Ilona Wojdyga)

„Była zawsze wielka impreza w wigilię św. Jana, było puszczenie wianków, zarówno na stawie u Żyda, jak i na Majerce. Chłopcy cały dzień znosili z lasu drewno, paliło się ogromne ognisko. Wszyscy mieszkańcy, akordeon do wszystkiego przygrywał albo patefon na korbkę. Na Majerkę chodziło się z rodzicami, bo było głęboko, nie tak płytko jak u Żyda. (Jolanta Cała)



16. Niemieckie zdjęcie lotnicze z czasów II wojny światowej – po lewej stronie widoczny Staw Majerowski

Staw „u Żyda” był nazywany też stawem u Bigla lub u Bibla – jego właściciel miał przed wojną działkę między ulicami Cyganka a Rowerową, ale nie jest do końca jasne, kim był i jak się naprawdę nazywał. Jeśli rzeczywiście był Żydem, musiał być jedynym przedstawicielem swojego narodu na Nowym Złotnie, bo raporty przedkładane władzom z czasów okupacji niemieckiej mówiły, że we wskazanych wsiach mieszkał tylko jeden Żyd (niestety nie wymieniają go z imienia ani nazwiska). Według jednej mieszkanki staw ten był *takim ośrodkiem wręcz kulturalnym*, gdzie zbierały się dzieci i „młodsza młodzież”, żeby popluskąć się w wodzie albo poślizgać na lodowej tafli. Na Starym Złotnie nie trzeba było nawet iść na staw:

- ” Tu płynie rzeka Jasieniec, rozlewała się wtedy bo nie była uregulowana, więc jak wylała jesienią na łąki to zimą było lodowisko. (Zofia Figiel)
- ” Frajda była, na łyżwy się chodziło. W trepkach – łyżwy były przypięte do trepków i brat na jednej łyżwie się ślizgał, a ja na drugiej, bo nie stać było na dwie pary łyżew. (Jadwiga Terpiał)

Na „Majerkę” chodziło się zresztą nie tylko dla zabawy, ale po chwilę wytchnienia i dla przyjemności płynącej z obcowania z przyrodą. Dawniej staw porastały trzciny i pałki szerokolistne, wśród których schronienie znajdowały ptaki takie jak słonki, trzciniaki, kokoszki (tzw. kurki wodne), bąki czy remizy, nie mówiąc już o różnego rodzaju kaczkach i zlatujących się na tzw. sejmiki bocianach. Jeden z mieszkańców wspomina, że jak był czas sejmików, to było tych ptaków pełno, aż się dusza radowała. Zapadły mu w pamięć także polujące rybitwy, a przyrodnicy wspominają, że w okolicach stawu w późniejszych latach łatwo było o bataliony. Oprócz tego bez problemu można było zauważyć żaby moczarowe, których samce w okresie godowym zmieniają kolor skóry na niebieski:

- ” Tam moi rodzice widzieli niebieskie żaby. Moja mama wspominała, że tutaj u nas było słychać rechot żab ze stawów na Majerce. (Anna Lipińska)

Jednak intensywne melioracje całej okolicy nie przysłużyły się zbiornikom wodnym. Zdecydowana większość wyschła lub została zasypana przez właścicieli działek. Ostatnimi zachowanymi w przyzwoitym

stanie relikdami terenów podmokłych są rąbieńskie torfowiska, zaś „Majerka” przekształciła się w mokradło. Obecnie cenne gatunki owadów i ptaków chroni użytek ekologiczny „Majerowskie Błota” o powierzchni 6,1 ha, lecz z roku na rok jego teren wysycha na skutek spadku poziomu wód gruntowych i rozjeżdżania dna przez motocykle i quady. Rada Osiedla Żłotno zabiega o przywrócenie stawu do pierwotnego stanu. Oprócz niego istnieje jeszcze użytek „Majerowskie Pola”.

W kinie

Przy ul. Wysokiej 6 (dziś Płatowcowa) na parterze niewielkiej, czynszowej kamienicy w 1920 roku powstało kino „Sojusz”. Jego właścicielem był Stefan Ciesielski, posiadacz kilku nieruchomości na Żłotnie. W 1947 roku nowe władze miasta znacjonalizowały budynek i wprowadziły lokatorów do części pomieszczeń, ale jednocześnie pozwoliły Ciesielskiemu objąć stanowisko kierownika kina. Warunki, w jakich mieszkańcy Żłotna oglądali filmy, były spartańskie i nie zmieniły się z nadto na przestrzeni lat. Po remoncie kina w latach 50. były tam 174 miejsca na drewnianych

krzesłach i niewielki ekran – o wiele za mało dla zgłodniałych rozrywki mieszkańców Żłotna, Zdrowia i osiedla im. Montwiłła-Mireckiego.

„Chodziło się oczywiście do kina na Nowym Żłotnie. Już w południe ktoś szedł kupować bilety, kolejki takie były, bo tu nie było innego kina przecież. W południe jeden szedł, kupił biletów z dziesięć czy ileś. Nie pamiętam już jakie to filmy były, ale to była cała nasza rozkosz pójść do kina. (Jadwiga Terpiał)

„Sojusz” był dla wielu mieszkańców małym oknem na świat. Oczywiście tramwajem można było dojechać do lepszych kin w mieście, ale tutejszy repertuar wcale nie należał do monotonnego. Oprócz poranków dla dzieci i kronik filmowych można było zobaczyć większość krajowych nowości i sporo filmów zagranicznych.

„Bardzo dużo było filmów radzieckich, ale też włoskich, francuskich, niemieckie się trafiały. Pamiętam, że był film „Przygoda na Morzu Czerwonym” i to był film kolorowy, co było dużym wydarzeniem, ludzie szli jak w dym. Były też wyświetlane kroniki filmowe, miałem kolegów, którzy specjalnie chodzili na te kroniki, bo to



17. Klucze do nieistniejącego już kina „Sojusz”

były wiadomości ze świata. Pamiętam, jak pokazywali, jak gra mistrz świata w warcaby. (Jan Stawski)

„Tam w środku było dość prymitywnie, sala była mała. Wyświetlali filmy, bodajże, z jednej kamery, więc były przerwy, zapalali światło, trzeba było czekać aż przewiną następną rolę i dopiero puszczały dalej. Filmy były wszystkie te co chodziły. Ludzie chodzili tłumnie do kina, bo to była jedyna rozrywka. (Anna Lipińska)

W książce Anny Michalskiej, Michała Kolińskiego i Piotra Kuleszy „Łódzkie kino. Od Bałtyku do Tatr” znalazły się wspomnienia Andrzeja Zaręby, dawnego kinooperatora – trochę mniej entuzjastyczne:

„To kino to był dla nas Sybir. Personel trafiał tu, gdy podpadł kierownictwu, głównie za picie w pracy. Kole-dzy, którzy tam pracowali, opowiadali jak ważne było, by żyć w zgodzie z miejscowymi, nie mieć kłopotów, po wyświetleniu kroniki, gdy tylko rozpoczynała się projekcja filmu, zbiegali z kabiny projekcyjnej, żeby otworzyć drzwi i wpuścić – bez biletu – oczekujących tam, skorych do bijatyki młodzieńców. (Anna Michalska, Michał Koliński, Piotr Kulesza, Łódzkie kino. Od Bałtyku do Tatr, s. 108)

Mieszkańcy potwierdzają, że starcia na pięści w kolejce po bilety jak najbardziej się zdarzały, ale większość z nich traktowała to jako coś normalnego. Kto miał znajomości, biletu nie potrzebował:

„*Chodziliśmy tam na poranki, za złoty trzydzieści pięć, a jak nie było pieniędzy to nasz kolega, który był synem kierownika, wpuszczał nas od tyłu na salę. Pamiętam, że były tam czerwone zasłony.* (Andrzej Kujawa)

Niestety niedofinansowany i zaniedbany „Sojusz” powoli tracił zainteresowanie mieszkańców. Na początku lat 80. miasto postanowiło go zamknąć i umieścić tam magazyny Wojskowego Przedsiębiorstwa Gastronomiczno-Handlowego Konsumy. W roku 1994 budynek przeszedł w ręce nowych właścicieli, którzy otworzyli tu drukarnię, nawiązując do przeszłości tego miejsca.

Na zabawie

W niedzielę albo w święta można było wybrać się z rodziną do parku albo do ZOO, ale najpopularniejszą rozrywką pozostawały różnej maści zabawy

i potańcówki. Przed wojną organizowały je przede wszystkim Ochotnicze Straże Pożarne (zarówno z Nowego, jak i Starego Złotna) albo sami mieszkańcy pod gołym niebem. Oprócz wspomnianych już Nocy Świętojańskich jednym z ulubionych świąt były oczywiście Ostatki. Tadeusz Gicgier zanotował na Starym Złotnie:

„*Zdarzały się wesela, chrzciny, dożynki, przedstawienia, które organizował brat wuja, Tadek, robił próby z muzyką i śpiewami, dopóki się nie ożenił. W maju chodziliśmy pod kaplicę i śpiewaliśmy pieśni maryjne, a potem wiadomo, szło się z chłopakiem pospacerować, w pole lub do lasu. Młodzi zawsze przebierali się na ostatki, a to za niedźwiedzia ubranego w słomę i przewiązanego powrósem, a to za śmierć, za diabła. Nazbierali prowiantów i pieniędzy, a potem wynajmowali jakieś mieszkanie i urządzali sobie zabawę. No bo sali tu żadnej nie było. Dopiero kiedy pobudowano remizę strażacką, to tam zaczęto urządzać przyjęcia weselne, sylwestry i zabawy.* (p. Helena Urbaniak; T. Gicgier, *Wędrując z mikrofonem. Dzielnice Łodzi*, s. 89)

„*Zabawy? Wszędzie, trudno było nie trafić. Na Nowym Złotnie w straży, na Starym Złotnie w straży, na Mani*

na ogródkach działkowych, na Niesięcinie, na osiedlu Montwiłła-Mireckiego był taki klub... Wtedy głównymi ośrodkami do zabaw były OSP. Dlatego my ich do dziś kochamy i im pomagamy. (Jolanta Cała)

OSP na Starym Złotnie miała nie tylko dużą salę:

„*Powiem tak: można było się kąpać w stawach w parku, ale my tu mieliśmy basen strażacki! Był zawsze zadbane i czyszczony. Chłopaki nas podtapiali, jak nie chciało się wchodzić to wpychali do tego basenu, pamiętam jak się darłam!* (Ilona Wojdyga)

Kto z powodu młodego wieku nie chodził na potańcówki, spędzał czas na ulicach albo na boisku, grając w piłkę. Do ulubionych zabaw dzieci należało, jak wszędzie, chodzenie po drzewach, a także obowiązkowe doroczne „strzelanie”:

„*Już od Wielkanocy, aż do odpustu, było strzelanie na Złotnie. Klucze z kredensu się brało, zapalki, znaczy siarkę z zapalek, gwóźdź na sznurku i się strzelało. Dorosli też się strzelali. Podkładało się te nasze materiały wybuchowe na pętlicę, czyli na krańcówkę tramwajową, korbelkowy jechał i strzelało.* (Stanisław Koprowski)

Obiektem pożądania młodych chłopców był przede wszystkim kalichlorek (KClO-2024225874 3, chloran potasu). W PRL nie można go było dostać w zwykłym sklepie, więc trzeba było mieć kogoś, kto mógł go „skołować”. Sama substancja nie była wybuchowa bez reduktora, za który robiła zwykle siarka zdrapaną z zapalek. Mieszaną chloranu i siarki wsypywano do małej stalowej rurki (mógł to być klucz od kredensu, jak wspomina mieszkaniec Złotna) i zatykano kawałkiem pręta, który nazywano „lunkiem”. Takim zestawem waliło się o ścianę albo o kamień – „lunek” działał jak iglica i powodował głośny wybuch. Kto nie miał kalichlorku, używał karbidu, samej siarki albo słynnych korków strzelających po 60 groszy sztuka (z tzw. mieszaną Armstronga). Stanisław Grzesiuk w *Boso, ale w ostrogach* opisał, jak wyglądało to w przedwojennej Warszawie:

„*Był to rok 1939. Jak zwykle staliśmy wieczorem we czterech na rogu ulicy.*

— *No, chłopaki, święta idą — powiedziałem — czas pomyśleć o kalichlorku. Tradycję podtrzymać... [...]*

Tydzień przed świętami wielkanocnymi zrobiliśmy cztery bomby dwa razy większe niż zwykle, żeby wypróbować, czy materiał jest w porządku, i jego siłę

wybuchową [...]. Wyszukaliśmy duży, gładki granitowy kamień, którym uderzało się z góry ładunek wybuchowy położony na jezdni, na takim samym kamieniu. Uderzyłem pierwszy. Bomba spłaszczyła się, ale nie wybuchła. Wyszukaliśmy dużo większy kamień. Po uderzeniu nastąpił wybuch, po którym zadzwoniło mi w uszach... i cisza. Ogluchłem. Tylko dym się rozwinął — już wali Mały.

Gdy Beton ustawił się do strzelania, zauważyliśmy, że w nowych domach ludzie stoją we wszystkich oknach, a niektórzy wyskakując z bram pędzą do nas.

Kiedy strzelał Pajac, ludzie ci już byli tuż przy nas, ale gdy ujrzeni uniesiony w górę olbrzymi kamień, zatrzymali się. Kiedy rozwinął się dym po wybuchu, nas już nie było — uciekliśmy na Mokotów.

„Strzelanie” uprawiano tradycyjnie podczas rezurekcji, ale chłopcy często popisywali się w ten sposób przed kolegami w wakacje albo podczas ferii. Można powiedzieć, że Złotno często huczało – i to nie tylko przez bliskość poligonu.

TRAMWAJEM DO MIASTA

Tylko najstarsi mieszkańcy Złotna, Zdrowia i osiedla im. Montwiłła-Mireckiego pamiętają czasy długiego maszerowania na pętlę tramwajową na Kozinach. Mało kto z obecnie żyjących pamięta jednak, że i ta krańcówka powstała dopiero w 1927 roku. Wcześniej trzeba było pokonać kilka kilometrów do skrzyżowania Srebrzyńskiej i Cmentarnej – w chłodzie, deszczu i upale – by dotrzeć na szóstą rano do fabryki. Jeździł tam tylko tramwaj linii 3.

Wybudowanie pętli na Kozinach skracało znacznie czas marszu, ale nie zaspokoiło z pewnością potrzeb mieszkańców Złotna. Zresztą droga do tramwaju była irytująca z innych względów: na Srebrzyńskiej istniał naziemny przejazd kolejowy ze szlabanem. Pobliska parowozownia nieopodal dworca Łódź Kaliska miała tam zaplecze zaopatrzeniowe z wodą i magazyn opału, więc lokomotywy często wykonywały długie manewry dokładnie w okolicy przejazdu. Trudno opisać frustrację mieszkańców, którzy zza

opuszczonego szlabanu widzieli uciekającą „trójkę”. Zwłaszcza że parowozy były dla wielu utrapieniem:

» *Pamiętam jak wracaliśmy z mamą z kościoła i miałam białą sukienkę. Stałyśmy na tym przejeździe i nagle jak nie buchnął z tego komina... Poszła chmura czarnego dymu, sadzy. I już cała sukienka ubrudzona.* (Krystyna Trojanowska)

W 1938 roku wybudowano kładkę nad torami (przejazd działał do lat 70.), ale do tramwaju ze Złotna było wciąż daleko. Bilety też nie należały do najtańszych – 25 groszy to suma, za którą można było przed wojną kupić porządny, kilogramowy bochen razowego chleba albo litr mleka. Wielu mieszkańców chodziło na piechotę aż do swojego miejsca pracy – niektórzy nasi rozmówcy wspominają, że ich rodzice potrafili pokonywać tak codziennie dystans np. na Widzew lub na Bałuty.

Paradoksalnie, sytuacja zmieniała się odrobinę podczas okupacji niemieckiej. Jeśli istniały jakieś pozytywne strony tego okresu, to tania komunikacja miejska z całą pewnością do nich należała. Bilety zrobiły się relatywnie tanie i nawet Polacy, którzy wciąż mieszkali w opisywanych przez nas okolicach, mogli sobie na nie pozwolić. Nawet zakaz podróżowania w wagonie „Nur für Deutsche” i obłądny tłok w wagonie „niaryjskim” nie zniechęcały do korzystania z tego środka transportu. Nic więc dziwnego, że mieszkańcy Łodzi przywykli do większej dostępności komunikacji miejskiej i po wojnie oczekiwali, że nowe władze będą w nią inwestować.

Mieszkańcy Nowego Żłotna domagali się ponoć budowy „swojej” linii jeszcze przed wojną, a po 1945 roku znów rozpoczęły się na ten temat dyskusje z władzami. Z braku funduszy magistrat nie mógł jednak przystać na miejskie dofinansowanie inwestycji. Pojawił się jednak pomysł, by linię wybudować w czynie społecznym, a Miejski Zakład Komunikacyjny oraz Państwowe Przedsiębiorstwo Budowlane zobowiązać do udzielenia czynnej pomocy. Do pomysłu zapalili się wszyscy mieszkańcy okolicy. Bardzo szybko urządzili zbiórkę podpisów, dobrowolnie opodatkowali

się na określone kwoty (zebrano razem 126 tysięcy złotych) i 1 czerwca 1949 roku za zgodą władz rozpoczęli formowanie nasypów pod przyszłą linię tramwajową. Organizacją prac zajął się Społeczny Komitet Budowy Linii Tramwajowej Cyganka-Żłotno, którego przewodniczącym został Stefan Kozubowski, później prezes OSP na Nowym Żłotnie.

Nowa linia miała odchodzić od ul. Konstantynowskiej i przebiegać ulicami: Unii Lubelskiej, Srebrzyńskiej, Wieczność, Siewną i Cyganka, kończąc się jednotorową i jednokierunkową pętlą rozciągającą się między ulicami Spadochroniarzy i Fizylierów. Ten wariant nie spodobał się części mieszkańców osiedla im. Montwiłła-Mireckiego. W prasie pojawił się list, którego autor uważał, że tramwaj na Srebrzyńskiej stworzy ogromne niebezpieczeństwo dla dzieci i młodzieży, które tłumnie odwiedzają plac zabaw i gier w Parku Ludowym. Proponował poprowadzenie linii prosto aleją Unii i ulicą Solec do Wieczność. Był to wariant, który z pewnością zapewniłby dojazd pracownikom Magazynów Wydziału Komunikacji Zarządu Miejskiego i mieszkańcom Mani, ale w pewien sposób marginalizowałby mieszkańców osiedla Mireckiego. Trudno powiedzieć, czy władze brały

go w ogóle pod uwagę. Koniec końców, mieszkańcy osiedla również uczestniczyli w czynie społecznym i pomagali przy budowie.

Mieszkańcy Żłotna włączyli się do budowy wyjątkowo entuzjastycznie: do samej niwelacji terenu według prasy stawilo się ponad 1500 osób. Oprócz aktywu harcerskiego, zetempowskiego i akademickiego przy budowie linii pracowali przede wszystkim niezrzeszeni w żadnych organizacjach politycznych obywatele: robotnicy fizyczni i umysłowi, nauczyciele, strażacy... Rodzice naszych rozmówców wspominali ogromny, nieukrywany entuzjazm związany z układaniem torów i pracą przy budowie, która postępowała w bardzo szybkim tempie. Pracowali mężczyźni, kobiety i dzieci – zwalniając się z porannej zmiany, przychodząc na plac budowy zaraz po pracy. Jak zapisano w księdze pamiątkowej, wypracowano 22,470 godzin roboczych i 256 godzin konnych. Rozładowano 1065 szt. traktorów z ziemią równającą się 3195 m³, 546 wozów konnych nadesłanych przez Starostwo Północno-Łódzkie równających się 1700 m³ ziemi [...] + 3000 m³ z wolnego dowozu. Budowa skończyła się w ciągu trzech miesięcy. Kiedy patrzy się na dziecięce twarze dwóch przodowników pracy w księdze

pamiątkowej, trudno uwierzyć, że ci mali chłopcy (na oko może z jedenaście-dwanaście lat) podołali takiemu wysiłkowi.

„*To jest już prawie legenda, to zaangażowanie ludzi na Żłotnie. Nie trzeba było do tych prac nikogo wołać, ludzie brali co mieli, czy kilofy czy łopaty czy grabie czy cokolwiek. Kobiety, mężczyźni, przychodzili z pracy i pracowali przy budowie. A tamci tylko podsypywali tory, podkłady kładli. To wszystko trwało jeden sezon i na 1 września wszystko było gotowe.* (Jan Stawski)

25 września 1949 roku odbyło się oficjalne otwarcie linii. Mieszkańcy Żłotna mogli poczuć się naprawdę wyróżnieni, bo na uroczystości pojawił się sam premier Józef Cyrankiewicz, gratulując osobiście wszystkim, którzy przyczynili się do wybudowania linii.

„*Oczywiście, że pamiętam jak budowano tramwaj, jak Cyrankiewicz przyjechał. Ze szkoły delegacja musiała być, śpiewać, powitać trzeba było. Od tego czasu to już tramwajem się jeździło.* (Jadwiga Terpiał)

Pierwszym tramwajem kursującym na Żłotno była stara „trójka”. Od 1950 roku pojawiła się też linia 21,



18 i 19. Księga pamiątkowa budowy linii tramwajowej na Nowe Złotno

20. Na sąsiedniej stronie: Pierwszy tramwaj na krańcówce Nowe Złotno

która jeździła do Cyganki tylko w godzinach szczytu, w pozostałych godzinach zawracając na awaryjnej pętli przy ul. Biegunowej obok późniejszej „Lenory”. Dopiero w latach 60. „szczytowe” kursy na Złotno stały się normą. „Trójkę” skrócono do Kozin, a w jej miejsce pojawiła się linia 17, która zawracała przy Biegunowej poza godzinami szczytu i dopiero od 1974 roku znów kończyła na Cygance każdy swój kurs.

Na krańcówce tramwajowej powstał kiosk Ruchu, a także zabudowany przystanek, nazywany wtedy „poczekalnią”. W późnych latach 50. linię zmodernizowano – na pętli pojawiły się perony, położono też dodatkowy tor do manewrów. Mieszkańcy wspominają, że tuż obok kiosku latem zawsze można było dostać lody:

” To były tradycyjne lody. Była poczekalnia na krańcówce, był kiosk i koło tego kiosku taki drewniany kantorek, i tam lody sprzedawano. Albo się jadło w wafelku albo się brało swoją szklankę na lody, bo w szklankę więcej wchodziło. (Jolanta Cała)

Choć akurat co do lodów mieszkańcy zgadzali się, że na najlepsze „chodziło się do pana Stokowskiego”.





21. Premier Józef Cyrankiewicz podczas uroczystości uruchomienia linii tramwajowej na Nowe Złotno



22. Ul. Cyganka – to tędy przebiegała linia tramwajowa



23. Tramwaj linii „17” na ul. Wieczność

Jeśli już jednak jesteśmy przy lodach, warto pamiętać, że dawne wyroby miały przede wszystkim jeden smak: śmietankowy, choć producenci starali się go urozmaicać.

» Chodziłam też na mecze na ŁKS, bo mój dziadek był kibicem zapamiętałym, ja głównie chodziłam po to, żeby lody Pingwin dziadek mi kupił. Panowie chodzili ze skrzyniami zawieszonymi na szyi. To były słynne lody w kształcie walca, które fajnie się łupały w takie jakby igielki. Smak był śmietankowy, ale konsystencja była niepowtarzalna. (Jolanta Cała)

Wracając do tramwaju: „siedemnastkę” zawieszano częściowo już pod koniec lat 80., choć zdarzały się jeszcze wznowienia kursów. Po zmianach ustrojowych, na skutek polityki oszczędności magistrat postanowił nie kierować więcej kursów na Nowe Złotno. Stwierdzono, że na peryferiach tramwaje nie wytrzymują konkurencji z transportem samochodowym. 6 lipca 1992 roku ostatecznie zlikwidowano linię tramwajową. Tory i trakcja stały nierozebrałe do końca lat 90., przypominając mieszkańcom o czasach, w których Złotno mogło rzeczywiście czuć się częścią dużego miasta.

DO KOŚCIOŁA I PO KOŚCIELE

Mieszkańcy Żłotna długo nie mieli swojego kościoła. Dawniej oficjalnie należeli do parafii w Kazimierzu, a później do parafii św. Józefa w Konstantynowie Łódzkim, ale ze względu na odległość wielu wolało uczęszczać na msze do kościoła w Srebrnej. Pomysł wybudowania nowej parafii w XX wieku natrafiał na przeszkody w postaci braku odpowiedniej działki. W drugiej połowie lat 20. Jan Suwalski postanowił przekazać dwie parcele przy rogu ulic Danielewicza i Jezuickiej (dziś Podchorążych i Artylerzystów) pod budowę kościoła. Projekt wykonał sam Józef Kaban-Korski, architekt znany z wielu modernistycznych realizacji w Łodzi. Fundamenty wkopano w 1927 roku, a w 1930 roku ordynariusz łódzki erygował parafię św. Jana Chrzyciela. 30 listopada 1931 roku poświęcił ją biskup Tymieniecki. W budowie i w urządzaniu wnętrza aktywnie pomagali sami mieszkańcy, zwłaszcza ci zamożniejsi, np. z rodziny Królów.

Budynek o nowoczesnej bryle nawiązującej lekko do barokowych tradycji był bardzo mały i mieścił tylko 150 wiernych, dlatego podczas większych świąt część z nich stała na podwórzu. Pierwszym proboszczem został ks. Bolesław Ślusarski, a kolejnym ks. Wacław Trzcionka. Już przed wojną funkcjonowała tu silna wspólnota parafialna. Powstały chór dla dorosłych („Jutrzenka”) i młodzieżowy („Harfa”), o wiele liczniejsze niż chór powojenny. Po 1945 roku działał tam zespół mandolinistów.

W czasie okupacji kościół robił za skład rupieci. Od 1940 roku w mieszkaniu Marii Bryś, gospodyni ówczesnego proboszcza ks. Jana Warczaka, działała nielegalna drukarnia pisma „Szaniec”, a właściwie jego łódzkiej wersji, nazwanej przez autorów „Pochodnia”. Tworzyli ją m.in. Tadeusz Starczewski, ks. Ferdynand Jacobi z parafii św. Anny i jej wikariusze.



24. Kościół pw. św. Jana Chrzyciela, lata 30.



25. Kościół pw. św. Jana Chrzyciela, widok współczesny

„Pochodnia” była jednym z organów Grupy „Szańca” – nacjonalistycznej komórki związanej z ołtąmem Obozu Narodowo-Radykalnego „ONR-ABC”. Jej zbrojnym ramieniem była Organizacja Wojskowa „Związek Jaszczurczy”, która później przekształciła się w Narodowe Siły Zbrojne. Drukarnia na Nowym Złotnie została rozpracowana przez Gestapo 8 marca 1941 roku, a działacze osadzeni w więzieniu przy Sterlinga 16. Dopiero w 1942 roku Okręg IX Łódzki NSZ uruchomił druk nowego pisma „Na Zachodnim Szańcu”, którego drukarnię rok później również rozbito.

Kościół działa nieprzerwanie od 1945 roku. W latach 70. dobudowano absydę dla ołtarza, zaś w roku 2003 rozbudowano budynek, powiększając go ponad dwukrotnie za sprawą przybudówki oddzielonej od starego budynku.

Mieszkańcy Złotna chętniej niż o samym kościele opowiadają o tym, co działo się wokół niego. Największą atrakcją, zwłaszcza dla dzieci i młodzieży, były odpusty:

60 „Na 24 czerwca, na św. Jana, były zawsze odpusty. Na krańcówce tramwajowej wewnątrz stały karuzele,

na ulicy Złotno były stoiska z różnymi kręciółkami, kucyki były... Były korkowce, takie małe pistoleciki, krzywdy to nikomu nie zrobiło, tylko huk robiło. Oprócz strzelania z kalichlorku i saletry na krańcówce kładło się też pod tramwaj monety, żeby zobaczyć jak się robią płaskie. Akurat najlepsze do grania w „kipla”. Były takie zasady, że była stawka, np. złotówka, wykopywało się dołek i ten, kto trafił do dołka wygrywał złotówkę. Potem się o mur rzucało monety i też była zasada, że trzeba najbliżej jakiegoś punktu i wtedy się wygrywało. (Jan Stawski)

„Odpust to było całe święto Złotna. Zdjęcia były robione, obwarzanki były, konie były, orkiestra grała – akordeon, bębenek i dwie łyżki. (Adam Pruk)

Rodzina Suwalskich

Wspominając o kościele, nie sposób nie wspomnieć o rodzinie, której członkowie przez wielu byli nazywani „dobroczyńcami Nowego Złotna”. Nestorem rodu był Franciszek Suwalski, który już w XIX wieku był posiadaczem działki między dzisiejszymi ulicami Legionów, Włókniarzy, Ogrodową i Cmentarną.

Działką zainteresowali się Poznańscy, widząc tam trasę przebiegu bocznicy kolejowej do swoich zakładów przy Ogrodowej. Suwalski, z początku niechętny sprzedaży działki z eleganckim domem, dał się w końcu namówić i sprzedał ziemię po bardzo korzystnej cenie. Grzegorz Dębowski w tekście *Dobroczyńcy Nowego Złotna* w „Kronice Miasta Łodzi” z 2007 roku podaje, że w dowód wdzięczności potomkowie Izraela Poznańskiego co roku wysyłali Suwalskiemu sztukę pościeli.

Suwalski wzbogacił się na transakcji i kupił za zarobione pieniądze ziemię w Nowym Złotnie, a konkretnie to „resztówkę majątku” leżącą między dzisiejszymi ulicami Rąbieńską i Złotno. Przy Artylerzystów 1/3 wybudował duży dom w typie kamienicy. Chciał, by zamieszkała tam w przyszłości cała wielka rodzina, lecz jego potomkowie woleli stawiać własne domy na niewielkich działkach, wydzielanych im przez ojca. Doprowadziło to do mocnego rozdrobnienia majątku ziemskiego, a sam Suwalski zaczął sprzedawać kolejne jego części pod taną zabudowę dla robotników, kolejarzy, rzemieślników czy pracowników Kolei Elektrycznych Łódzkich.

Można powiedzieć, że to dzięki niemu Nowe Złotno tak szybko zapełniło się zabudową.

Franciszek Suwalski zmarł w 1916 i został pochowany na Mani, zostawiając szóstkę dzieci. To właśnie jedno z nich, Jan, ofiarował plac pod budowę kościoła. Sam był bednarzem i stolarzem, w czasach międzywojennych prowadził niewielki warsztat i wiódł skromne życie, choć majątek rodzinny nie pozwalał żadnemu z jego braci i sióstr popaść w biedę. Mąż jego siostry, Jan Konstanty Tomaszewski, prowadził wtedy olejarnię zatrudniającą mieszkańców okolicy, a oprócz tego udzielał się społecznie jako nauczyciel niemieckich dzieci i działacz Sodalicii Mariańskiej. W trakcie wojny Niemcy wyrzucili Jana Suwalskiego z domu przy ul. Artylerzystów i urządzili tam siedzibę lokalnego oddziału NSDAP (potrzebowali budynku wolnostojącego, w którym nie będzie można ich podsłuchiwać). Tomaszewski pracował oficjalnie jako księgowy, ale naprawdę zajmował się organizacją tajnych kompletów. Aresztowano go w 1944 roku i osadzono na Radogoszczu. W styczniu 1945 roku Niemcy połamali mu nogi i ręce. Nie udało mu się uciec z celowo wzniesionego pożaru więzienia. Jego

dzieci, Mariusz i Teresa, przeżyły pobyt w obozach koncentracyjnych.

Po wojnie Jan Suwalski nie otrzymał majątku z powrotem – w kamienicy urządzono pierwsze na Żłotnie przedszkole (drugie powstało w latach 50. przy ul. Drużynowej). Pracował społecznie, pomagając

w miarę możliwości rodzinie, zwłaszcza dzieciom Jana Konstantego. Nie miał żony ani dzieci. Wnuczka jego brata, Teresa Tomaszewska, pracowała przez 40 lat jako charakteryzatorka w Wytwórni Filmów Dokumentalnych i Fabularnych w Łodzi. Niektórzy potomkowie Suwalskich wciąż mieszkają, lub jeszcze do niedawna mieszkali, na Żłotnie.



26. Dawny dom rodziny Suwalskich przy ul. Artylerzystów 1/3

CYGAŃSKIE TABORY

Po Żłotnie krąży legenda, że wieś Cyganka zawdzięcza nazwę pewnemu anonimowemu Cyganowi, który dawno temu kupił tam dom jako jeden z pierwszych mieszkańców osady. Jak było naprawdę, nie dowiemy się pewnie nigdy. Faktem jest natomiast, że romska mniejszość i jej barwne obyczaje mocno zapadły w pamięć mieszkańcom Żłotna.

Wielu pamięta jeszcze liczne tabory, zbierające się przede wszystkim na dużym placu na końcu ul. Drużynowej. Dziś większość tego terenu jest już ogrodzona i podzielona na działki, ale wciąż można obejrzeć miejsce, w którym od czasów przedwojennych zbierały się wozy i gdzie do rana można było słyszeć muzykę. Oprócz tego część Romów koczowała w pobliżu niektórych stawów. Wracali w te same miejsca każdego roku i za każdym razem budzili sensację.

„ Było ich bardzo dużo, miałam koleżanki Cyganki. Jedna z nich się wykształciła i została lekarką. W XVIII liceum na Perla chodziła do żeńskiej klasy, a jeden z jej braci tańczył z zespołem Roma. Pewnego razu przyjechał tu tabor z Michailem Burano, co było dużym wydarzeniem. Mieszkała tu też rodzina Kwieków z którymi bardzo dobrze żyliśmy, integrowali się z nami. Ludzie mówią, że kradli kury, nam nic nie ukradli. Ja z Cyganami bardzo dobrze żyłam, przychodzili do nas tak jak sąsiedzi do sąsiadów. Jak było biednie to dzieliliśmy się z nimi jedzeniem. Handlowali garnkami, patelniami i to były bardzo dobre wyroby. (Jolanta Cała)

„ Miałem kolegę, Franka, to był Cygan i byłem u niego parokrotnie, on nie miał ojca, musiał sam matkę utrzymywać. Jeden dzień w tygodniu do szkoły nie przychodził, bo pracował i on był kotlarzem. Cyganie byli albo koniarzami, albo kotlarzami, Cyganki wróżyły. Nie było

tak, że nas tu nękali, przychodzili, jak to się myśli, nie.
(Jan Stawski)

Większość tych Romów pochodziła z grupy Kełderaszów (rom. *Kelderari*, dosłownie „kotlarze”), która pojawiła się w Polsce najliczniej w okresie międzywojennym. Słynna rodzina Kwieków, z której pochodził ostatni cygański król na terenie Polski Rudolf Kwiek, często przyjeżdżała w te strony. Wszyscy mieszkańcy zapamiętali pewne huczne wesele i pannę młodą pochodzącą właśnie z tej rodziny:

„Jednego razu, to było w latach 60., Cyganka wychodziła za mąż. I my właśnie, z przyszłą żoną, chodziliśmy oglądać to wesele. Wielka sensacja na całą okolicę. Wybudowali specjalny barak! Cyganów było multum, z całej Polski się zjechali, bo to była rodzina królewska – rodzina Kwieków. Tańczyli, orkiestra grała, dla nas to było ciekawe, bo to było coś nam zupełnie nieznanego. Wszyscy mówili po cygańsku, ubrani byli elegancko, złote łańcuchy na szyjach, to było charakterystyczne. Kobiety tańczyły w długich spódnicach. Tańczyli całymi korowodami. A następnego dnia gruchnęła wieść, że panna młoda uciekła od pana młodego. I szukali jej wszędzie. (Leszek Fecko)



27. Grób Worza Kwiek na cmentarzu na Mani



28. Grób Pauliny Janko-Kwiek na cmentarzu na Mani

Przed wojną Kwiekowie byli najszacowniejszym rodem cygańskim z Kełderaszów, choć nie wszyscy chcieli uznać ich zwierzchnictwo. Na uroczystą koronację Janusza Kwieka w 1937 roku zjechali się Romowie z całej Polski i okolic, nie zabrakło na niej także przedstawicieli władz państwowych. Doświadczenie Holokaustu i prześladowań niemieckich skłoniło jednak Romów do porzucenia pewnych elementów dawnego życia: Rudolf Kwiek w 1946 roku oficjalnie zrezygnował z tytułu cygańskiego króla i ogłosił, że odtąd nikt nie ma prawa go używać (miała z tym związek także zmiana podejścia władz państwowych do mniejszości romskiej). Obecnie funkcjonuje jedynie urząd Šero Roma (Szero Roma), stojący na straży cygańskiego prawa zwyczajowego, czyli romanipen. Trzy kobiety z rodziny Kwieków, Worza, Olga i Paulina Janko-Kwiek, są pochowane na cmentarzu na Mani.

Po przymusowych osiedleniach w latach 60. większość Romów rozprzeczła się na wszystkie strony świata, ale na Żłotnie wciąż trwała niewielka społeczność, mieszkająca w domach przy ul. Bruskiej.

HUK NA POLIGONIE

W pierwszych latach II Rzeczypospolitej nowo powstałe Wojsko Polskie zmagало się chyba z każdym możliwym problemem: z brakiem wyposażenia, systemu szkoleniowego, zaplecza technicznego, a także jednolitego sposobu dowodzenia i zarządzania jednostkami. Na terenie Łodzi problemem był przede wszystkim brak dobrze wyposażonych terenów ćwiczebnych. Garnizon Łódzki wykorzystywał w tym celu infrastrukturę poniemiecką, ale ta nie była dostosowana do potrzeb rozwijającej się armii. Na początku lat 30., po burzliwym sporze z miastem dotyczącym strzelnicy (patrz: rozdział o parku na Zdrowiu), postanowiono o urządzeniu strzelnicy poligonowej na części nieużytków majątku Brus, należących wcześniej do Alfreda Biedermanna i Sophie Meyer – jedynej córki Ludwika Meyera, zmarłej w 1895 roku.

„Strzelali, jeszcze jak! Przed wojną to chyba nawet bardziej jak po wojnie! Huk się niósł taki, rano na polach już było słychać. (Stefan Kwapisz)

W 1937 roku przy ul. 11 Listopada powstał schron, służący prawdopodobnie jako magazyn amunicji dla pobliskich koszar. Po wojnie na poligonie istniały już dwie strzelnice, na których regularne ćwiczenia odbywały jednostki Wojska Polskiego (przemianowanego w 1952 roku na Siły Zbrojne Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej). Ćwiczył tu z całą pewnością łódzki pułk Obrony Terytorialnej.

„Tu była wieś. Tutaj dużo krów było, po wojnie nawet jak już poligon był, to my i tak tam krowy dalej prowadzaliśmy. Strzelali, ale krowy się przyzwyczaiły. (Regina Sicińska)

„To były takie pola nieużyteczne, w czasie studiów mieliśmy tam tzw. studium wojskowe, ubierali nas w kombinezony i tam po tym poligonie ganialiśmy. (Leszek Fecko)

„Moja mama wspominała, że na poligonie uczyła się jeździć samochodem. (Anna Lipińska)

Bliskość poligonu i żołnierzy była sensacją zwłaszcza dla młodych chłopców. Prośby typu „da pan potrzymać karabin” zdarzały się bardzo często. Ale największą atrakcją było oczywiście zbieranie rozmaitych „pamiątek”:

„Chłopcy zbierali race do raketnic na poligonie. Znaleźli nawet colta. Jak żołnierze złapali dzieciaki szwendające się to od razu do sprzątnięcia zagonili. Bardzo często znajdowało się naboje, nawet nie szukając, wchodziło się wręcz na to. Największa frajda była z tymi racami, było ich chyba najwięcej. A wojsko? Pamiętam, że żołnierze szli piechotą aż z Jerzego, nie wozili ich, rzadko przynajmniej. (Jan Stawski)

„Jednego razu kilka samochodów amunicji przywieźli na poligon, zakopali i podpalili. Pamiętam, że z tydzień

się paliło, huki, trzaski, a my po jakimś tygodniu chodziliśmy wykopywać całe taśmy amunicji, przeważnie radzieckiej – granaty, świece dymne, amunicja... Należaliśmy wszystkiego. Plecak był pełny amunicji, a książki i zeszyty niosło się za paskiem. (Stanisław Koprowski)

W 1965 roku gruchnęła wieść o odkryciu masowych mogił na terenie poligonu. Pospieszna i dość niedbała ekshumacja wykonana w miejscu wskazanym przez dawnego świadka ujawniła miejsce pochówku kilkudziesięciu ofiar Intelligenzaktion Litzmannstadt – akcji niemieckiego okupanta z listopada 1939 roku mającej na celu likwidację polskich warstw tzw. inteligenckich, czyli przeważnie klasy średniej na eksponowanych stanowiskach. Ofiary rozstrzelowano m.in. w lesie lućmierskim, łagiewnickim i tuszyńskim, gdzie chowano je w masowych grobach. Zginęli wtedy m.in. Władysław Krzeziński – urzędnik miejski czy Tomasz Wilkoński – poseł na Sejm i dyrektor Zjednoczonych Zakładów Włókienniczych Scheiblera i Grohmana. Dokładna liczba ofiar wciąż nie jest znana, ale szacuje się, że może chodzić o ponad półtora tysiąca polskich obywateli.

” *Jak do szkoły my chodziliśmy, w latach 60. to te ciała odkopywali. Pamiętam jak szliśmy, a tam czaszki takie poukładane były, kości...* (Irena Kubiszewska)

W 2008 roku Instytut Archeologii Uniwersytetu Łódzkiego przeprowadził szczegółowe badania na Brusie, które pomogły uporządkować stan wiedzy o ofiarach znalezionych na poligonie i przyczyniły się do nowego odkrycia. Okazało się, że w masowych grobach spoczywają również ciała kilku osób zamordowanych przez Urząd Bezpieczeństwa już po wojnie.

” *To było tak, że jak rozstrzelali ludzi to trochę ziemią przysypali, deszcz przyszedł i zmył ziemię i było widać, że kawałek ręki, nogi spod ziemi wystaje. Babcia mi opowiadała, że jechała przez las, to po wojnie było, i słyszeli, że kogoś rozstrzelali, to się bardzo bali, że świadkami zostaną.* (Ilona Wojdyga)

Dalsze badania zlecone przez miasto mają rzucić więcej światła na losy powojennych ofiar zakopanych na Brusie i ustalić, czy nie było ich więcej. Instytut Pamięci Narodowej poszukuje też miejsca pochówku Stanisława Sojczyńskiego, ps. Warszyc, który został stracony właśnie w Łodzi.

„Pamiętką” po wojskowej przeszłości tego terenu są utrzymane do dziś powojenne nazwy ulic na Złotnie: Artylerzystów, Czołgistów, Garnizonowa, Podchorążych, Saperów, Spadochroniarzy, Tobruk czy Zaporowa. Co ciekawe, okupant niemiecki postawił wcześniej przede wszystkim na nazwy związane z pierwiastkami chemicznymi: Bromsteg, Heliumfpad, Kryptonweg, Kupferweg, Phosphorstrasse, Radiumstrasse, Stickstofstrasse...

SĄSIEDZI I OKUPANCI – NIEMCY NA ZŁOTNIE

Na skutek intensywnego osadnictwa pod koniec XIX wieku i na początku XX, okolice Nowego Złotna i Cyganki były zamieszkane przede wszystkim przez Niemców, ale przedstawicieli tego narodu nie brakowało w całej okolicy. Nie było złotniaka, który nie miałby Niemca przynajmniej za sąsiada, jeśli nie za przyjaciela, lub – co również się zdarzało – wroga.

Za „tradycyjnie” niemiecką wieś uważano Srebrną, w której mieszkało sporo Niemców wyznania katolickiego:

” *Srebrniaki to były takie „dojczkatoliki” i ten kościół [parafia pw. Nawiedzenia NMP, wybudowana w 1887 roku – przyp. aut.] to katolicki jest. O Srebrnej to nawet pisali „mały Berlinek pod Łodzią”. (Stefan Kwapisz)*

” *Bardzo dużo Niemców mieszkało przed wojną w Srebrnej, nawet w naszej rodzinie ciocia wyszła za Niemca.* (Ilona Wojdyga)

Przedwojenna historia Złotna to dzieje ciągłych splotów relacji polsko-niemieckich. Niemcy byli dla mieszkańców przede wszystkim sąsiadami, kolegami ze szkoły, czasem pracodawcami. Szczególnie dobrze zapamiętano postać Szyndla, który „prowadził zlewnię” na rogu dzisiejszych ulic Złotno i Stare Złotno i miał 33 morgi ziemi. Dało się zauważyć pewną fascynację obcą, odmienną kulturą:

” *Moja mama zamieszkała tu jeszcze przed wojną i mówiła, że tu była dzielnica niemiecka. Miło wspominała tych Niemców, także z tego powodu, że mieli wyższą kulturę, taką codzienną. W tej dzielnicy nie było rynsztoków, tak jak w reszcie Łodzi, w związku z tym nie było tu takiego brzydkiego zapachu jak w Łodzi. Poza tym Niemcy mieli zwyczaj ciekawy, że robili zabawy w ogrodach, z muzyką, i tutaj też taka zabawa się odbywała. Moja mama widziała taką zabawę przez bramę, jak była dzieckiem. Wspominała*

też, że nasi niemieccy sąsiedzi dekorowali ładnie choinki na Boże Narodzenie, mieli lepsze ozdoby. (Anna Lipińska)

” Niemieckie dzieci były takie jak my. Miałem kolegę takiego, który miał brata Leopolda. Kiedy wojna wybuchła to tego brata wzięli do wojska, i jego później też wzięli. Obaj zginęli. Co ci rodzice mieli mówić... Takich chłopaków mieli, synów i obaj zginęli od razu. To byli dobrzy ludzie, ci Niemcy. W czasie wojny jak gazetę się wzięło to tylko się czytało te listy nazwisk, kto zginął, i patrzyło się czy znajome. (Stefan Kwapisz)

Piotr Werner w tekście *Zmurszałe epitafia* zapisał wspomnienie starego mieszkańca, Władysława Szewczyka:

” Raz byłem u kolegi w domu i on do matki przy stole odezwał się po niemiecku. Na to ona po polsku zwróciła mu uwagę, że przy gościu należy rozmawiać tylko w jego języku i, choć zaprotestowałem, nie zmieniła zdania. Razem graliśmy w piłkę, prowadziliśmy loterie dla szkoły, chodziliśmy na ćwiczenia do Strzelca i zbiórki Sokola. Loterie były często, bo latem co tydzień były tańce albo pikniki. Na pikniki teren wynajmowali

Niemcy, bo na ogół byli od nas bogatsi, ale bawili się wszyscy. [...] Samych rzeźników było z sześciu: Ingling, Schubert, Schram i jego syn, Jaskólski i Nawrocka – wszystko Niemcy. Byli też tacy, co się tu całkiem spolonizowali jak Millerowie, Wernerowie czy Fuksowie; nawet nie chcieli mówić po niemiecku. (p. Władysław Szewczyk; Piotr Werner, *Zmurszałe epitafia. Złotno wobec wymogów historii*, „Kronika Miasta Łodzi” 3/2005, s. 21)

Jedna z najciekawszych historii dotyczy zmory wszystkich Polaków mieszkających wtedy na Złotnie, czyli strachu o własny dobytek:

” Nasz dom był wybudowany w latach 1938–1939. W czasie okupacji mieszkał tu obok volksdeutsch Kucharski, który miał matkę Niemkę i dlatego volksliście mógł podpisać. Ci Kucharscy koniecznie chcieli tu zamieszkać. Ich matka dzień wcześniej przysłała ostrzeżenie, że przyjdą tu oglądać ten dom. Wtedy teść wziął wiadro i wodą polewał ściany, żeby były mokre. Jak tamci przyszli to zobaczyli, że jest wilgoć i domu już nie chcieli. I tak uratował ten dom. (Anna Lipińska)

Okres okupacji był czasem wysiedleń Polaków do obozów pracy i odbierania im majątków. Łódź zmieniła się w Litzmannstadt i została włączona do Rzeszy Niemieckiej, do okręgu Kraj Warty (Reichsgau Wartheland, czasem zapisywany na pocztówkach jako Warthegau). Dawniej spokojne sąsiedztwo stało się dla polskich obywateli Złotna źródłem niepokoju. Mimo wszystko mieszkańcy twierdzili, że na złotniańskich Niemcach w wielu przypadkach można było wciąż polegać:

” Był taki nasz sąsiad, który jak weszli Niemcy, a on siedział przy furtce, mama mi to opowiadała, to on powiedział o naszym domu, że tu mieszkają dobrzy Polacy i im włos z głowy nie może spaść. (Stanisław Koprowski)

” Szyndel był dobry, Grunwald był gorszy – gestapowiec, donosił na ludzi. Tym gospodarzom niemieckim we wsi dyrygował co mają robić. Ale tak to nie byli złe te Niemce, z nami Polakami dobrze żyli. (Stefan Kwapisz)

” Żyliśmy jak w rodzinie aż do 1936 roku, kiedy zaczęli zakładać Hitlerjugend. Młodzi zaczęli wyjeżdżać do Reichu i między nami zaczęły się kłótnie. Starzy nie

chcieli się w to mieszać, byli tu zżyci i nieźle im się wiodło [...] A w innych oknach pojawiały się swastyki, polityka młodym poprzewracała w głowach. (p. Władysław Szewczyk; Piotr Werner, *Zmurszałe epitafia. Złotno wobec wymogów historii*, „Kronika Miasta Łodzi” 3/2005, s. 21)

Jeden z mieszkańców twierdzi, że nawet realia pracy „u Bauera” były czasem lepsze od przedwojennej biedy:

” Pracowaliśmy na gospodarstwie i zabawy sobie robiliśmy, jeden na harmonii umiał grać. Żandarmi byli obok i nic nie mówili, tylko tyle, że o godzinie 9 cisza nocna ma być. Dobrze nas traktowali, być może dlatego, że oni już wiedzieli, że się front wschodni cofa. Jak mieliśmy tutaj to skromne gospodarstwo to nie mieliśmy co jeść, a u Niemca to mieliśmy jedzenia dosyć. Niestety, muszę powiedzieć, taka była prawda. (Stefan Kwapisz)

Wojna z pewnością przerwała wiele znajomości, choć wzmocniła też wiele przyjaźni i sąsiedzkie poczucie solidarności. Po 1945 roku niektórzy mieszkańcy Złotna mogli ulec antyniemieckiej nagonce („po wojnie

to mówiło się tak trochę niesprawiedliwie, że jak Niemiec to musiał być zły” – powtarzano nam często), lecz z pewnością nie brakowało też takich, którzy wstawiliby się za swoimi dawnymi sąsiadami. Większość Niemców uciekła jednak w popłochu przed wkraczającą do Łodzi Armią Czerwoną:

„Mama mi mówiła, że jak Rosjanie weszli to Niemcy się chowali w stogach, w słomie, zamarzali tam. To wojskowi byli, w mundurach, puciekali z garnizonu (Ilona Wojdyga)

„Właścicielem tej kamienicy obok był Niemiec, który zmarł jak weszli Rosjanie. To jest o tyle ciekawe, że on jest pochowany tutaj pod werandą. Była bardzo zmarznięta ziemia w styczniu, jego rodzina musiała uciekać i stąd taki pochówek. (Anna Lipińska)

„Widziałem jak Rosjanie rozstrzelili Niemców. Kazali im uciekać tam w stronę Aleksandrowa. Jednemu to czaszka się odchyliła, mózg się wylał, ja to na własne oczy widziałem... Było pięciu tych Niemców, wszystkie leżały. I zaraz te Ruskie za buty się brały, bo przecież oni nosili walonki, a Niemcy oficerki mieli. Jak byłem na robotach na Grabieńcu to do jednego gospodarza

Ruskie weszli i córkę tym Niemcom zgwałcili. Rodzice widzieli to wszystko. Jak żołnierze z nimi skończyli to Niemiec ojciec kazał swojej żonie i córce skoczyć do studni, a on skoczył za nimi. (Stefan Kwapisz)

Większość Niemców, zwłaszcza tych nieumundurowanych, liczyła przez pewien czas na to, że uda im się wrócić do starego życia w Polsce. Mieszkańcy nie opowiadają zbyt wiele o tym, dlaczego niemal wszyscy zdecydowali się wyjechać. Powojenne antyniemieckie nastroje i wystąpienia wśród nowych władz, ale też wśród zwykłych Polaków, to wciąż drażliwy temat. Mariola Klink w swojej powieści *Baba z baby* opisuje złotniańskie losy wzorowane na jej rodzinnych wspomnieniach. Nie oszczędza jednak wstydlivych epizodów:

„Niemcy mieszkający na Złotnie w pośpiechu opuszczali swoje domostwa. Uciekali ze strachu przed wyzwolicielami, a może i dawnymi sąsiadami do Reichu. Zostawiali mieszkania i domy z dorobkiem całego swego życia, a ponieważ nikt domów nie zamykał na klucz, wszystko było otwarte, to szabrowanie było bezkarne, bo to przecież poniemieckie, czyli niczyje. Policji zresztą też nie było, dlatego krążyły po mieszkaniach

różne watahy, często uzbrojone, kradnąc co popadnie. (Mariola Klink, *Baba z baby*, Warszawa 2014, s. 87)

„Jak Ruscy weszli to byli tacy Polacy co od razu szabrowali domy po Niemcach. To na pewno trzy osoby były. Stworzyła się też wtedy taka „milicja obywatelska”. (Andrzej Kujawa)

Wydaje się, że mieszkańcy Złotna tęsknią czasem do swoich dawnych sąsiadów. Choć na pewno nie do wszystkich.

„Tuż po wojnie to dużo Niemców zostało, nie chcieli wyjeżdżać. Jedną starą Niemkę pochowaliśmy. Kobiety niemieckie pracowały wtedy w polskich domach, przychodziły prac, dopiero w latach 50. się wyprowadzali. (Adam Pruk)

Cmentarz w Odzieradach

Jedynym namacalnym śladem po niemieckiej kulturze w okolicy jest dziś niewielki cmentarz ewangelicki założony w dawnej kolonii Odzierady (dziś to teren przy ul. Rąbieńskiej 66/68). Protestantka

wspólnota na Złotnie uczęszczała na nabożeństwa do Konstantynowa, ale najwidoczniej potrzebne jej było nowe miejsce pochówków. W latach 30. Kolegium Kościelne tamtejszej Parafii Ewangelicko-Augsburskiej wystąpiło do Starostwa Powiatowego Łódzkiego o pozwolenie na założenie cmentarza. Ówczesny pastor, Leopold August Schmidt, otrzymał pozwolenie na budowę w 1934 roku – na miejsce pochówków wybrano małą działkę o powierzchni 7216 m². Cmentarz nie miał kancelarii i przypominał wyglądem całą resztę wiejskich nekropolii ewangelickich w regionie – otaczał go ceglany mur z furką, a przez jego środek biegły dwie lipowe aleje przecinające się pod kątem prostym. Po wojnie cały teren cmentarza pokryty był grobami. Przez dłuższy czas większość z nich wciąż istniała, jednak mniej więcej od lat 60. postępowała coraz szybsza dewastacja terenu, w efekcie której do dziś nie zachował się niemal żaden cały nagrobek. Obecnie w ich miejscu rosną lilaki (w większości bzy) i konwalie, a aleje zawłaszczyła robinia akacjowa, zresztą gatunek inwazyjny.

„Niemcy mieli tak elegancki cmentarz, ale po wojnie ludność rozebrała płoty, wszystko rozkradli, kamieniarzę



też rozkradziono, kamieniarze przewracali płytę na drugą stronę i robili nowe napisy. Nasza sąsiadka Niemka była ewangeliczką, ale ponieważ ten cmentarz był w rozpaczliwym stanie, to ona po wojnie postanowiła przejść na katolicyzm, żeby być pochowana na cmentarzu katolickim. Sąsiadki chodziły uczyć ją modlitw i zasad religii katolickiej. (Leszek Fecko)

29. Nagrobek na opuszczonym cmentarzu ewangelickim w Odzieradach, dziś ul. Rąbieńska

STARE ZŁOTNO – PRAWDZIWA WIEŚ W MIEŚCIE ŁODZI

Jest jeszcze historia, która zasługuje na własny, zupełnie osobny rozdział.

Część dzisiejszego Starego Złotna należała do dóbr jagodnickich – jeszcze przed uwłaszczeniem powstała tu osada ulokowana na prawie niemieckim, położona w śladzie dzisiejszej ulicy o tej nazwie. Kiedy Nowe Złotno, Cyganka i pobliskie kolonie wypełniały się zabudową i rozwijały się gospodarczo, na Starym Złotnie wciąż dominowała gospodarka rolna. Jak wspominają starsi mieszkańcy, ziemie były tu żyzne, choć rozparcelowane w drugiej połowie XIX w. grunty nie dawały większego zarobku. A jednak tradycje rolnicze i wiejskie przetrwały tu do dziś w stanie – można powiedzieć – nienaruszonym.

Przed wojną podstawowym zajęciem mieszkańców była uprawa niewielkich pól i wypas krów na łąkach. Większość żyła z handlu mlekiem:

„To, proszę pana, dają mi się we znaki te moje wyprawy do miasta, przed wojną i po wojnie, kiedy wróciliśmy na swoje. A tu ani krowy, ani konia, wszystkiego trzeba się było dorabiać. Więc ja dałam się na mleko, nosiłam je do Łodzi na Jerzego, chyba ze 7 kilometrów, potem po schodach, 60–70 litrów w bańkach. A z powrotem dźwigało się zlewki dla świń, człowiek nogi pozrywał, teraz ciężko chodzić. Ale Helenka Urbaniakowa nosiła mleko jeszcze dalej, bo na Mielczarskiego (p. Stefania Kacprzak; T. Gicgier, *Wędrując z mikrofonem. Dzielnice Łodzi*, Łódź 1994, s. 90)

„Pracowałem w polu, ojciec był chory i miał pracownika. Jak skończyłem szkołę to zabrałem się za robotę, a potem wybuchła wojna. Gospodarstwo miało sześć hektarów, biednie było. Rolnicy ze Starego Złotna żyli z tego, że wozili mleko do miasta. Kto miał klientów, roznosił po mieszkaniach. Wstawałem o czwartej, o piątej, rowerem albo koniem woziłem do Poznańskiego. (Stefan Kwapisz)



30. Kapliczka na Starym Złotnie

Wspomnienia mieszkańców Starego Złotna różnią się od innych, choć oczywiście łączą je pewne wątki, takie jak zamiłowanie do kąpieli w stawach czy do seansów w kinie „Sojusz”. Przebija się z nich jednak przede wszystkim obraz tradycyjnej, wiejskiej wspólnoty:

„Ta nasza wieś, Stare Złotno, to jest taka inna wieś, taka z dziada pradziada. Tutaj jest dużo nazwisk takich samych, Figiel, Terpiał, to się cały czas pojawia. Ja mieszkam na Rąbieniu teraz i tam tak już nie jest. Tutaj są cały czas ławki przed domami, tu są same „ciocie” i „wujkowie”, nie ma pań i panów. I prawie każdy ma ksywę albo miał. Nie było tak, że po nazwisku się mówiło, bo się powtarzały nazwiska i trzeba było jakoś odróżniać. (Ilona Wojdyga)

Mieszkańcy Starego Złotna byli w trochę innej orbicie wpływów niż reszta Złotna. Na zabawy chodziło się często do Niesięcina, na mszę i odpust – do Konstantynowa. Brak połączenia z miastem i kiepski stan drogi nie zachęcał do dalekich podróży. Nie było tu nigdy większego sklepu, poza małym sklepikiem należącym do spolonizowanej Niemki. Ostatnią sołtyską była Teresa Krasieńska. Zaletą włączenia wsi

w granice Łodzi była szybsza elektryfikacja, która nastąpiła już w latach 50. Do dziś Stare Złotno, Jagodnica czy Huta Jagodnica zachowały jednak swój wiejski charakter, choć sporo działek zostało sprzedanych pod jednorodzinną i osiedlową zabudowę. Na dawnej wsi wciąż żyje zżyta i serdeczna społeczność, która dba o lokalne tradycje.

Koło Gospodyń Wiejskich

Na początku było Kółko Rolnicze na Starym Złotnie, które dziś mieści się przy ul. Złotno 134. 22 listopada 1962 roku powstało Koło Gospodyń Wiejskich, które miało dwa ogniwa – jedno przy Ochotniczej Straży Pożarnej, a drugie właśnie przy Kółku Rolniczym. Jego założycielką była Joanna Urbaniak, a na początku liczyło 28 członkiń. Pierwsze spotkania organizowano w budynku „po sklepie u Niemki”, w domu w którym wcześniej mieszkali państwo Kwiatkowscy (nie zachował się do dziś). Początki, jak wspominają mieszkanki, były trudne, bo żadna z nich nie miała doświadczenia w zarządzaniu pracą społeczną:

„Kupiłyśmy pralkę, którą kobiety mogły za niewielką opłatą wypożyczać, siewniczek, który ułatwiał zasiewy nasion i który można było po 5–10 złotych wypożyczać. Zorganizowałyśmy pierwszy kurs racjonalnego żywienia. Organizowałyśmy wycieczki krajoznawcze po Polsce. Były też kursy kroju, szycia, kaletnictwa, wiele prelekcji związanych z tematyką rolniczą. Były też prelekcje lekarzy, prawników czy pogadanki agronomów, które pomagały kobietom w chowie zwierząt. Organizowałyśmy dożynki, święta ludowe, Dzień Dziecka, Dzień Matki, Dzień kobiet, opłatek. (Bożena Podstawczyńska)

Dziś Koło wciąż działa prężnie, organizując spotkania, wyjazdy i uroczystości, takie jak Dzień Kobiet, Dzień Dziecka czy Dzień Seniora, gotuje też dania na Wigilię Dla Samotnych, organizowaną przez parafię i Radę Osiedla. Jak podaje pani Zofia Figiel, dziś do Koła należy 66 kobiet i liczba ta stale rośnie. Po kryzysie z lat 90. Koło odradza się, a w jego prace włączają się także kobiety z innych części Łodzi. Wciąż żywa jest na Starym Złotnie tradycja nabożeństw majowych, kultywowana nie tylko przez członkinie Koła. Organizowane są również dożynki, choć mieszkańcy najlepiej wspominają uroczystości z dawnych lat:



31. Rolniczy
krajobraz
Starego Złotna

” Dożynki były kiedyś takie, że były przedstawienia – począwszy od siania żyta po zbiory. Konie były, wieńce poplecione, to było coś pięknego. (Jadwiga Terpiał)

Ochotnicza Straż Pożarna

OSP w Starym Złotnie powstała pod koniec lat 30. Przed wojną wieś była gęsto zabudowaną ulicówką z domami krytymi słomą. Zagrożenie pożarem było spore – sąsiednie jednostki z Retkini, Niesięcina czy Srebrnej jeździły zwykle „na łunę”, czyli do dobrze już widocznego pożaru, z którym niemal nie dawało się walczyć. Jak podaje rozmówczyni Tadeusza Giegiera, Helena Urbaniak, w 1937 roku spaliła się niemal cała wschodnia strona wsi. 17 marca 1938 roku postanowiono powołać straż ogniową, a pierwszym prezesem zarządu został Józef Tyrpiał. Do gaszenia pożarów używano czterokołowej sikawki zaprężonej w konie. Jeszcze przed wojną małżeństwo Kwapiszów przekazało działkę pod budowę remizy, zaczęto też zbierać na ten cel składki. Wojna przerwała te plany, a w 1940 roku Niemcy formalnie rozwiązali OSP, konfiskując dokumentację jednostki oraz wszystkie fundusze i materiały zebrane na budowę.

Po 1946 roku odrodzona OSP Stare Złotno stała się częścią łódzkiej Straży Pożarnej, co pogmatwało nieco organizację pracy. Ale w roku 1952 po wymianie zarządu zdecydowano powrócić do projektu budowy remizy na dawnej działce. Z trudem uzyskano pozwolenie na budowę.

W 1953 roku wydarzyła się jednak tragedia – wybuchł kolejny wielki pożar wsi, tym razem obejmujący jej zachodnią stronę. W wyniku szybkiego rozprzestrzeniania się ognia spłonęło kilkanaście chałup:

” Tu było tak, że domki stały jeden po drugim i wszystkie były strzechą kryte. Wiatr był taki, że przerzucił snopki ze stodoły i cała jedna strona wsi poszła. Straż stała, auto przy aucie, całe Złotno. Ludzie tyle potracili... Mój tata z przetakiem do stodoły szedł, przednówek był to nic w tej stodole nie było, i rzucił ten przetak i mówi „pali się!”. A ja byłem wtedy w szkole, piąta klasa to była, akurat okna mieliśmy na tę stronę. Pan Bartoszewicz wtedy miał z nami lekcję i mówi „pali się!”. Wzięliśmy tornistry i biegiem, żeby zobaczyć. Straż stała na całej ulicy, kobiety wynosiły wszystko co mogły z domów. (Jadwiga Terpiał)

” Mało że ta strona się paliła, trzeba było drugą stronę pilnować, żeby też się nie zapaliła! Trzeba było chronić bydło, wyprowadzać krowy ze stodół. (Stefan Kwapisz)

Mimo tej tragedii wspólnymi siłami zaczęto wznosić budynek. W 1956 roku oddano do użytku remizę z dużą świetlicą i garażami do przechowywania sprzętu. Dopiero w 1959 roku jednostka otrzymuje swój pierwszy samochód – beczkowóz. Rozwój straży przyczynił się do rozbudowania garażu, w którym mogły od tej pory mieścić się samochody pożarnicze. Od 1965 roku w jednostce pełnione są dyżury etatowych kierowców.

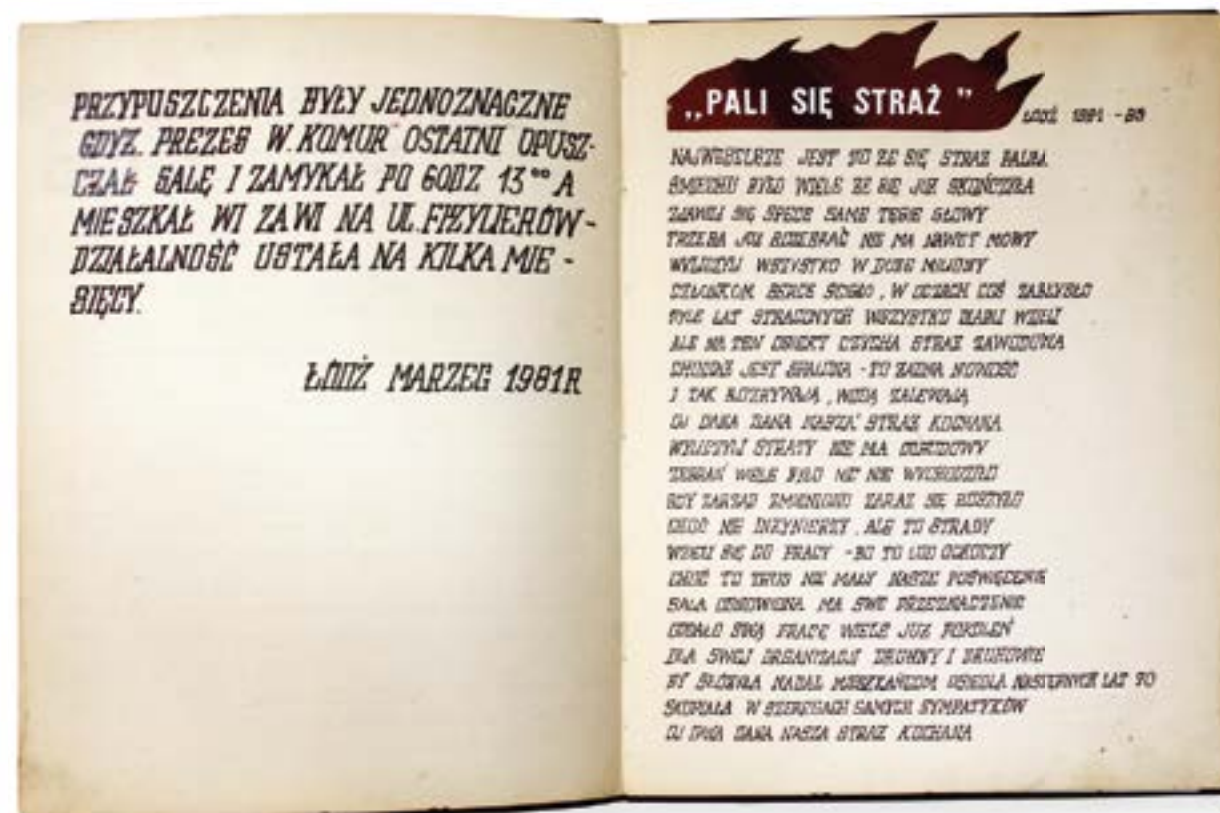
Dziś OSP działa w formie stowarzyszenia. Od momentu powstania służyłomieszkącom Starego Złotna pomocą w organizacji pracy społecznej, np. przy budowie wodociągu, ciągnięciu linii telefonicznej czy oświetlenia. Jak to zwykle na wsi bywa, budynek straży stał się także ośrodkiem kultury, z którego korzystały wszystkie organizacje społeczne i sami mieszkańcy – organizowano tam zabawy, wesela, sylwestry, a także przedstawienia teatralne. Sala remizy została wyremontowana i do dziś służy wszystkim mieszkańcom Starego Złotna:

” Straż jest u nas taką organizacją, wokół której wszystko się dzieje. Każdy mieszkaniec skorzystał lub skorzysta w naszych pomieszczeniach, świetlicy, zaplecza, no bo tu nie ma gdzie się spotykać. Jest jeszcze w kółku rolniczym taka świetlica, ale mniejsza. Tutaj się odbywają wszystkie imprezy, wesela, Dzień Kobiet, Dzień Matki. (Zofia Figiel)

Pali się straż na Nowym Złotnie

Opowiadając o straży pożarnej na Starym Złotnie, trudno nie wspomnieć o pewnym epizodzie z historii jej siostrzanej jednostki. OSP w Nowym Złotnie, założona 13 września 1913 roku, działała bardzo prężnie – po wojnie miała większy budynek i świetlicę niż straż starozłotniańska – a jednak nie ustrzegła się pewnych problemów.

Stojąca od roku 1924 remiza strażacka przy Płatowcowej 8 gościła wiele uroczystości. Jedną z nich było 25-lecie Ligi Kobiet obchodzone 8 marca 1979 roku. Jak podaje kronika jednostki, po zakończeniu obchodów z niewiadomych przyczyn zaczęła się palić sala od strony wschodniej. Dopiero gdy z pewnej



32. Fragment kroniki Ochotniczej Straży Pożarnej w Nowym Złotnie

odległości dało się zauważyć dym i płomienie, na pomoc przyjechał IX oddział Państwowej Straży Pożarnej z ul. Czołgistów. Budynek udało się uratować, choć *straty były znaczne w wewnętrznym wyglądzie*, a remiza przez kilka miesięcy była wyłączona z użytku. Autorzy kroniki napisali, że w kwestii powodów pożaru *przypuszczenia były jednoznaczne ponieważ*

prezes W. Komur ostatni opuszczał salę i zamykał po godzinie 13. Kronika nie podaje niestety, czy przeprowadzono w tej sprawie śledztwo i pociągnięto kogoś do odpowiedzialności. Przytacza za to żartobliwy wierszyk deklamowany pewnie podczas którejś z uroczystości, zatytułowany *Pali się straż*.

Fotografie

1. Fragment mapy Prus Południowych Davida Gilly’ego, wydanej w Berlinie w latach 1802–1803
2. Bohdan Baranowski, Jan Fijałek i inni, *Łódź. Dzieje miasta t. 1 do 1918 roku*, Warszawa 1988, s. 152–153
3. Wojewódzka Biblioteka Publiczna im. J. Piłsudskiego w Łodzi
4. Piotr Kowalczyk, Kamila Kula
5. Archiwum Map Wojskowego Instytutu Geograficznego
6. Archiwum Państwowe w Łodzi
7. Pieczętka ze zbiorów prywatnych p. Anny Lipińskiej i p. Leszka Fecko
- 8, 9, 10. Piotr Kowalczyk, Kamila Kula
11. Wacław Piotrowski, *Společno-przestrzenna struktura m. Łodzi: studium ekologiczne*, Wrocław 1966, s. 216
12. WikimediaCommons CC-BY-SA 3.0, autor: Wojciech Pysz
13. Wacław Piotrowski, *Společno-przestrzenna...*, s. 217

14. www.nk.pl
15. Piotr Kowalczyk, Kamila Kula
16. www.fotopolska.eu
17. Zdjęcie dzięki uprzejmości p. Ewy Gojawiczyńskiej
- 18, 19. Archiwum Państwowe
- 20, 21. Zdjęcie ze zbiorów Klubu Miłośników Starych Tramwajów w Łodzi
22. Piotr Kowalczyk, Kamila Kula
23. www.fotopolska.eu
24. Wojewódzka Biblioteka Publiczna im. J. Piłsudskiego w Łodzi
- 25, 26, 27, 28. Piotr Kowalczyk, Kamila Kula
29. Fotografia ze zbiorów Anny Wiercińskiej
- 30, 31. Piotr Kowalczyk, Kamila Kula
32. www.naszezlotno.strefa.pl



2

Drugą część naszej wędrówki rozpoczynamy na terenach dawnej puszczy i późniejszego miejskiego lasu. Zdrowie styka się bezpośrednio ze Złotnem i osiedlem im. Montwiłła-Mireckiego, a w jego skład administracyjny wchodzi również Mania. Wszystkie te miejsca są mocno związane ze wspomnieniami mieszkańców Złotna i w pewien sposób przenikają się nawzajem. Dziś osiedle administracyjne Zdrowie-Mania zamieszkuje ponad trzy tysiące osób.

**ZDROWIE
I MANIA**

NA POCZĄTKU BYŁ LAS...

Na terenach obecnego Zdrowia, podobnie zresztą jak na obszarze niemal całej współczesnej Łodzi, rozciągały się rozległe zespoły lasów naturalnych, zwane dziś Puszcza Łódzką. Nie wiemy o niej zbyt wiele poza tym, że drzewostan wchodzący w jej skład, a także runo, musiały być stosunkowo zróżnicowane. Rozciągała się od suchych, piaszczystych siedlisk na wschodzie do bardziej podmokłych na zachodzie obecnego miasta. Największą lesistością jeszcze w XVII wieku mogły się pochwalić obecne Stoki, Moskule czy Doły, najmniejszą zaś – Retkinia czy Rokicie.

Dominującą formą zalesienia okolicy był bór mieszanym w różnych typach, od suchego do wilgotnego. Bór sosnowy z domieszką dębu i innych drzew liściastych porastał wzniesienia i siedliska piaszczyste, za to w dolinach rzek i na terenach podmokłych królowały niezwykle bogate grądy, łęgi i olsy z dominantą grabu, topoli i olszyny. Z czasem, w miarę postępujących

wycinek i wysuszenia terenu, ziemie te porastały brzezina, grabem lub celowo sadzoną tam w celach gospodarczych sosną.

O naturalności tych ekosystemów świadczy też bogactwo fauny typowej dla puszczy, z kompletnym łańcuchem łożyskowym zamykającym się na dużych drapieżnikach takich jak wilki i rysie. Nazwy wielu osad i kolonii, takich jak Żubardź, Niedźwiedź czy Turowiec, świadczą o występowaniu w okolicy tak zwanej megafauny – największych zwierząt żyjących na obszarze Rzeczypospolitej. O czystości ekosystemu, zwłaszcza rzeczno-łęgowej, świadczą dawne zapisy o tym, że w przepływowych stawach biskupich na terenie Łodzi można było spotkać pstrągi.

Lasy Puszczy Łódzkiej były w większości naturalne lub posiadały cechy zbliżone do naturalnych. Eksploatowano je już z pewnością w XV wieku i to

prawdopodobnie w wyniku tej eksploatacji pojawiły się w puszczańskim kompleksie wyrwy w postaci łąk. Gospodarka w regionie, zwłaszcza od XVII wieku, opierała się głównie na wyřębie – choć zachowały się zapisy o tym, że w lasach kwitło również bartnictwo. W początkowym okresie rozwoju gospodarczego Łodzi lasy służyły za rezerwuar drewna na budowę domów, zakładów i infrastruktury. Wraz z rozrastaniem się przedmieść przeznaczano pod wyręb coraz większe połacie lasu, ale starano się w miarę możliwości chronić tzw. sukcesję gatunkową i sadzić drzewa, by drewna w przyszłości nie zabrakło. W XIX wieku przetrzebiono za to niemal zupełnie grubą zwierzynę leśną, o czym świadczą zapisy dotyczące niewielkiej liczby polowań już w latach 20. Na skutek odprowadzania ścieków zanieczyszczono też większość rzek.

W XIX wieku zdecydowanej większości łodzian nie było stać na wyjazdy pod miasto, „na letniki” albo do popularnych kurortów. Robotnicy nie mogli sobie pozwolić nawet na wejście do lepszych parków, woleli więc odpoczywać na łonie natury. Lasy zapępniały się wtedy spacerowiczami i piknikowiczami, poszukiwaczami grzybów i jagód. Łodzianie rozkładali się na łąkach i na ściółce, zdarzały się też zabawy z muzyką.

Ze względu na wilgotny charakter lasów i specyficzny mikroklimat nawet łódzka klasa średnia upodobała sobie konstantynowski las. W 1910 roku pociągnięto linię tramwajową z Łodzi do Konstantynowa, z przystankiem nieopodal leśniczówki istniejącej na terenie dzisiejszego parku. Mówiono wtedy, że do lasu jeździ się „po zdrowie” – i taka nazwa przyłgnęła już do tego miejsca na dobre.

W 1908 roku większość obszaru dzisiejszego Zdrowia i tzw. Mani-Lasu włączono do Łodzi. Dopiero w XX wieku zaczęto postrzegać go jako coś, co warto byłoby zachować nie tylko jako rezerwuar drewna, lecz jako teren, który może w przyszłości posłużyć jako „zielone płuca” miasta. W 1914 roku wycięto część lasu pod cmentarz na Mani, resztę postanowiono jednak zachować.

Niestety podczas pierwszej wojny światowej Las Miejski, zwany też Lasem Konstantynowskim, stał się ofiarą masowych wycinek. Realia życia w Łodzi były wtedy wyjątkowo trudne, brakowało nawet tak podstawowych towarów jak mąka, nie mówiąc już o importowanym opale. Zimą 1915 roku mieszkańcy miasta pierwszy raz pognali tłumnie do lasów



1. Straż Leśna rozdaje mieszkańcom Łodzi drewno z lasu konstantynowskiego, I wojna światowa



2. Wyrąb lasu przy ul. Srebrzyńskiej

na zachodnich peryferiach po odrobinę drewna na opał. Władze niemieckie z początku nazywały to „rabunkiem” i próbowały wydawać dekrety zakazujące samowolnej wycinki (wbrew pozorom, cesarsko-niemiecki zarząd starał się dbać np. o zielone aleje czy drzewa w mieście), ale szybko zmieniły zdanie. W tym samym 1915 roku powiększyły miasto o pozostałą część dzisiejszego Zdrowia, a w miejsce „rabunku” pojawiła się zorganizowana akcja wycinki i rozdawania drewna.

Przez kolejne lata wycinano coraz większe połacie lasów w tej okolicy. Można oszacować, że w wyniku tych działań mogło zniknąć nawet trzy czwarte drzewostanów, zwłaszcza na Mani i po południowej stronie ul. Konstantynowskiej, co przyczyniło się też do sporego osuszenia terenu i zmiany warunków siedliskowych. Na terenach należących dziś do Parku im.

Józefa Piłsudskiego jeszcze w latach 20. uprawiano ziemniaki. Po pierwszej wojnie światowej część przyległych obszarów zyskała wymowną nazwę Polesie Konstantynowskie.

W okresie międzywojennym zaczęto myśleć o Zdrowiu jak o potencjalnych terenach rekreacyjnych. Wyregulowano rzekę Bałutkę, zasadzono nowe drzewa i stworzono projekt Parku Ludowego. Ziemie dawnego majątku Brus rozparcelowano pod zabudowę jednorodzinną, choć ceny działek przyciągały raczej bogatszych łódzian. Władze miasta od początku chciały chronić Polesie Konstantynowskie jako teren zielony i w miarę możliwości niezabudowany. Uważano, że ta część miasta jest „najmniej narażona na dymy fabryczne” i z tego względu odegra rolę „basenu ze świeżym powietrzem dla naszego miasta, upośledzonego pod względem zdrowotnym”.

...A POTE M PARK

Pomysł utworzenia Parku Ludowego zrodził się jeszcze w 1904 roku w głowie Teodora Chrzęńskiego, twórcy m.in. Parku Sienkiewicza. Do idei, choć nie w pierwotnym zamyśle, powrócono już w pierwszych dniach po odzyskaniu niepodległości, jednak pierwszy projekt autorstwa Edwarda Ciszewicza został odrzucony przez Ministerstwo Kultury i Sztuki. Już w 1918 roku Wydział Plantacji Miejskich przystąpił do intensywnego zalesiania tego terenu, sadząc ponad 120 tysięcy drzew na dwudziestu hektarach terenów pólśnych. Projekt Ciszewicza wciąż służył jako podstawa przyszłej realizacji i to na jego podstawie rozpisano w magistracie konkurs.

Najważniejszą wytyczną dla projektantów było zachowanie obecnego drzewostanu i przystosowanie reszty obszaru pod drzewostan parkowy z przewagą drzew liściastych. Oprócz tego należało wydzielić tereny rekreacyjne i sportowe, gastronomiczne i rozrywkowe. Konkurs wygrał projekt braci Zajkowskich,



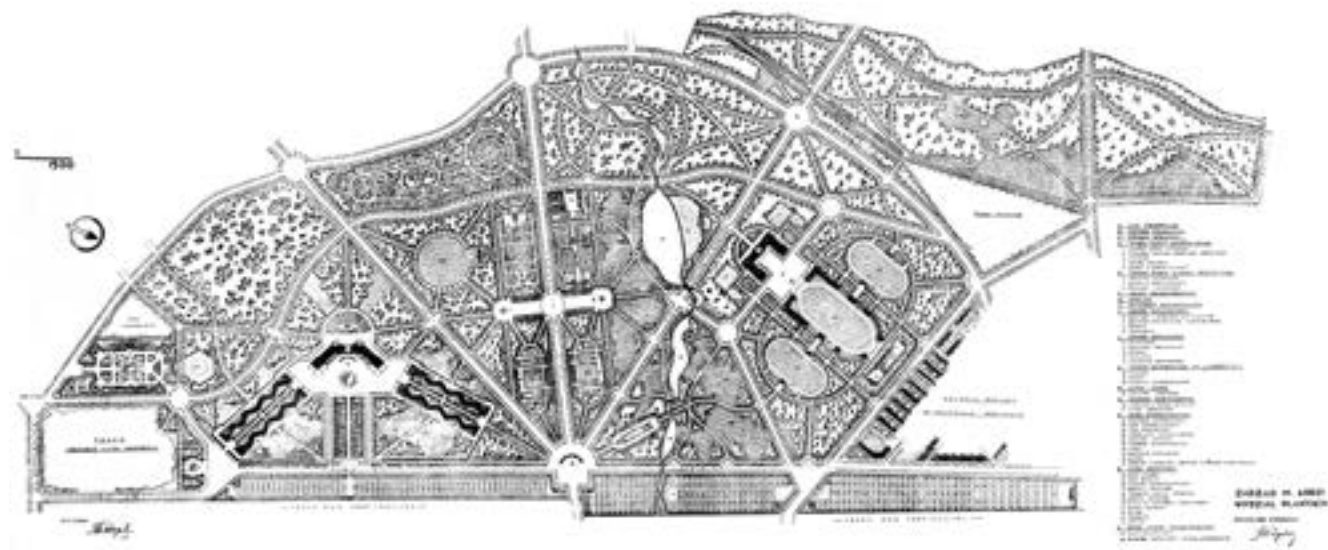
3. Staw w parku na Zdrowiu – widok archiwalny...

jednak nawet po decyzji o rozpoczęciu budowy parku w 1925 roku Wydział Plantacji Miejskich modyfikował plan, ciągle nanosząc poprawki. Na skutek tego aż do roku 1930 i ustalenia ostatecznej wersji projektu przez naczelnika wydziału Stefana Rogowicza nie rozpoczęto żadnych większych prac poza sadzeniem drzew i kopaniem stawów.

Zamierzenia były ambitne – park miał mieć powierzchnię ponad dwóch i pół tysiąca hektarów. Od początku zakładano, że zostanie on ulokowany po obu stronach ul. 11 Listopada (dziś Konstytucyjnej) i będzie miał układ gwiazdowy. Dwie idealnie proste główne aleje (al. Retkińska i al. gen. Orlicz-Dreszera) miały rozchodzić się od skrzyżowania 11 Listopada z al. Unii i sięgać aż do niewielkiej al. Zdrowie, zaś po osi północ-południe miały je przecinać mniejsze ścieżki o nieregularnym i swobodnym charakterze. Niesymetryczny układ miał ułatwić zachowanie ocalałych drzew w zachodniej części parku i zbliżyć doświadczenie spaceru po parku do spaceru po dawnym lesie – stąd liczne powyginane i powykręcane alejki. Nie przypominało to w niczym klasycznych założeń w stylu angielskim, jak Park im. Poniatowskiego, czy francuskim, jak Park im. Matejki.



4. ...i współczesny



5. Plan Parku Ludowego, rok 1930

Koncepcja parku robiła wielkie wrażenie: już u zbiegu alei miał stanąć łuk triumfalny. Po północnej i południowej stronie ul. 11 Listopada wytyczono miejsce na pomniki Poległych (na północy) i Wolności (na południu). Przy al. Retkińskiej miały wyrosnąć pawilony wystawy stałej i przestrzeń dla wystaw czasowych (a w niej na przykład basen z wodotryskiem), a także ogród zoologiczny i botaniczny. Zaprojektowano także tor saneczkowy i infrastrukturę parku sportowego, taką jak Dom Ludowy. Zadbano też o akcent patriotyczny – na planie można znaleźć niewielkie Wzgórze Niepodległości na którym zasadzono Dąb Niepodległości, zaprojektowano też Aleję Zasłużonych. A wszystko to w otoczeniu terenów wypoczynkowych, zieleni i wody, a także pierwszych w Łodzi ogródków działkowych przy al. Unii. Warto wspomnieć, że Rogowicz dostał za ten projekt nagrodę na Krajowej Wystawie Ogrodniczej w Poznaniu. Gdyby jego zamysł zrealizowano wtedy w całości, byłby to najprawdopodobniej największy park w granicach miasta w ówczesnej Europie.

Właściwe prace rozpoczęto dopiero w 1930 roku. Najwięcej trudów sprawiały prace związane z budową

infrastruktury, bo z konstrukcjami takimi jak kolektory wodne, jak również z wycinką lasu i budową placów poradzono sobie do 1934 roku. W 1935 roku, po przerwie spowodowanej wstrzymaniem środków, zakończono wyręb drzew pod budowę dróg i oddano do użytku sporą część parku. W 1936 roku zmieniono jego nazwę na Park im. Józefa Piłsudskiego.

Jedną z przeszkód, z którymi zmagał się magistrat, był spór z wojskiem. W samym środku projektowanego parku, mniej więcej obok dzisiejszych stawów, istniała wybudowana przez Niemców w okolicach 1916 roku strzelnica szkoleniowa. Korzystała z niej prawdopodobnie 10 Dywizja Piechoty i jednostki Garnizonu Łódzkiego przychodzące tu na ćwiczenia z ul. Jerzego. Plac pod strzelnicę dzierżawiono od Adolfa Biedermanna.

Miasto od początku uważało jej lokalizację za problematyczną. Gdy pod koniec lat 20. trwały prace związane z wyrębem drzew i budową stawów, miasto zatrudniało do nich bezrobotnych, którzy skarżyli się na hałas i niebezpieczną bliskość strzelnicy. Magistrat uznał jej istnienie za zagrożenie dla bezpieczeństwa robotników i nakazał Garnizonowi

zlikwidowanie obiektu. Niestety wojsko nie chciało się na to zgodzić, argumentując, że nie ma w tej chwili innego obiektu ćwiczebnego. Urzędnicy miejscy twardo stali na stanowisku, że wojsko powinno natychmiast opuścić ten teren, lecz odpisywano im tylko, że jest on prywatny i dzierżawiony zgodnie z prawem. Nie chcąc czekać, aż któryś z robotników odniesie rany, miasto zagroziło przymusowym wykupem całego terenu i wypowiedzeniem umowy z wojskiem. Na tę groźbę zareagowało dowództwo Okręgu Łódź, kategorycznie odmawiając i zasłaniając się interesem obronnym kraju. W wyniku dość ostrej wymiany korespondencji miasto ostatecznie zgodziło się, że nie wykupi terenu, lecz wskaże wojsku inną lokalizację dla strzelnicy. W zamian za to Garnizon zlikwiduje plac ćwiczebny i strzelnicę w pobliżu parku. Proponowano m.in. teren na Stokach i na dalekich wschodnich krańcach Złotna, jednak wojsko uznało je za nieodpowiednie. W końcu urzędnicy przekonali Biedermanna do odstąpienia od umowy z Garnizonem i użyczenia wojsku nieużytków na Brusie. Na przełomie lat 1929–1930 zarówno plac garnizonowy, jak i strzelnica zostały ostatecznie zlikwidowane. Nad głowami robotników przestały świszczeć kule.

Ostatnim symbolicznym gestem związanym z budową parku była zmiana charakteru użytkowania całego jego terenu z leśnego na parkowy, a więc wyłączenie go spod jurysdykcji Leśnictwa Miejskiego. Wtedy to zlikwidowana została leśniczówka pod ówczesnym adresem 11 Listopada 131, opisywana na niektórych starych mapach jako „osada leśniczego”. Jej pokryty dachówką budynek stoi zresztą w parku do dziś i mieści się w nim lokal gastronomiczny.

„*Mój pradziadek pracował tam w parku jako stróż i pilnował koni, które należały chyba do zarządu zieleni miejskiej – to było już po wojnie. W nocy musiał koni pilnować, ale przysnął i okazało się, że je ukradli. Zdał się, że potem je znaleźli. To były konie pociągowe, używali ich chyba do prac w parku.* (Anna Lipińska)

Z powodu braku funduszy nie udało się zrealizować całego projektu parku. Powstała większość planowanych boisk i kortów, Kolumna Rewolucjonistów, park dendrologiczny, tor saneczkowy, wieża spadochronowa, rezerwat przyrody, wzgórek widokowy nad stawem, a nawet ogród zoologiczny, jednak właściwą rozbudowę obiektu zaplanowano dopiero na rok 1940. Niemcy podczas okupacji nie podejmowali prób

rozbudowy parku, nie trudzili się nawet, by wymyślić mu jakąś nazwę (nazywali go Volkspark, czyli park ludowy), choć, jak można sądzić po pocztówkach, chętnie korzystali z jego atrakcji, zwłaszcza stawów, po których już przed wojną można było pływać łódkami.

Po wojnie rozbudowano ogród zoologiczny i uzupełniano wyposażenie parku, jednak niemal całkowicie zarzucono koncepcję jego rozbudowy po południowej stronie ul. Konstantynowskiej. Teoretycznie wracano często do tego pomysłu, zapowiadano szalone inwestycje, wśród których była nawet kolejka linowa łącząca obie części parku nad ziemią, ale zawsze kończyło się na deklaracjach. Gorącym orędownikiem sprawy był Andrzej Makowiecki, reporter tygodnika „Odgłosy”, który na jego łamach kilkakrotnie przypominał o potrzebie powstania „wielkiego parku” i nie krył rozczarowania opieszałością władz. Ostatecznie spora część pierwotnych zamierzeń została w pewien sposób zrealizowana. Dopiero w latach 60. powstał ogród botaniczny (znacznie większy niż zamierzano), a w latach 70. kolejno kompleks Fala i Luna-park. Skasowano tor saneczkowy, nie wybudowano nigdy rozmaitych pawilonów wystawowych, fontann,



6. Tor saneczkowy w parku na Zdrowiu

sadzawek i małych skwerów w stylu geometrycznym, zrezygnowano też z zagospodarowywania terenu sięgającego do ul. Siewnej. Miało to jednak swoje zalety – w naturalny sposób odnowił się las na Mani i w pobliżu rezerwatu. Oba do dziś urzekają swoim pięknem i bogatym podszytem kwitnącym na wiosnę. Są też świetnym schronieniem od męczących upałów.

Sam park pozostał atrakcją niedzielnych wycieczek wielu łódzian i miejscem, z którym wiążą się liczne wspomnienia mieszkańców Zdrowia, Złotna i osiedla im. Montwiłła-Mireckiego. To tu chodziło się na pikniki, na lody, na zabawy, na romantyczne spacer,

popływać kajakiem lub łódką, postrzelać z wiatrówki na strzelnicę...

” Tutaj była swoboda, ludzie lubili nasz park, np. w Parku Sienkiewicza nie wolno było wejść czy usiąść na trawie, bo dozorczy zwracali uwagę od razu. A tutaj można było sobie w każdym miejscu kocik czy ręcznik rozłożyć. Chodziło się oczywiście na spacer do parku, ale później w niedzielę to mało kto z nas już szedł, bo przyjeżdżała cała Łódź. Rozsiadali się nad stawami, panowie leżeli już wieczorem odłogiem, bo w międzyczasie niejedną butelkę opróżnili. (Krystyna Trojanowska)

” Przychodziło się na karuzelę na róg Konstantynowskiej i al. Unii, całe rodziny szły na majóweczkę, ta karuzela to straszna mordownia była, mówiło się, że puszczają tam najgorsze utwory z dedykacjami. (Adam Pruk)

” Pamiętam, że do parku często przychodzili żołnierze na przepustkach i podrywali dziewczyny. Działki odbierały trochę parkowi ludzi z naszego osiedla, bo ludzie mieli tutaj obok działki, tu gdzie są ogródki pracownicze. (Małgorzata Adamczyk)

Witold Głuchowski we wspomnieniach z czasów licealnych pisał, że park był ulubionym miejscem do wagarowania:

” Położenie szkoły przy tak atrakcyjnym terenie miało ogromne znaczenie. Przekładało się choćby na liczbę opuszczonych godzin lekcyjnych, a także całych dni – zwłaszcza wiosną i latem. W piękne, ciepłe majowe dni z parku milicja (czyli ówczesna policja) potrafiła wywozić dwa, trzy samochody wagarowiczów. I nie były to samochody osobowe, a milicyjne ciężarówki Lubliny. My z „osiemnastki” byliśmy w parku bezpieczni, ponieważ zawsze mogliśmy się tłumaczyć, że mamy przerwę lub wolną lekcję, czyli tzw. okienko, a szkoła znajduje się praktycznie w parku, więc jesteśmy u siebie. Bo istotnie w parku byliśmy u siebie. (Witold A. Głuchowski, *Piękne lata w trudnych czasach*, czyli życie szczęśliwego licealisty w Łodzi, s. 50)

W latach 50. w parku stanęła muszla koncertowa – jeden z trzech takich amfiteatrów w Łodzi, zaprojektowanych przez Henryka Gromskiego i Mirosława Rybaka. W jej bryle socrealistyczna stylistyka miesza się z historyzmem, nawiązując bezpośrednio do

klasycyzmu. Muszla była miejscem wielu oficjalnych uroczystości, ale także koncertów plenerowych:

” Jako ciekawostkę mogę powiedzieć, że jak byłam młoda to koncert w muszli grał zespół Trubadurzy, chyba wtedy zresztą nie nazywali się jeszcze Trubadurzy, ale mieli już ten skład. Takie mieli początki, grali, jak to się mówiło, do kotleta. (Jolanta Cała)

Często wspomina się parkowe potańcówki, organizowane jeszcze w latach 70. – część miejskiej tradycji, która odeszła już w zapomnienie:

” Codziennie w parku odbywały się wieczorki taneczne, potem były tam tańce na tzw. dechach. Na rogu Konstantynowskiej i ul. Zdrowie był Salawa, który miał restaurację w wysokim, drewnianym domu. Restaurację zlikwidowali jakoś w latach 50., ale jeszcze ją dobrze pamiętam. (Roman Malicki)

” Chodziło się wtedy na tańce na dechy, bo tam podłoga z desek była. Można było wypić piwo, schodzili się bardzo różni ludzie. Jeden drugiemu się nie spodobał i od razu „skąd jesteś”, i bijatyki były. Przychodziło Żółto, Mania, Polesie, Koziny, i ze Złotego Rogu przychodzili

często, to znaczy z okolicy Lipowej, 1 Maja i Andrzeja. Jak się tam poszło, czy na Bałuty, to też można było dostać po pysku. (Stanisław Koprowski)

Andrzej Makowiecki w jednym z reportaży dla „Odgłosów” w dość obrazowy, choć trochę opryskliwy sposób, opisuje parkowe loterie dla dzieci:

” Pierwszy szakał, bezzębny, zachrypnięty jak nieboskie stworzenie działa w otoczeniu członków rodziny. Wrzeszczy – Białe wygrywa, czarne przegrywa! Odjazd panowie! Za jedyne 5 złotych! Kręci się koło loterii: szare, drgające piórko częściej zatrzymuje się na polach czarnych, bywa jednak, że wypada również białe. Co wtedy? Wtedy za 5 złotych dzieciak – bo grają przede wszystkim dzieci – otrzymuje od szakala dropy albo któryś z tych glinianych potworków (a występują tam po równo: pieski, kotki, papużki, koguciki i indyki tak koszmarnie i niepodobne do swoich żywych pierwowzorów, że krzywią się na ich widok z niesmakiem nawet najbardziej pozbawieni gustu ludzie). (A. Makowiecki, *Białe wygrywa, czarne przegrywa*, „Odgłosy” nr 25/1975, s. 7).

Rozmówczyni Tadeusza Gicgiera nie widziała tego jednak w tak ponurych barwach:



7. Muszla koncertowa w parku na Zdrowiu



8. Kramy przed wejściem do Lunaparku, lata 70.

„A ja, proszę pana, lubię popatrzeć na te biwakujące w każde święto rodziny, jak rozkładają koce, zawieszają hamaki, jak bawią się i śpiewają. A potem, wieczorem zbierają się tu blisko nas na przystanku (p. Klementyna Gołofitowa; T. Gicgier, *Wędrując z mikrofonem. Dzielnice Łodzi*, s. 38)

Jedną z ulubionych rozrywek były oczywiście „łódki”. Przystań istniejąca już od czasów przedwojennych po wojnie należała do Klubu Sportowego „Tramwajarz” powstałego przy łódzkim MPK. Nie ma chyba mieszkańca Łodzi, któremu nie zapadł w pamięć charakterystyczny krzyk wydobywający się z megafonu.

„Było słyszeć jak krzyczał przez tubę facet z klubu „Tramwajarz”: KAJAK NUMER JEDEN DO BRZEGU, ŁÓDKA NUMER DWA DO BRZEGU. Taki był stawik malutki, co on tak krzyczał, kiwnąłby ręką i każdy by wiedział. Całe Złotno słyszało jak krzyczał. (Andrzej Kujawa)

„Ten pan nazywał się chyba Wacek i pracował w MPK. Miał bardzo charakterystyczny, taki wysoki głos, krzyczał tak nosowo przez tubę „kajak dziewiątka do brzegu!”. Naprawdę niosło się po całej okolicy, z okna na osiedlu spokojnie się go słyszało. (Krystyna Trojanowska)

Po dawnym torze saneczkowym została tylko górka, którą nazywano „szklanką”, póki nie zarosła. Przystań działała także przystań kajakowa i Lunapark. Amatorów pluskania się w wodzie wabi nowocześnie wyposażona Fala, choć w dawnych czasach prym w okolicy wiodł basen w pobliżu starego stadionu ŁKS-u na który dawniej chodziło wielu mieszkańców Zdrowia i Złotna.

W innym reportażu Andrzeja Makowieckiego pojawiły się też obrazy, które sugerowały, że park był miejscem wyjątkowo niebezpiecznym:

„Po ósmej wieczorem Zdrowie było (i jest jeszcze) przytuliskiem dla bandziorów. Ktoś powiedział, że stanowi ono TAPCZAN ŁÓDZI. Z jednej strony, na polankach, zakochane parki – z drugiej zawodowi, krzakowi podglądacze: pijacy, zboczeńcy, złodzieje, potrafiący buchnąć parce pogrążonej w miłosnych zapasach nie tylko portfel czy torebkę, lecz również całe ubranie. (Andrzej Makowiecki, *Zdrowie – wizja przyszłości*, „Odgłosy” nr 20/1972, s. 3)

Mieszkańcy twierdzą jednak, że poza potańcówkami, na których dochodziło czasem do rękoczynów, nie przypominają sobie, żeby na Zdrowiu trzeba było do tego stopnia bać się przestępczości.

Wieża spadochronowa

Aeroklub Łódzki im. kpt. Franciszka Żwirki założony w 1929 roku bardzo pręźnie rozwijał swoją działalność spadochroniarską. W 1937 roku zorganizował pokazy skoków na Lublinku dla ponad 60 tysięcy widzów. „Głos Poranny” doniósł wtedy co prawda, że jeden ze spadochroniarzy zaczął się na drzewie, jednak i ten wypadek nie zniechęcił entuzjastów

pokazu. Aeroklub na fali tego entuzjazmu postanowił zarazić szersze grono obywateli zamiłowaniem do latania i skakania, tworząc w Łodzi ośrodek szkolenia spadochronowego. Namówił więc Ligę Obrony Powietrznej i Przeciwgazowej do zbudowania wieży spadochronowej. Najwyższa tego typu konstrukcja w Polsce z elektrycznym wyciągiem została oddana do użytku przez LOPP już w 1938 roku. Znalazła się w Parku Ludowym, niedaleko ul. Krzemienieckiej. Przed wojną służyła przede wszystkim skoczkom z Aeroklubu, jednak od czasu do czasu zezwalano na skoki amatorom. W latach powojennych wieża stała się masową atrakcją. Najczęściej skakano z pomocą przymocowanej do liny uprząży. Jak wspomina Witold Głuchowski:

” Co do wieży spadochronowej [...] budowla ta stanowiła niewątpliwie pierwowzór instalacji do skoków na bungee. Należy sobie wyobrazić stalową wieżę, wysoką na około 10–12 pięter, a na jej szczycie platformę, na którą wchodziło się po wąskich, metalowych schodach. Z platformy tej poszukiwacze ekstremalnych wrażeń oddawali skoki na niemal prawdziwym spadochronie. Była to bowiem czasza zbliżona do autentycznego spadochronu, z właściwą spadochronową uprzążą,

w którą zapinano śmiałka skaczącego w wielopiętrową otchłań. (Witold A. Głuchowski, *Piękne lata w trudnych czasach, czyli życie szczęśliwego licealisty w Łodzi*, s. 49–50)

Większość z naszych rozmówców nie odważyła się jednak na taki wyczyn – wołała popatrzeć.

” No, ze mnie mieli trochę rozrywki, bo skoczyłam w granatowej, plisowanej spódnicy. Weszłam na górę, bo koledzy wchodzili, a potem już nie było odwrotu. Facet na górze zdenerwował się i mnie popchnął, i poleciałam. Kolejki się ustawiały, najpierw chyba było darmo, a potem dopiero wprowadzili opłaty, ale to w późniejszych latach. (Krystyna Trojanowska)

Wieżę rozebrano w latach 60. Aeroklub podaje, że w latach powojennych wykonano z niej ponad 19 tysięcy skoków. Wszystkie gromadziły sporą widownię i były przyjemnym urozmaicheniem niedzielного popołudnia w parku na Zdrowiu. Materiał informacyjny o wieży z zapisem skoków bez asekuracji został wyemitowany w kronice filmowej z 1948 roku, dostępnej dziś w repozytorium cyfrowym Filmoteki Narodowej. Konstrukcja była też miejscem akcji

9. Wieża spadochronowa – podczas skoku...

10. ...i po wylądowaniu, zdjęcie wykonane w dniu otwarcia wieży



filmu krótkometrażowego *Tchórz* Wojciecha Fiweka z 1966 roku.

Pomnik czynu rewolucyjnego

1 maja 1923 roku na terenie projektowanego jeszcze Parku Ludowego odsłonięto uroczyscie Kolumnę Rewolucjonistów, upamiętniającą ofiary represji przeciwko robotniczemu powstaniu 1905 roku. Miejsce było nieprzypadkowe – to właśnie w Lesie Konstantynowskim spoczywała część szczątków pomordowanych przez carskie wojsko. Z polecenia prezydenta miasta ciała złożono do wspólnej mogiły. Kolumna z krzyżem stanęła we wnęce przy ul. 11 Listopada. Po przeciwnej stronie zamierzano zbudować Pomnik Wolności (dziś mieści się tam pozostałość po planowanej Alei Zasłużonych). Kolumna została wysadzona przez Niemców w 1939 roku, a po wojnie miejsce pamięci popadło w zapomnienie.

Dopiero w latach 60. władze zdecydowały o postawieniu w tym miejscu pomnika, który zastąpiłby dawny obelisk. W 1967 roku ogłoszono konkurs, którego zwycięzcą został Ludwik Mackiewicz. Jego projekt

był wyjątkowo minimalistyczny – pomnikiem miała być gruba na dwa metry i wysoka na dwadzieścia metrów płyta żelbetowa z napisem „1905” na szczycie. Na dole miały wspierać ją mury oporowe, tworzące rodzaj bramy. Władze miasta nie zdecydowały się jednak na realizację tego projektu. W roku 1970 ogłoszono kolejny konkurs, który wygrał projekt Kazimierza Karpińskiego. Komitet Centralny PZPR odrzucił jednak jego pierwotny pomysł, polegający na przerzuceniu nad ul. Konstantynowską strzelistego betonowego łuku. Zamiast niego powstała realizacja, która stoi tam do dziś.

Pomnik miał zostać wybudowany na 70-lecie rewolucji 1905 roku, jednak chciano nadać mu inny zamysł polityczny niż dawnej kolumnie. Miał on bowiem upamiętnić ogólną ideę „czynu rewolucyjnego”, pokazując ciągłość pomiędzy dawnymi staraniami robotników a obecnym „socjalistycznym” systemem – stąd pomysł, by pojawiły się na nim daty związane z historią bardziej współczesną, na przykład z wyzwoleniem Polski w 1945 roku. Gotowe dzieło, wysokie na 30 metrów, odsłonięto w 1975 roku, a na uroczystości pojawiła się m.in. Zofia Marchlewska, córka Juliana Marchlewskiego. Przy okazji budowy



11. Kolumna-mogiła
rewolucjonistów
1905 roku



pomnika wykopano z ziemi szczątki rewolucjonistów i pogrzebano je na cmentarzu na Dołach.

Dół pomnika stanowiła płaskorzeźba z wizerunkami robotników i żołnierzy autorstwa Józefa Zięby i Stanisława Siedlika. Dzieło wraz z wyrytym na granitowym piedestale wierszem „Pięćdziesięciu” Władysława Broniewskiego miało przypominać, że żołnierze Armii Czerwonej i Ludowego Wojska Polskiego są sojusznikami robotników w walce klasowej. Na placu u stóp pomnika organizowano najczęściej uroczystości upamiętniające ważne daty z historii ruchu robotniczego, w tym miejscu kończyły się też zwykłe łódzkie pochody pierwszomajowe.

Po transformacji ustrojowej pomnik stracił na znaczeniu, wywołując dość ambiwalentne odczucia. Nowe władze miasta nie chciały się nim zajmować z racji jego PRL-owskiego rodowodu, od czasu do czasu pod jego cokołem składali kwiaty i znicze członkowie niszowych lewicowych ugrupowań. Najbardziej upodobali sobie pomnik miłośnicy wspinaczki – żelbetowa konstrukcja ma liczne pofałdowania i załomy, a jej wysokość stanowi wyzwanie dla niejednego

wspinacza. W „Dzienniku Łódzkim” z 2005 roku dziennikarz cytuje taką wypowiedź:

„– *Wspinam się tu latem i zimą. Ostatniego sylwestra spędzałem na platformie nad datą 1945 – opowiada Grzegorz Bujak, który wspina się od siedmiu lat. – Kiedyś próbowali mnie ściągnąć z góry policjanci. Godzinę namawiali mnie, żebym zjechał, ale w końcu dali za wygraną. (Pomnik Czynu Rewolucyjnego do remontu, „Dziennik Łódzki”, 8 marca 2005 r.)*

W tym samym roku odbyły się skromne obchody stulecia Rewolucji 1905 roku w Łodzi, a ze strony miasta pojawiły się nieśmiałe plany modernizacji pomnika w parku na Zdrowiu. Pierwszy wniosek o to złożył Komitet Wojewódzki Polskiej Partii Socjalistycznej – zarówno miasto, jak i autor oryginalnego projektu zgodzili się na odnowienie i przekształcenie monumentu tak, by powrócić do pierwotnej myśli, która towarzyszyła jego postawieniu w latach 20. Z korony usunięto daty niezwiązane z Rewolucją 1905 roku, a rzeźbiarz Mieczysław Paska przemodelował postacie żołnierzy z bronią tak, by przypominały robotników. W podstawie umieszczono też płyty z nazwiskami poległych rewolucjonistów. Przypomnienie o tym

miejsu i o randze tych wydarzeń w mediach zaowocowało z biegiem lat wzrostem zainteresowania tematyką Rewolucji i Powstania Łódzkiego, przywracając pamięć o istotnym epizodzie z łódzkiej historii.

Rezerwat przyrody „polesie konstantynowskie”

Już w początkowych fazach planów budowy Parku Ludowego władze Łodzi dostrzegały konieczność zachowania jak największej ilości terenów zielonych, które przetrwały wojenne wycinki. To właśnie wtedy pierwszy raz w oficjalnych dokumentach pojawiło się sformułowanie „Puszcza Łódzka” w odniesieniu do lasu, który pokrywał kiedyś większą część miasta. Nic dziwnego, że jedną z części projektowanego parku niemal od początku był rezerwat przyrody, chroniący resztki dawnego lasu bagienno. O jego powstanie zabiegało mocno Towarzystwo Przyrodnicze im. Stanisława Staszica. W uzasadnieniu swojego wniosku do magistratu napisało ono m.in.:

„*Jakkolwiek dzieła sztuki często mogą mieć wysoką wartość estetyczną, to jednak odcinek lasu pierwotnego*

zawiera najbardziej istotne piękno naszej ziemi [...]. Przebywanie w otoczeniu pierwotnej przyrody, choćby na tak małym skrawku jakim jest kilkahektarowy rezerwat należycie utrzymany wpływa niezwykle dodatnio na psychikę człowieka zmęczonego ujemnym wpływem życia w środowisku miejskim.

Decyzja o utworzeniu rezerwatu zapadła 23 maja 1930 roku. Została unieważniona przez władze niemieckie, zaś w czasach powojennych uznano go za obiekt chroniony dopiero w roku 1954. Należy dodać, że był to pierwszy w Europie rezerwat przyrody utworzony w granicach miasta. Jego obszar chroni resztkę ekosystemu leśnego o cechach naturalnych. Tworzą go zespoły grądu, olsu i łęgu jesionowo-olchowego

(dawniej również boru wilgotnego sosnowo-świerkowego). Ponadstuletnie olsze stanowią większość drzew, reszta to typowy dla puszczańskich drzewostanów grab, dąb szypułkowy czy czerecha i brzoza brodawkowata. Ze względu na zacieniony charakter lasu, pnie porasta bujnie bluszcz pospolity. Nienaruszone przez gospodarkę leśną runo jest wyjątkowo bogate (kopytnik pospolity, jaskier kosmaty, gwiazdnica gajowa), również dzięki nieusuwanu martwych drzew, które stanowią cenne źródło minerałów dla gleby oraz schronienie dla tysięcy owadów i mikroorganizmów.

Rezerwat służy biernej ochronie ekosystemu, a wstęp na jego teren jest wzbroniony.

ELEGANCKIE PRZEDMIEŚCIA

Osiedle, które nazwano później Zdrowiem, wyrosło na rozparcelowanych gruntach majątku Brus. Jego niewielka część powstała najprawdopodobniej już w czasach pierwszej wojny światowej. Wcześniej w okolicy istniały tylko nieliczne zakłady przemysłowe i czynszowe kamienice dla robotników przy ul. Konstantynowskiej. W latach międzywojennych na zachód od Parku Ludowego zaczęła pojawiać się zabudowa jednorodzinna, rozrastając się mniej więcej od zabudowań przy ulicach Tarnowskiej, Rzeszowskiej czy Biedermanna (dziś ul. Zyndrama) w stronę północną i wschodnią. W latach 30., po ostatecznej regulacji całego osiedla, powstała obecna siatka ulic. Ten regularny układ złamała dwukrotnie szersza od pozostałych al. gen. Orlicz-Dreszera (dziś ul. Michałowicza), będąca w czasach przedwojennych przedłużeniem alei o tej samej nazwie w Parku Ludowym. Miało to związek z projektowaną linią tramwajową, która miała biec właśnie tą ulicą i kończyć się pętlą przy ul. Zakręt.

13. Osiedla Zdrowie i Mania, 1930 rok





15. Przedwojenne lata na Zdrowiu
na kartach albumu rodzinnego
p. H. Malickiej

14. Eklektyczna kamienica
na Zdrowiu, ul. Zyndrama 34



Ziemie były tu stosunkowo drogie, toteż większość właścicieli domów w tej okolicy należała do wyższej klasy średniej, reprezentującej prestiżowe zawody. Byli to np. urzędnicy, wojskowi, kolejarze, właściciele ziemscy, nauczyciele czy lekarze. Usługi dla nich świadczyli drobniejsi rzemieślnicy, sklepikarze i znachorzy, mieszkający zwykle w wynajętych lokalach lub w domach w których prowadzili swoje zakłady. Większość zabudowy Zdrowia jest już murowana, a na wielu ulicach można spotkać bogate modernistyczne realizacje architektoniczne o wysokich walorach estetycznych.

Wiele wspomnień dawnych i obecnych mieszkańców jest związanych z parkiem i leśnymi okolicami parku. Sporo z nich zanotował Tadeusz Gicgier:

„Ja, proszę pana, tutaj się wychowałem, mieszkam od 1927 roku. Ojciec pracował na kolei, wybudował ten domek i siedzimy w nim do dziś. Pamiętam, były tu przed wojną tzw. sezonowe roboty, kiedy urządzono park na Zdrowiu. Ci sezonowi robotnicy regulowali rzekę Łódkę i Bałutkę, bo one łączą się tutaj ze sobą w pobliskim lesie. Mieli taki spory kociołek i parzyli w nim sobie miętę dla ochłody. A kiedy była zła pogoda, chronili

się w naszej komórce przed deszczem. (mieszkaniec ul. Zdrowie; Tadeusz Gicgier, *Wędrując z mikrofonem. Dzielnice Łodzi*, s. 37)

„Panie, ja pamiętam jeszcze czasy, gdy każdego rana budziła mnie kukulka. Teraz tych ptaków tu nie uświadczysz. A na majówkę wybierano się po fajerancie i bawiono do niedzieli wieczór. Z kocem, wódeczką, wałówką i harmonią. No i konopnym sznurkiem. Nie, niech pan nie myśli, że ktoś chciał się na nim powiesić. Tym sznurkiem ogradzano wokół kilka sosen, było to miejsce zarezerwowane wyłącznie dla danego towarzystwa. Taki mały azyl, dwudniowa własność łódzkich rodzin, które często klepały przysłowiową bidę. (p. Edward Gołofit; Tadeusz Gicgier, *Wędrując z mikrofonem. Dzielnice Łodzi*, s. 40)

Dało się zauważyć pewien wyraźny podział na bogatszych i biedniejszych mieszkańców Zdrowia:

„Przed wojną, jak szłam do szkoły, mówiło się, że przyszła ta z rejonu „A”, z okolic domków jednorodzinnych. Bo tu na Zdrowiu mieszkali wojskowi, policja, urzędnicy, tacy wysoko postawieni ludzie. Natomiast rejon „B” to były okolice Konstanyńowskiej, gdzie mieszkali



16. Budowa kanału rzek Łódki i Bałutki, rok 1933

robotnicy z tamtejszej fabryki. Stały tam czynszówki dla robotników i były to bardzo biedne rodziny w porównaniu z nami. (Honorata Malicka)

Przed wojną na całym osiedlu istniała tylko jedna szkoła. Podstawówka nr 87 powstała w 1927 roku i mieściła się w przybudówce do kamienicy czynszowej dla robotników pobliskiej fabryki przy dzisiejszej ul. Konstantynowskiej 36. Miała siedem klas. Jak wspomina jedna z jej absolwentek, podłogi wewnątrz były czarne i wysmarowane *jakimś mazidłem*, za ubikacje robiły wychodki, a niewielkie podwórko było podzielone między boisko i ogródek doświadczalny. Kierownikiem szkoły aż do momentu jej zamknięcia w 1950 roku był Józef Kuraś. Razem ze swoją żoną, Jadwigą Kuraś, prowadzili lekcje i zarządzali szkolnym budynkiem.

W 1951 roku szkoła przeniosła się do nowo powstałego budynku przy ul. Minerskiej, utrzymanego w socrealistycznym duchu i jednocześnie bardzo nowoczesnego i funkcjonalnego. W roku 1955 powstało tam XXXIV Liceum Ogólnokształcące, zaś obecnie w tym budynku mieści się Zespół Szkół Ogólnokształcących nr 7. W dawnych latach przed budynkiem szkoły



17. Upalne lato nad rzeką Łódką, most przy ul. Konstantynowskiej



18. Ul. Konstytucyjna 36 – pod tym adresem (w budynku kamienicy) funkcjonowała do poł. XX wieku Szkoła Podstawowa nr 87

mieścił się kwietny ogród ze skalniakiem i fontanną – niedaleko ul. Krakowskiej rośło drzewo z wystającymi nad ziemię korzeniami, które było miejscem wielu posiadówek i spotkań.

W odróżnieniu od dzisiejszych czasów na Zdrowiu nie brakowało rozmaitych usług, choć mieszkańcom we znaki dawał się z pewnością brak wielu instytucji



19. Jadwiga i Józef Kurasiowie wraz z uczniami szkoły przy Konstytucyjnej

o charakterze społecznym i publicznym – także w czasach powojennych.

„Jeden sklep był i jest na ul. Chłopskiej, który ja wywalczyłem. Naprzeciwko sklepu był mięsny, gdzie ludzie chodzili telefonować. Były ciągle przerwy w dostawie prądu. Przed wojną było na pewno kilka sklepów spożywczych i rzeźników. Na rogu Michałowicza

i Zyndrama był duży sklep, na rogu róg Zyndrama i Prostej (teraz Gwardzistów) sklep prowadził pan Czernicki. Na Tarnowskiej był fryzjer, była tam też mała piekarenka. Na Rzeszowskiej była z kolei magiel. Na rogu Krańcowej i Konstytucyjnej stała kuźnia. Na Chłopskiej był punkt apteczny, naprzeciwko sklepu. Było też co najmniej kilku szewców. (Roman Malicki)

„Zimą pielgrzymki mieszkańców ciągną do pracy. Śnieg zasypuje tramwajowe tory. Idą kilometr, dwa, trzy. Tyle lat... Zdążyli się już przyzwyczaić. Nie narzekają. Latem jest lepiej. W tym roku MPK sprawiło im nawet niespodziankę. Nową, piękną „9” puściło właśnie na ich Zdrowie. Fakt ten wymieniają mieszkańcy z wielką dumą. Niektórzy bardziej gorączkowi myślą już o zrealizowaniu wieloletnich marzeń budowy świetlicy lub maleńkiego domu młodzieżowego... (Jerzy Witczak, Zdrowie: prawda i legenda, „Odgłosy” nr 2/1963, s. 2)

Jerzy Witczak, jako autor pierwszego reportażu o Zdrowiu, odmalował zresztą osiedle w wyjątkowo przykrych barwach, zdradzając negatywne nastawienie do części mieszkańców. Uważał, że żyją oni „w lesie”, a odległość od miasta i brak odpowiedniej infrastruktury sprzyjają degradacji tego miejsca:



20. Zespół Szkół nr 7 im. Włodzimierza Puchalskiego przy ul. Minerskiej

„Widać nieduże, drewniane domki [...] Sieć wąskich, szlakowanych i wybrukowanych uliczek. Tego nie znają już niedzielni wczasowicze. Tutaj „obcy” dociera bardzo rzadko. Bo też i po co? Zdrowie nie ma nic atrakcyjnego do zaoferowania. Niewielkie osiedle



21. Stuletni drewniany dom u zbiegu ulic Chłopickiego i Gwardzistów

wegetuje sobie spokojnie od wielu lat. 1791 mieszkańców niechętnie dzieli się swoimi troskami z kimś z zewnątrz [...]. (Jerzy Witczak, *Zdrowie: prawda i legenda*, „Odgłosy” nr 2/1963, s. 2)

Dziś jednak Zdrowie kojarzone jest przede wszystkim z zacisznym, spokojnym, peryferyjnym osiedlem domów jednorodzinnych. Stare kamienice czynszowe mieszczą do dziś sporo lokali komunalnych. Za to bliżej ul. Konstantynowskiej, w okolicach Minerskiej czy Rokitny krajobraz długo przypominał zwykłą wieś. Pamiątką po tym okresie jest stojący przy Krakowskiej 3 (w dawnym śladzie ulicy) drewniany krzyż, typowy dla wiejskich rozdroży. Bardzo podobny krzyż stoi również na dzisiejszej ul. Krakowskiej naprzeciwko dawnej szkółki drzew i krzewów (posesje 42–46).

Zdrowie w czasie okupacji

Okupacja niemiecka zaczęła się oficjalnie 9 września 1939 roku – ale już pod wieczór poprzedniego dnia 17 Dywizja Piechoty 8 Armii maszerowała wzdłuż szosy Konstantynowskiej i ulicy 11 Listopada w stronę

pl. Wolności. Mieszkańcy Zdrowia najprawdopodobniej nie widzieli tego marszu, zwłaszcza że okolica nie była miejscem szczególnego zainteresowania okupanta.

W czasach przedwojennych na Zdrowiu mieszkało sporo Niemców, którzy, choć dawniej byli traktowani jak dobrzy sąsiedzi, okazali się bardzo entuzjastyczni wobec nowej władzy.

» *Mieszkali tutaj Niemcy, volksdeutsche. Była tutaj taka historia miłosna, że chłopak Niemiec zakochał się w takiej dziewczynie, Wandzi, i jego matka powiedziała rodzicom tej dziewczyny, że jak jeszcze raz przyjdzie do syna to znajdzie się w obozie. Nie było jeszcze wtedy takich wysokich drzew i pamiętam, że Niemcy nas cały czas obserwowali, patrzyli nam w okna. Oni dopiero po wejściu hitlerowców pokazali, kim naprawdę byli. Tu się żadna konspiracja nie mogła uchować, bo sąsiedzi wszystkich znali.* (Honorata Malicka)

Już w latach 30., według relacji ojca mieszkanki, w domu Klemensa Grabskiego przy Krakowskiej 30 spotykali się członkowie *jakiejś niemieckiej organizacji* pod pretekstem czytania Biblii. Mogli to być

członkowie NSDAP lub, co bardziej prawdopodobne, DVP, czyli Deutscher Volksverband in Polen (Niemieckie Stowarzyszenie Ludowe w Polsce). Zwłaszcza ta ostatnia jest owiana szczególnie złą sławą: stanowiła podporę słynnej „V kolumny” Abwehry, pomagała też w „załatwieniu” sobie wpisu na volkslistę bez konieczności udowadniania tego przed Niemcami. To m.in. za sprawą jej próśb Łódź została 8 listopada 1939 roku wydzielona z Generalnego Gubernatorstwa i włączona do Rzeczy Niemieckiej jako Litzmannstadt.

Zmiana przynależności miasta miała dla łodzian katastrofalne skutki: wielu polskich obywateli straciło życie podczas opisanej wcześniej Intelligenzaktion Litzmannstadt, zaś ci, którzy przeżyli, stali się obywatelami drugiej kategorii. Mogli robić zakupy tylko w obrębie swojej dzielnicy, zostać aresztowani dosłownie za cokolwiek, a w najgorszym wypadku – wysiedleni z własnego domu i mieszkania, jeśli na ten sam lokal był chętny jakiś Niemiec. Mimo wszystko większości z nich Zdrowie nie przypadło do gustu, głównie z powodu braku kanalizacji na terenie osiedla.

„*Niemcy wysiedlali Polaków, ale woleli osiedle Mireckiego, bo tam większe wygody. Nas też wysiedlili, ale dzięki temu, że mój tata miał przydatny zawód, bo był zawiadowcą stacji, udało nam się wrócić. Trzymali nas przez jakiś czas w fabryce na Łąkowej, ale któryś Niemiec, sąsiad, był oburzony, że chcą wysiedlić takiego człowieka jak mój tatuś, że to porządny szanowany obywatel – i wróciliśmy na Zdrowie. Później mieliśmy kartę wywieszoną, że nie wolno było nas ruszać. Inni nie mieli tyle szczęścia.* (Honorata Malicka)

Na Zdrowiu działały nieliczne komórki konspiracyjne, jednak Polskie Państwo Podziemne miało potwornie trudne warunki do działania. Niemieccy sąsiedzi często donosili na Polaków, co ułatwiało Gestapo rozbicie wszelkich struktur. Mimo tego podejmowano pewne próby, które do dziś nie są zbyt dokładnie opisane w literaturze:

„*Naprzeciwko mieszkali państwo Misiewicz, którzy mieli u siebie komórkę AK-owską, chociaż nie było chyba jeszcze wtedy AK, tylko ZWZ. Pamiętam, że tam mieszkała nauczycielka, Krysia, zawsze ubrana w czerni, i zawsze z ręką w gipsie, w którym nosiła gazety.* (Honorata Malicka)



22. Zabytkowy drewniany dom Klemensa Grabskiego z początku XX wieku

Pani Malicka, podobnie jak wiele innych dzieci, narażała się chodząc na tajne komplety aż do mieszkania przy ul. Gdańskiej. Problemem była nawet droga do kościoła:

„ Chodziliśmy do kościoła na Letnią, do Najświętszego Zbawiciela. Przez cały park tam się szło. Byłam w tym kościele u komunii, tam też braliśmy ślub. Moja komunia wyglądała tak, że mieli zamykać polskie kościoły i mamusia powiedziała, że muszę iść do komunii teraz, bo nie możemy czekać na powrót tatusia (tatuś już wtedy działał w konspiracji i był poza Łodzią, ale nikt nie wiedział gdzie). Park był nur für Deutsche, zakaz wstępu dla Polaków i ja w tych białych bucikach, sukieneczce biegiem, żeby mnie nikt nie złapał. (Honorata Malicka)

Większość Niemców uciekła przed Armią Czerwoną. Niektórzy zostawiali niemal cały dorobek życia. Jak wspomina mieszkanka Mani:

„ Mieszkał tutaj po drugiej stronie ulicy Jung, bardzo dobry człowiek. Jak uciekali to dom zostawili otwarty na oścież, to im wszystko ukradli. Ja jeszcze pamiętam jak dużo później zaczęły się walać po okolicy ich

książki. Bardzo piękne, takie ładnie oprawione, całą bibliotekę mieli. Książek nikt im wtedy nie kradł, bo co to warte. Ale później i do tego się dobrali. (Romualda Dudka)

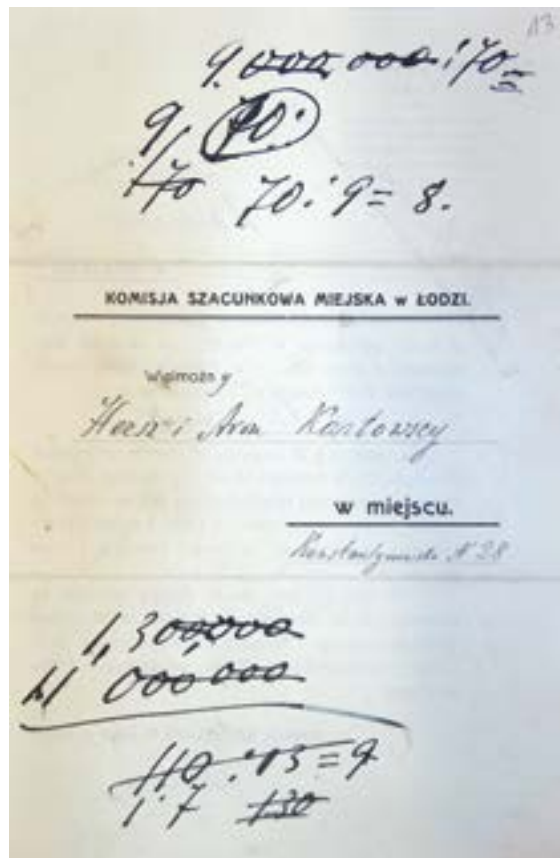
Fabryka Kartowskich i inne zakłady

Tereny przy Konstantynowskiej nie były nigdy silnie uprzemysłowione, jednak istniały tu co najmniej dwa duże zakłady. Historia ich powstania nie jest jednak do końca znana.

Przy dawnej „szosie konstantynowskiej” (dziś Konstantynowska 28) na początku XX wieku powstała fabryka braci Aarona i Hersza Kartowskich, zajmująca się prawdopodobnie produkcją tkanin. Można tak przypuszczać, biorąc pod uwagę, że Kartowscy posiadali również niewielką przędzalnię bawełny w podwórku kamienicy przy dzisiejszej ul. Legionów 28, którą kupili od Leopolda Asterbluma (budynek stoi tam do dziś). Tuż obok fabryki na Konstantynowskiej w 1910 roku stanęła eklektyczna willa należąca do jej właścicieli, zachowana w dobrym stanie do czasów współczesnych. Sam zakład miał



23. Willa Aarona i Hersza Kartowskich przy ul. Konstantynowskiej 28



24. Protokół dotyczący tzw. strat na rezerwistkach poniesionych przez braci Kartowskich



25. Dawna fabryka przy ul. Konstantynowskiej 34

trochę mniej szczęścia – popadł w ruinę, a w roku 2006 rozebrano go całkowicie, pozostawiając pustą działkę.

Biografia braci Kartowskich z pewnością czeka jeszcze na odkrycie. Wygląda na to, że byli oni dość rzutkimi przemysłowcami, do których los przestał uśmiechać się po utracie rynku zbytu w Rosji w wyniku rewolucji bolszewickiej. Jeszcze w 1914 roku musiało

im się powodzić przyzwoicie: rozbudowali swoją kamienicę przy Legionów i zamierzali otworzyć w niej kinematograf. Nie wiadomo jednak, czy w czasie wojny ich zakład nie przerwał pracy. Do dziś zachowały się jedynie dokumenty z wnioskiem złożonym przez braci w 1917 roku do Komisji Szacunkowej Miejskiej o pokrycie strat wojennych. Okazało się, że podczas wojny lokale w kamienicy Kartowskich zostały zarekwirowane przez wojska rosyjskie (!) i zakwaterowano tam dwie rezerwistki, które nie opłacały czynszu. Wysokość strat oszacowano łącznie na 431 rubli i 95 kopiejek. To dziwne, że w okupowanym przez Niemców mieście Kartowscy zdołali ponieść straty na Rosjankach, jednak dokument stwierdza to kilkukrotnie. Czy mogło chodzić o krótki okres zajęcia Łodzi przez Rosjan w 1914 roku? A jeśli tak, skąd tak wysokie straty? To kolejna z zagadek lokalnej historii.

Tuż obok, pod numerem 34 istniała druga fabryka, o której niestety nie wiadomo zbyt wiele. W ostatnich latach została całkowicie wyremontowana przez prywatnych właścicieli, stanowiąc bardzo udany przykład renowacji zabytkowych zakładów fabrycznych.

Ogród zoologiczny

Pomysł utworzenia ZOO w granicach Parku Ludowego był w planach niemal od początku, ale inwestycja przez bardzo długi czas nie mogła nabrać właściwego rozpędu. Ideę popierał gorąco Stefan Rogowicz, naczelnik Wydziału Plantacji Miejskich. W 1935 roku istniały jeszcze miejskie zwierzyńce w Parku Źródli-ska i w Parku im. ks. Józefa Poniatowskiego, w których trzymano niektóre zwierzęta przeznaczone do przyszłego ogrodu zoologicznego. Jednak już od roku 1934 planowano wydzielenie przestrzeni pod przyszły ogród na terenie parku na Zdrowiu. Jednocześnie Wydział Plantacji Miejskich korespondował intensywnie z ogrodami zoologicznymi w Warszawie i Lwowie, próbując uzyskać wiedzę na temat dobrych praktyk związanych z zarządzaniem ZOO i finansowaniem inwestycji (która miała „zwrócić się” w ciągu kilku lat i zacząć zarabiać na sobie). W drugiej połowie lat 30. zaczęto przenosić zwierzęta do parku na Zdrowiu. Za symboliczną datę powstania ogrodu można uważać rok 1938, kiedy postawiono tam wreszcie płot okalający prowizoryczny zwierzyńiec.



26. Niedziela
w łódzkim ZOO

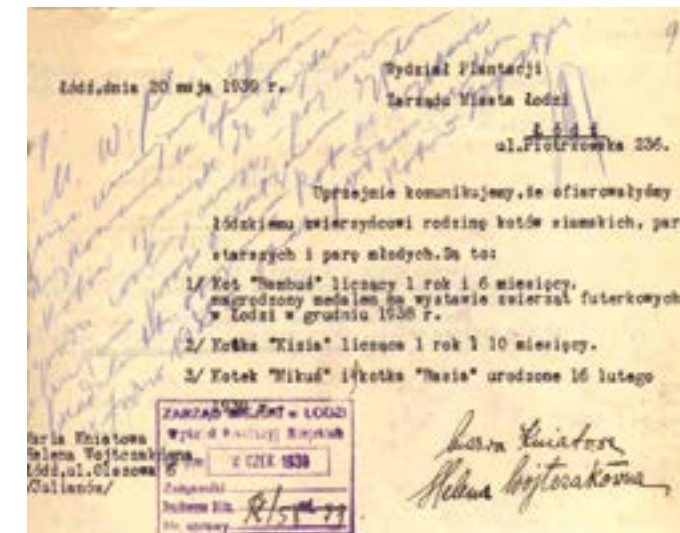


27. Listy w sprawie przekazania ogrodu
zoologicznemu zwierząt – sarny...

W związku z ogłaszanymi szeroko planami budowy ZOO, wielu obywateli słało do Wydziału Plantacji pisma z deklaracjami ofiarowania różnych oswojonych zwierząt. Jeden z mieszkańców Łodzi, Zenon Studzianek, w październiku 1937 roku zdobył się na odważniejszy czyn. Jak napisał:

” Idąc rano do pracy zobaczyłem pędzącego jelenia ulicą Andrzeja. Zacząłem za nim biec i dopiero na ul. Gdańskiej udało mi się zarzucić na jelenia linkę. Jeleń zaczął się wtedy szarpać i rzucać tak, że z wielką trudnością udało mi się go doprowadzić do parku im. Poniatowskiego. Jeleń po wejściu do parku nabrał więcej sił i nie pozwolił się dalej prowadzić wobec tego przywiązałem go do drzewa. W tym momencie nadeszło kilku dozorców, którzy chcieli mi pomóc przy prowadzeniu jelenia, a na ich widok jeleni szarpnął łbem, zerwał linkę i kilkoma potężnymi skokami przesadził trawnik, ginąc w zaroślach parku.

Ostatecznie pierwszym mieszkańcem ZOO został jeleni Boruta, złapany tą samą metodą w okolicach pl. Reymonta – niewykluczone, że to ten sam osobnik, bo trafił do ogrodu w okolicach połowy października. Pod koniec miesiąca Maria Ciemieniewska, właścicielka majątku Świątkowice w powiecie Wieluńskim,



28. ...i kotów

przekazała *jako towarzyszkę dla zatrzymanego jelenia* oswojoną łanię. Gdy wieść rozniosła się po kraju, rozmaici darczyńcy zaczęli ofiarowywać swoje zwierzęta – Zarząd Miejski musiał studzić część entuzjazmu, ogłaszając kilkakrotnie w prasie, że właściwy ogród nie jest jeszcze gotowy. Zwierzęta przetrzymywano wciąż w dotychczasowych zwierzyńcach. Protokół oględzin tychże z 1939 roku podsumowywał, że warunki przebywania zwierząt są *na ogół nieodpowiednie*, a mianowicie: *ciasne klatki, betonowe podłogi bez warstwy piasku, brak odpowiednich wybiegów itp.*; dwie sarny w Parku Poniatowskiego padły na skutek zatrucia pyłem tytoniowym z pobliskiej fabryki. Wobec tego postanowiono natychmiast zlikwidować zwierzyńce w pozostałych parkach i przenieść cały inwentarz do zagrody w Parku Ludowym.

Pod koniec 1939 roku „zwierzostan” liczył już 50 sztuk zwierząt pospolitych i egzotycznych. W czasie okupacji niemieckiej ogrodem zarządzał Ferdynand Hase, dyrektor łódzkiej rzeźni. Do 1945 roku ogród wzbogacał się o nowe gatunki, takie jak tygrysy, lwy, wielbłądy, niedźwiedzie brunatne, słonie, osły, hieny czy puchacze. Trafiły tam wtedy zwierzęta ze spalonego cyrku Hergotta i zwierzyńca braci Anstadtów.

Powstała też spora część infrastruktury, takiej jak kasy, restauracja, wybiegi i stajnie. W 1944 roku w ogrodzie było już ponad 550 sztuk zwierząt. W latach 50. na skutek przesunięcia ul. Krzemienieckiej powiększono teren ZOO o siedem hektarów, adaptując np. budynek dawnej willi na potrzeby wiwarium. Rozbudowano też i zmodernizowano małpiarnię i wybiegi dla pawianów, a w roku 1968 powstał pawilon z dużymi wybiegami dla lwów i tygrysów. Ciekawostką jest fakt, że dopiero w 1985 roku podłączono ogród do sieci ciepłowniczej miasta – wcześniej trzeba było palić węglem we wszystkich budynkach, a do mycia pomieszczeń używano zimnej wody.

Tuż po wojnie przy ZOO istniał ogród warzywny uprawiany przez pracowników. Niestety nie był należycie ogrodzony i często padał ofiarą kradzieży. Dyrektor ZOO, Ryszard Tomski, wnioskował do władz o stworzenie posterunku pilnowanego przez uzbrojonego wartownika.

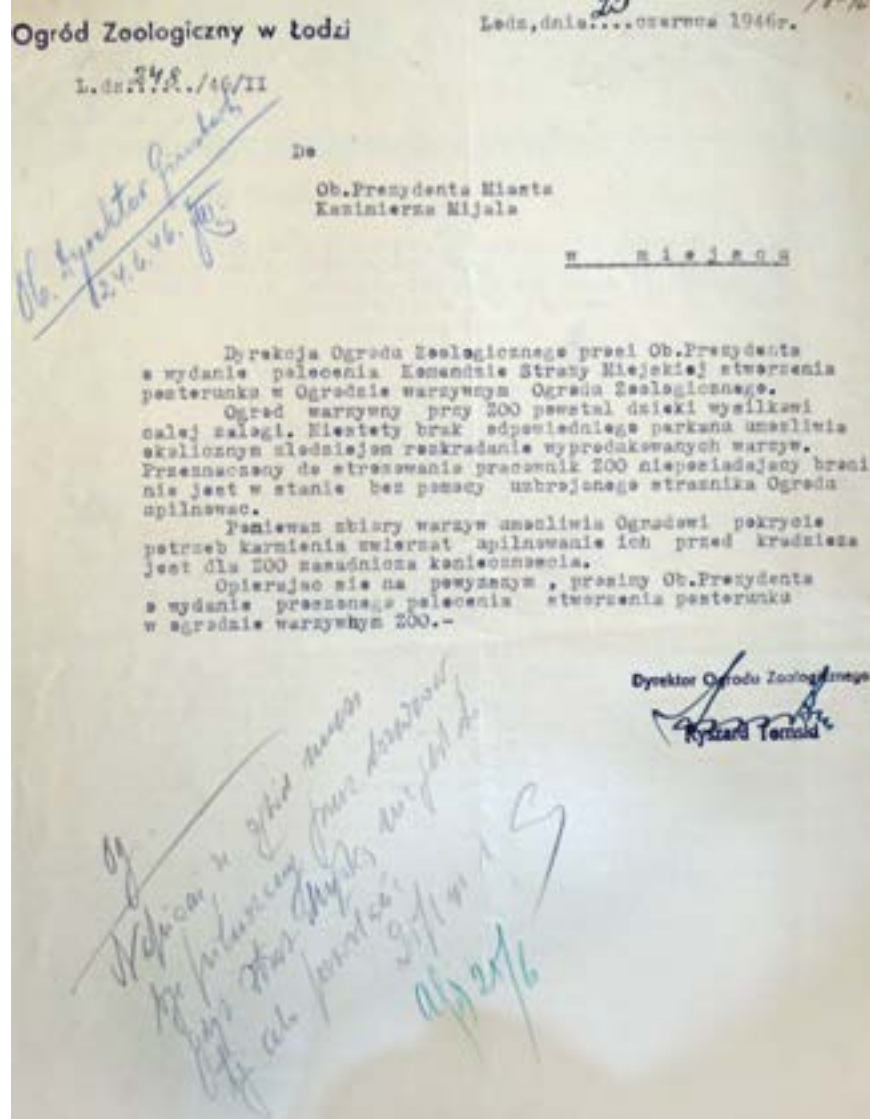
Dziś łódzkie ZOO jest tłumnie odwiedzane przez młodszych i starszych łódzian. Wciąż modernizowany kompleks jest domem dla ponad 2 tysięcy zwierząt należących do 677 gatunków.



29. Przed wejściem do zoo – lata 60.



30. Brama wejściowa do ZOO – widok współczesny



31. List dotyczący kradzieży warzyw z ogrodu przy ZOO

MANIA – OD OSADY FABRYCZNEJ DO SPOKOJNEGO OSIEDLA

„Mania” nie była nigdy nazwą wsi ani folwarku. Osada założona w samym środku gęstego lasu wzięła swoje miano od nazwiska łódzkiego mieszczanina, który w okolicach lat 1774–1778 postawił tam młyn wodny na rzece Łódce. Jan Maniński, zwany też Mamińskim lub Manią, dał początek niewielkiej osadzie młyńskiej, która zrosła się z resztą miasta już po jego śmierci. Maniński był szanowanym obywatelem, a jego ród mieszkał w Łodzi od pokoleń. W trakcie życia zdążył zostać rajcą, ławnikiem i burmistrzem, a jego nazwisko należało do najczęściej spotykanych. Zgodę na wykarczowanie lasu musiał zdobyć od biskupów kujawskich, do których należały wszystkie łódzkie ziemie, albo od dzierżawcy. Młyn miał być szansą na finansowe wyjście na prostą: Maniński, jak większość łódzian, żył z uprawy ziemi, która nie przynosiła mu wystarczających dochodów.

Mania leżała wtedy trzy kilometry od słabo rozwiniętej i niewielkiej Łodzi, opierającej się wciąż na rolnictwie i drobnym rzemiośle. Do granicy lasu sięgały trzy miejskie niwy z chaotycznym, szachownicowym układem gruntów. Nowa osada wyglądała jak odwzorowanie tego układu, wyrosłe w środku lasu. Jej najdłuższą granicą była Łódka, a przez jej środek biegła „droga srebrzyńska”, wychodząca z miasta w kierunku wsi Srebrna i Brus (często zapisywany jako Bruss).

Przedsięwzięcie nie przyniosło młynarzowi spodziewanych zysków – osada leżała na wilgotnej ziemi, która dawała marne plony, a rzeka potrafiła groźnie wylewać i niszczyć zbiory. A jednak nawet po śmierci Mamińskiego młyn i osada wciąż się rozrastały.

Zaborcze władze pruskie po 1793 roku uznały Manię za część gruntów miejskich, ale tylko na potrzeby

wyrugowania ówczesnego dzierżawcy – nie wygląda na to, że wiązały z osadą jakieś plany rozwoju. Eksmisja i tak im się zresztą nie udała, a teren na przestrzeni lat dzierżawiły różne osoby. Ta decyzja miała jednak symboliczny wymiar, bo kolejne władze Łodzi wciąż uznawały Manię za grunt miejski, a nie biskupi, ściągając z dzierżawców czynsz i podatki.

Kiedy w 1820 roku Rajmund Rembieliński złożył historyczną wizytę w Łodzi, kreśląc swój raport dotyczący możliwości rozwoju przemysłu w Królestwie Polskim, zainteresował się też młyńską osadą. Stwierdził, że w obliczu napływu coraz większej ilości sukienników do miasta, w miejscu młyna powinien powstać folusz. Dotychczasowy folusz na ul. Nowomiejskiej nie zaspokajał potrzeb miasta w zakresie obróbki sukna. Takie folusze powstawały wtedy w całym ówczesnym województwie mazowieckim. Dzierżawcy młyna opierali się dość długo, jednak 1 czerwca 1827 roku burmistrz Łodzi, korzystając z upoważnienia władz rządowych, odebrał młyn posesorom, przekazując go *na zakład fabryczny*. Folusz na Mani funkcjonował krótko, bo tylko do wybuchu powstania listopadowego. Podupadł po chwilowym załamaniu się koniunktury.



32. Lipowa aleja przy ul. Wieczność

W pierwszej ćwiartce XIX wieku Łódź rozwijała się bardzo powoli, ale władze miejskie pilnowały, by ten rozwój miał charakter planowy. Wytaczanie nowych osad, parcelowanie gruntów pod zabudowę przemysłową i mieszkalną odbywało się według precyzyjnych założeń. Władze wyznaczały tereny pod budowę osad fabrycznych w pewnej odległości od siebie, tak żeby z czasem mogły się ze sobą zetknąć i stworzyć prawdziwie miejski organizm. Połączenie terenów Nowego Miasta, osady Łódka i osad młyńskich znad Jasienia stworzyło znaną nam do dzisiaj sieć rozpostartą wokół osi traktu piotrkowskiego, czyli późniejszej ul. Piotrkowskiej.

Mania miała być kolejnym terenem, który rozwijając się odśrodkowo, przyłączy się w końcu do zwartej zabudowy miasta wzdłuż traktu srebrzyńskiego. Na fali lekkiego ożywienia gospodarczego w 1839 roku władze miasta nakazały zbudować na terenie osady *zakład wodno-fabryczny* (czyli w praktyce zmechanizowany folusz obrabiający sukno na większą skalę i zakłady pomocnicze). Dopiero od tej pory można mówić o jakimkolwiek rzeczywistym rozwoju tego terenu. Bo trzeba zrozumieć, że dawna Mania była nazywana osadą cokolwiek na wyrost: dokumenty

z 1817 i 1822 roku mówiły jasno, że stał tam tylko jeden dom, należący do młynarza, stajnia i stodoła.

Kolejni dzierżawcy rozbudowywali zakład i dążyli do jak największej wydajności. Zaczynała się epoka wielkiego przemysłu i wielkiego popytu, który ten przemysł musiał zaspokajać. W 1858 roku, kiedy Moryc Zand postanowił zbudować przędzalnię wełny, na Mani była już farbiarnia, pralnia i mniejsze zabudowania gospodarcze. Przędzalnia Zanda okazała się motorem rozwoju. Osada powiększała się o kolejne grunty zajmowane pod rozbudowę zakładu. W granicach dzisiejszych ulic Jarzynowej, Borowej, Solec i Orzechowej powstało małe osiedle robotnicze. Pojawił się też szynk, w którym klienci, gdy nie mieli czym zapłacić, zostawiali w zastaw np. siekiery.

Pomimo dość szybkiego rozwoju, Mania wciąż przypominała oderwaną od miasta wyspę, leżącą w środku coraz szybciej znikającego miejskiego lasu. Anna Rynkowska w pracy *Osada fabryczna Mania i jej dzierżawcy zanotowała, że zimą 1858 roku robotnicy przędzalni w Mani udając się do pracy przez las, szli zwykle gromadą i uzbrojeni w grube, sękaty kije w obawie przed napaścią grasujących w lesie miejskim*



33. Most na rzece Łódce przy ul. Srebrzyńskiej, rok 1933

wilków. Pradawna Puszcza Łódzka po tej stronie miasta wciąż pozostawała miejscem na wskroś dzikim, choć mocno dotkniętym działalnością człowieka. Opowieści o krwiożerczych wilkach należy oczywiście traktować z przymrużeniem oka – te zwierzęta panicznie boją się ludzi.

W 1885 roku po wielkim pożarze osadę kupił Ludwik Meyer, który poszukiwał nowej lokalizacji dla swojej fabryki stojącej wcześniej przy ul. Piotrkowskiej. Za jego sprawą na Mani pojawiła się w pełni zautomatyzowana fabryka włókiennicza, która długo górowała nad krajobrazem okolicy. Pojawiły się też inne rzemiosła, takie jak zakład szewski i piekarnia, a także szkoła i nowe, murowane budynki dla robotników. Drugim co do wielkości zakładem była fabryka Adolfa Schmitda, przekształcona później na wykańczalnię i farbiarnię. Pracowali tam liczni mieszkańcy coraz szybciej rozwijającej się osady, a także okolicznych wsi, takich jak Grabieniec, Złotno i Jagodnica. Obok fabryki powstała willa fabrykanta.

Mania rozwijała się dalej w kierunku południowo-wschodnim aż do linii kolei kaliskiej, której budowa zakończyła się w 1902 roku. Luki w zabudowie po jej

wschodniej stronie nie zostały jednak nigdy zapelnione. Trochę przez to, że w II połowie XIX wieku zarzucano koncepcję planowego odśrodkowego rozwoju podłódzkich osad, a trochę przez to, że władze Łodzi straciły kontrolę nad urbanizacją na rzecz samowoli prywatnych właścicieli gruntów. Osiedle miało jednak uporządkowany charakter. Z czasem na miejscu drewnianych budynków (najlepiej zachowane z nich wciąż stoją przy ulicach Perłowej, Grzybowej i Owsianej) pojawiły się domy murowane, a także czynszowe kamienice (takie jak na rogu ulic Jęczmiennej i Mania). W 1914 roku powstał cmentarz rzymskokatolicki św. Antoniego, a w latach 1931–34 osiedle domów socjalnych przy ul. Siewnej.

Podobnie jak Złotno i większość ówczesnego Polesia Konstantynowskiego, cały teren był podmokły i niesamowicie grząski – dawniej rósł tu grądowy las, położony w najniższym punkcie miasta. By stworzyć lepsze warunki dla osadników, osuszano bagna i meliorowano grunty, ale ziemia nie należała do najlepszych. W okresie międzywojennym sama Łódź biegła już w kanale, którego wylot możemy zobaczyć dziś na końcu ul. Jarzynowej. Uregulowano też jej dopływ – Bałutkę, odprowadzając wodę z lasu



34. Wylot kanału
rzeki Łódki w pobliżu
ul. Jarzynowej, lata 60.



35. Przedwojenna
zabudowa ul.
Jęczmiennej



36. Przykład
starej zabudowy –
kamienica na rogu
ulic Jęczmiennej
i Mania

miejskiego. W 1933 roku na terenie obecnych ROD im. 1 Maja powstała wieża wodna ze studnią głębinową, obsługująca autonomiczny wodociąg dla osiedla im. Montwiłła-Mireckiego.

Po wojnie, w związku z budową linii tramwajowej na Żłotno, na ulicach Srebrzyńskiej i Wieczność położono tory. Przy ul. Biegunowej, tuż obok dawnych zakładów Meyera, powstała mała krańcówka tramwajowa. W latach 50. na tyłach dawnej fabryki Schmidta przy dzisiejszej ul. Azaliowej zbudowano gospodarstwo rolno-ogrodnicze, zamienione później w PGR o podobnym profilu. Do dziś widać tam pozostałości jego zabudowań, na przykład starą kotłownię do ogrzewania szklarni i budynki gospodarcze na tyłach Azaliowej lub Siewnej. Nazwy tej i innych ulic są zresztą nieprzypadkowe: pochodzą przede wszystkim od kwiatów, warzyw i wszystkiego, co ma związek z ogrodnictwem albo rolnictwem.

Pod koniec lat 50. przy ul. Omłotowej, tuż obok PGR-u, utworzono zakład Łódzkiej Spółdzielni Mleczarskiej. Spółdzielnia powstała jeszcze w 1936 roku i mieściła się wcześniej przy ul. Gdańskiej. Pomimo zawrotań historycznych i ustrojowych działa do dziś i jest

znana wszystkim łodzianom jako Spółdzielnia Mleczarska JOGO – producent kultowych lodów Bambino.

Wciąż oddalona i na swój sposób oderwana od reszty miasta Mania w czasach powojennych przeradzała się w typowe przedmieście. Władze nie lokalizowały tu większych inwestycji, a ulice zdominowała z czasem gęsta zabudowa jednorodzinna i dwupiętrowe bloczki o skromnej bryle, które miały uzupełniać pierzeję ulicy. Ostatnimi bardziej przemyślanymi realizacjami były trzy bloki dla członków PSS „Społem” między ulicami Jęczmienną i Jarzynową, utrzymane w stylu „socjalistycznego” modernizmu. Na przełomie lat 50. i 60. powstały jeszcze bloki przy Jęczmiennej 22 i 24. Wszystkie były wyposażone w kanalizację i bieżącą wodę.

Dziś Mania to podmiejskie osiedle otoczone ogródkami działkowymi i pozostałością dawnego miejskiego lasu między ulicami Wieczność a Krakowską. Tuż obok dawnego zakładu Schmidta stoi stary biurowiec, a działkę po „Lenorze” zajmie w niedalekiej przyszłości nowe osiedle. Tam, gdzie kiedyś istniał PGR, znajduje się Wojewódzki Inspektorat Ochrony Roślin i Nasiennictwa – jedyna pozostałość po przemyśle

ogrodniczym w tej części miasta. Mimo tego wciąż można natknąć się tam na pamiątki po dawnych czasach burzliwego rozwoju osady, a siatka ulic nadal odzwierciedla nieregularny układ pól.



37. Jedna z bliźniaczych socrealistycznych kamienic PSS „Spotem”, ul. Jęczyńska 24

Fabryka Ludwika Meyera

Pochodzący z kupieckiej rodziny z Breslau Ludwik Meyer miał z pewnością ogromne ambicje. Dzięki nim udało mu się przejąć zakład należący do Hentschla i Kunitzera na Piotrkowskiej 72 (obecny Grand Hotel). Zgromadził ogromny kapitał, który włożył w stworzenie prywatnej ulicy, zwanej Pasażem Meyera (dziś ul. Moniuszki). Miał nadzieję, że władze guberni piotrkowskiej przeniosą się do Łodzi, a on wynajmie im wybudowane przez siebie wille i kamienice w Pasażu lub sprzeda je z zyskiem. Tak bardzo chciał wyprzedzić ewentualnych rywali, że nie czekał nawet na potwierdzenie tej wiadomości, która okazała się zwykłą plotką. Do przeniesienia siedziby guberni nigdy nie doszło, a Meyer potrzebował nowego źródła dochodu. Postanowił przenieść się na peryferie miasta, marząc o stworzeniu imperium przemysłowego na miarę Scheiblera. W 1885 roku kupił tereny osady Mania i postawił tam nowy budynek dla swojej fabryki z Piotrkowskiej, zatrudniającej dziesiątki pracowników. Na wzór Scheiblera, któremu tak zazdrościł, wybudował małe osiedle robotnicze, szkołę i ambulatorium. Do dziś z osiedla przetrwała tylko mała kamienica przy Srebrzyńskiej



38. Dawny dom dla robotników fabryki Ludwika Meyera, ul. Srebrzyńska 101

39. Fabryka Ludwika Meyera, jego willa i dom dla robotników na starej pocztówce, u góry willa Meyera przy dzisiejszej ul. Moniuszki



101, w której w późniejszych latach mieścił się zakład szewski i piekarnia.

W „Przeglądzie Tygodniowym” w 1889 roku reporter zanotował:

„Pan Meyer założył tu wielką fabrykę wyrobów wełnianych, przy niej zaś pobudował duże domy dla robotników. Otworzono sklep, założono szkołę, osadzono felczera fabrycznego, powstał szynk i powoli wytworzy się tam nowe miasteczko, nowy Plaffendorf [Księży Młyn – przyp. aut.], ale już wełniany. Niech tylko przez kilka lat pójdą dobrze interesa, a p. Meyer stanie się królem na Mani jak Scheibler jest królem na Plaffendorfie.

„Interesa” szły faktycznie dobrze, ale nie tak dobrze, by pokryć koszty, które poniósł Meyer w związku z budową swojej ulicy w centrum Łodzi (aż do początków XX wieku pobierał opłatę za przejazd, ale wozy po prostu omijały tę drogę) i innymi inwestycjami. Po śmierci swojej jedynej córki w 1895 roku powoli wycofywał się z działalności, a recesja zmusiła go ostatecznie do zamknięcia przedsiębiorstwa – komisja likwidacyjna zebrała się w 1903 roku, a w 1905 roku

fabrykant przekazał Pasaż Meyera pod zarząd miasta. Ostatnie lata życia spędził w majątku na Brusie.

Zakład włókienniczy na Mani wciąż jednak istniał. W latach 30. jego właścicielem była firma Lauenberg i Chajskin, zaś tuż po wojnie urządzono tu Fabrykę Wyrobów Wojskowych Tasiem Bawełnianych i Gumowych „Gumotextil”. W 1947 roku rozpoczęto proces tworzenia tzw. zjednoczeń, a fabryka na Srebrzyńskiej stała się częścią Państwowych Zjednoczonych Zakładów Przemysłu Pasmańteryjnego. W późniejszych latach przemianowano je na Zakłady Przemysłu Pasmańteryjnego im. Stefana Lenartowskiego „Lenora”. Do momentu likwidacji zakładów pracowało tu wielu mieszkańców Zdrowia, Mani, Złotna i osiedla im. Montwiłła-Mireckiego.

Fabryka Adolfa Schmidta

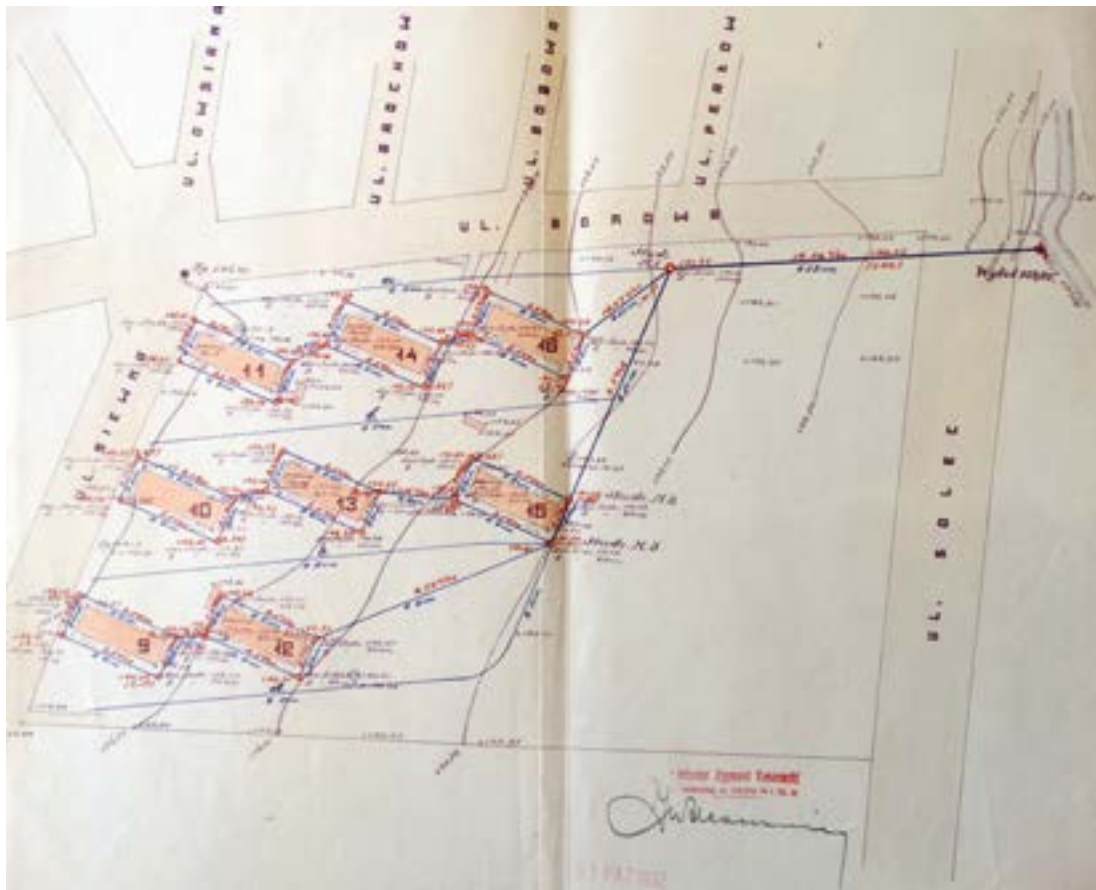
Zakład Schmidta nie był urządzony z takim rozmachem jak przedsiębiorstwo Meyera, ale zapisał się mocno w lokalnej historii. Położona w pobliżu rzeki Bałutki fabryka tkanin powstała pod koniec XIX wieku. Schmidt prowadził ją najpierw sam, a później



40. Dawna fabryka Schmidta widziana z ul. Siewnej, 1959 rok

41. Nieistniejąca willa Adolfa Schmidta przy ul. Siewnej 15





43. Plan odwodnienia terenów miejskich pod budowę osiedla, 1932 rok

44. Na sąsiedniej stronie: Jeden z domów na osiedlu baraków

z ramienia firmy Emde i spółka. Była tam mechaniczna tkalnia, przędzalnia, wykańczalnie i farbiarnia. Właściciel zbudował też niewielki pałacyk, a właściwie willę w stylu eklektycznym, która nie przetrwała do naszych czasów. W latach 1957–72 mieścił się w nim Państwowy Dom Dziecka im. Janusza Korczaka.

Po pierwszej wojnie światowej fabryka i cała firma ucierpiały na skutek rekwizycji narzędzi, pasów i surowców przez wojska rosyjskie i niemieckie. Mniej więcej w tym okresie zakład zmienił nazwę na „Apret”. Tuż po drugiej wojnie większość majątku fabryki została rozkradziona:

„*Jak weszli Ruscy to powiedzieli tylko „Polacy, bierzcie co chcecie”. Takie pierwsze dni były.* (Stanisław Koprowski)

W 1974 roku miejsce dawnych zakładów Schmidta zajęły stojące tam do dziś budynki Zakładów Wrobów Obciowych „Vera”. Profil produkcji zmienił się całkowicie – zamiast tkanin wytwarzano tam przede wszystkim skórzane obicia.



Uregulowana w okresie międzywojennym Bałutka stała się miejscem spływu ścieków pochodzących z farbiarni:

„*Nie wiedzieliśmy, że to jakaś rzeka Bałutka jest, mówiliśmy na to „kanał”. Jako dzieciaki chodziliśmy nad kanał, robić sobie „skarpetki”. Wchodziło się boso do kanału i wychodziło się w kolorowych skarpetkach, każdego dnia inny kolor. Wchodziło się boso do kanału i wychodziło się w kolorowych skarpetkach, takie kolorowe ścieki płynęły.* (Stanisław Koprowski)

Osiedle robotnicze

Kiedy powstawało osiedle im. Montwiłła-Mireckiego, świat zmagał się z kryzysem gospodarczym, który odbił się mocno również na inwestycjach w Łodzi. Wysokie koszty budowy miasto próbowało odbić sobie w wyższych opłatach (gmina nie mogła się wtedy zadłużać, ponieważ obowiązywał zakaz uchwalania budżetów z deficytem). Nowoczesna kolonia mieszkaniowa okazała się za droga dla robotników, którzy według pierwszych zamysłów mieli być lokatorami tych bloków. Rodzin, które wprowadzały się, bądź miały się wprowadzić do nowych mieszkań, nie było stać na tak wysoki czynsz. Na początku lat 30. postanowiono o wybudowaniu osiedla socjalnego u zbiegu Borowej i Siewnej, na podmokłym terenie. Po zmeliorowaniu działki zaczęły tam powstawać drewniane domki wielorodzinne, zwane przez mieszkańców „barakami”. Budowano je w latach 1931–34, a pierwszeństwo zamieszkania w nich mieli właśnie ci, którzy byli za biedni, by utrzymać mieszkanie na osiedlu im. Montwiłła-Mireckiego. Choć użyto dobrego, jak się zdaje, gatunku drewna, warunki mieszkaniowe w „barakach” nie były najlepsze. Brakowało bieżącej wody i kanalizacji, którą mieli mieszkańcy

pobliskiego osiedla, a powierzchnia mieszkań wynosiła około 25 mkw. Przy Borowej 6 działała w czasach powojennych szkoła podstawowa, przez pewien czas istniał tam również sklep spożywczy przypominający kiosk.

„Wprowadziłam się tutaj tuż po wojnie, z wynajętego mieszkania w którym mieszkało osiem osób. To co miałam wybrzydzać, bardzo dobrze mi się tu żyło! Tu wychowałam dzieci, a teraz wnuki. Wodę się brało ze studni na ulicy, i co z tego? Węgłem w piecu pali się do dzisiaj. Każdy uprawiał swój ogródek, wszystkie były zadbane. Pobudowaliśmy sobie na działkach altanki, ja moim dzieciom zrobiłam taką budkę drewnianą do zabawy jak pada deszcz. A ludzie byli zżyci i znali się wszyscy, urządzali wesela zawsze tu, na ogródkach, byli do siebie życzliwie nastawieni. Później zaczęli tu kwaterować ludzi do mieszkań socjalnych i te więzi się poprzerzywały. A nawet listonosz wszystkich na pamięć znał. Był też taki Michałek, który roznosił gazety – o każdym umiał dowcip ułożyć, coś o kimś opowiedzieć, bo wszystkich znał tak dobrze. Za nic nie chciałabym się stąd wyprowadzić, tu mam zieleń, ogródek, powietrze, dzieci mają się gdzie bawić. (Romualda Dudka)

Cmentarz św. Antoniego

Decyzja o budowie cmentarza rzymskokatolickiego przy ul. Solec zapadła jeszcze przed wybuchem pierwszej wojny światowej – powodem był prawdopodobnie brak miejsc na pochówki na cmentarzu przy ul. Ogrodowej. Niewielka nekropolia powstała w 1914 roku i od tej pory była miejscem wiecznego spoczynku wielu mieszkańców Zdrowia, Złotna, Mani i okolic. Pośrodku cmentarnego placu powstała wolnostojąca dzwonnica, a w 1928 roku wybudowano kaplicę. Najstarszym zachowanym nagrobkiem jest mogiła Franciszka Suwalskiego (z rodu Suwalskich z Nowego Złotna) z 1916 roku. Oprócz tego na cmentarzu leżą znani łodzianie, tacy jak Witold Knychalski, Gerard Zalewski czy brutalnie zamordowany minister sportu Jacek Dębski. Łącznie na Mani jest dziś 26 kwater i ze względu na brak miejsca nie prowadzi się już pochówków w nowych grobach.

Partyzanci z Mani lasu

Nie tylko wśród mieszkańców okolicy, ale także wśród wielu łodzian upowszechniło się powiedzenie

„wyglądasz/zachowujesz się jak partyzant z Mani lasu”. W domyśle: jesteś nieokrzesany, jesteś cwaniakiem, krętaczem etc. Samo określenie oderwało się już dawno od kontekstu, w jakim powstało i trudno powiedzieć jednoznacznie, skąd się wzięło, bo grup partyzanckich w lesie konstantynowskim raczej nie było. Jest jednak pewien trop. W 1945 roku, tuż po wyzwoleniu Łodzi, Leonard Buczkowski i Ludwik Starski kręcili film *Zakazane Piosenki*. Akcja działa się w Warszawie, ale ze względu na zniszczenia miasta film kręcono w Łodzi. Mieszkańcy i ich rodzice wspominali, że część zdjęć realizowano właśnie w pobliżu cmentarza na Mani. Ze względu na „partyzancką” tematykę filmu po okolicy mogli kręcić się ucharakteryzowani na żołnierzy podziemia aktorzy. Być może wzbudzali śmiech, ale z pewnością stano-wili sensację, która przetrwała w plotce i w ironicznym powiedzeniu.

Chwile grozy przeżyła za to ekipa filmowa na planie. Aktorzy kręcąc sceny z bronią strzelali z ostrej amunicji. Nie zawsze wiedzieli, jak obchodzić się z karabinem. Jerzy Duszyński, grający Romana Tokarskiego, podczas przerwy w zdjęciach postrzelił operatora – na szczęście nie śmiertelnie.

45. Kadr z filmu
„Zakazane piosenki”



Fotografie

- 1, 2. Zdjęcia ze zbiorów Ryszarda Bonisławskiego
3. Wojewódzka Biblioteka Publiczna im. J. Piłsudskiego w Łodzi
4. Piotr Kowalczyk, Kamila Kula
5. www.fotopolska.eu
6. Archiwum Państwowe w Łodzi
7. Piotr Kowalczyk, Kamila Kula
8. Wojewódzka Biblioteka Publiczna im. J. Piłsudskiego w Łodzi
- 9, 10. Archiwum Państwowe w Łodzi
11. www.fotopolska.eu
12. Zdjęcie ze zbiorów p. Zenona Gorzkiewicza
13. Archiwum Map Wojskowego Instytutu Geograficznego
14. Piotr Kowalczyk, Kamila Kula
15. Zdjęcia ze zbiorów prywatnych p. Honoraty Malickiej
16. Archiwum Państwowe w Łodzi
17. Archiwum Zakładu Wodociągów i Kanalizacji w Łodzi
18. Piotr Kowalczyk, Kamila Kula
19. www.nasza-klasa.pl
- 20, 21, 22, 23. Piotr Kowalczyk, Kamila Kula
24. Archiwum Państwowe w Łodzi

25. Piotr Kowalczyk, Kamila Kula
26. Wojewódzka Biblioteka Publiczna im. J. Piłsudskiego w Łodzi
- 27, 28. Archiwum Państwowe w Łodzi
29. www.fotopolska.eu
30. Piotr Kowalczyk, Kamila Kula
31. Archiwum Państwowe w Łodzi
32. Piotr Kowalczyk, Kamila Kula
33. Archiwum Zakładu Wodociągów i Kanalizacji w Łodzi
34. Zdjęcie ze zbiorów prywatnych p. Janusza Bilskiego
- 35, 36, 37, 38. Piotr Kowalczyk, Kamila Kula
39. Archiwum Państwowe w Łodzi
40. Wojewódzka Biblioteka Publiczna im. J. Piłsudskiego w Łodzi
41. Zdjęcia ze zbiorów Młodzieżowego Ośrodka Socjoterapii nr 3 udostępnione na stronie www.nasze-zlotno.strefa.pl
42. www.facebook.com/UmierajacaPolska/
43. Archiwum Państwowe w Łodzi
44. Piotr Kowalczyk, Kamila Kula
45. www.fototeka.fn.org.pl

3

Ostatnim miejscem, o którym chcemy opowiedzieć, jest zabytkowe już dziś, modernistyczne osiedle im. Montwiłła-Mireckiego, zbudowane na historycznych terenach Polesia Konstantynowskiego (wspólna nazwa dla terenów na północ od ul. Srebrzyńskiej i dzisiejszego Zdrowia). W latach powojennych zostało ono związane przestrzennie z Manią, a losy jego mieszkańców często wiążą się ze Zdrowiem i Złotnem. Osiedle i jego ponad dwutysięczna społeczność stanowią jednak organizm na tyle odrębny, że należy poświęcić mu osobny rozdział.

OSIEDLE IM. MONTWIŁŁA- -MIRECKIEGO

HISTORIA OSIEDLA

Obszar dzisiejszego osiedla był nazywany „polesiem” wcale nie na wyrost – po pierwszej wojnie światowej był on już całkowicie wykarczowany. We wspomnieniach Bronisława Walczaka można przeczytać, że Łódka płynęła wtedy odkryta na linii ulicy, a w okolicach dzisiejszej ul. Barona istniało spore jezioro.

” *Z tego jeziora wypływał strumyk, przepływał w – miejscu jakby dziś to określić – między blokami nr 97 i 99 i wpadał do Łódki [...]. Na ulicy F. Perla, po stronie przedszkola, od ulicy K.F. Praussa do torów kolejowych był tucz gęsi.* (Bronisław Walczak, „Polesie” 3/1998)

Z dzisiejszego rogu al. Unii Lubelskiej i Srebrzyńskiej widać było zasiane żytem i pszenicą pola. Nieopodal dzisiejszego skrzyżowania al. Unii i Konstancyńskiej mieścił się cmentarz wojenny z mogiłami żołnierzy rosyjskich i niemieckich (zlikwidowany

w latach 30.). Bardziej zurbanizowany był teren Mani, a na rogu ulic Srebrzyńskiej i Jarzynowej istniał niewielki rynek.

Pod koniec lat 20. Łodzią rządziła ekipa wywodząca się przede wszystkim z Polskiej Partii Socjalistycznej, z prezydentem Bronisławem Ziemięckim – weteranem Rewolucji 1905 roku i Polskiej Organizacji Wojskowej. W 1927 roku postanowiono rozpiścić konkurs na kolonie mieszkaniowe dla robotników na Nowym Rokiciu i Polesiu Konstancyńskim. Nagrodzono trzy projekty, na czele z całkiem śmiałą pracą Stefana Manasterskiego, którą uznano jednak za nienadającą się do realizacji. Po burzliwych dyskusjach poproszono laureatów drugiego i trzeciego miejsca o naszkicowanie finalnego projektu osiedla, który był niejako wypadkową ich prac. W drodze przetargu wykonawcą zostało Krajowe Przedsiębiorstwo Budowlane



1. Osiedle
w trakcie
budowy

„Katebe”, jednak ze względu na brak zapewnienia, że budowa skończy się w terminie, część prac wykonała firma Izraela Tyllera, która zajęła drugie miejsce. Dwadzieścia trzypiętrowych domów z niewielkimi mieszkaniami wyposażonymi w kuchnie, piece kafłowe i kanalizację miało zostać ukończonych do lutego 1929 roku – a był to dopiero pierwszy etap budowy, bo kolejny zakładał dobudowanie jeszcze dziesięciu bloków. Kierownikiem budowy został współautor projektu, który zajął II miejsce w konkursie – Witold Szereszewski.

Na patrona osiedla wybrano Józefa Anastazego Mireckiego. „Montwiłł” to jego pseudonim z czasów działalności w Organizacji Bojowej PPS, kiedy dowodził m.in. słynną akcją wysadzenia pociągu pod Rogowem. Mirecki był jednym z najsłynniejszych uczestników wydarzeń rewolucyjnych w Warszawie. Stracono go w Cytadeli w 1907 roku. Pozostałe ulice osiedla również nazwano imionami PPS-owców: Ksawerego Franciszka Praussa, Feliksa Perła, Gustawa Daniłowskiego i Henryka „Smukłego” Barona.

Z początku budowa szła bardzo szybko, jednak po ukończeniu większości planu na luty 1929 roku miasto

musiało wstrzymać część funduszy w związku z przeładowaniem budżetu inwestycjami i rosnącym zadłużeniem. Wizja oddania pozostałych planowanych budynków oddalała się z każdym rokiem z powodu pogłębiającego się globalnego kryzysu gospodarczego, który wpłynął również na ceny materiałów. Ostatecznie budowa przeciągała się do roku 1931, a mimo tego nie udało się zbudować wszystkich bloków, odkładając w czasie realizację północno-zachodniej części osiedla. Ta zabudowa nie powstała zresztą do dziś.

W 1931 roku na osiedlu powstało świeckie przedszkole (wówczas 12. Ochronka Miejska, dziś Państwowe Przedszkole nr 12), zaś w latach powojennych ostatecznie zarzucono plan budowy dalszych bloków, stawiając np. garaże przy ul. Jarzynowej czy budynek Zespołu Szkół Przemysłu Spożywczego nr 1 przy Praussa (dziś Okręgowa Komisja Egzaminacyjna). Przy ul. Jarzynowej do dziś mieści się podstacja trakcyjna zbudowana dla potrzeb linii tramwajowej na Srebrzyńskiej. Z przedwojennych planów zrealizowano tylko budowę zespołu szkół ogólnokształcących.

Osiedle ma charakter modernistyczny i jest w pełni zgodne z zasadami funkcjonalizmu. Układ ulic



2. Budynek dawnej suszarni, dziś
Izba Pamięci i oddział MOPS



3. Jeden z bloków na osiedlu –
widok od strony podwórza

i bloków sprzyja przewietrzaniu, a ze względu na otoczenie drzew budynki nie stanowią już dziś wyraźnej dominanty przestrzennej – przypomina to raczej enklawę pośród lasu. Na długich podwórkach przewidziano miejsce na place zabaw, a także np. na pergole pod winorośl. Mieszkania ze względu na robotniczy standard nie przekraczały 40–60 m², były za to od początku wyposażone w wodę, kanalizację i gaz. Budynki dzielą się na 5 typów, określanych w projektach literami od A do E, przy czym budynek w typie E powstał tylko jeden, przy al. Unii Lubelskiej 18 (tzw. piła – od charakterystycznego układu balkonów). Wszystkie mają po cztery kondygnacje i płaskie dachy, część budynków ma też układ galeriowy. Jedyne zdobienia, zgodnie z modernistycznym duchem, są odsłonięte elementy ceglane w okolicach okien.

W czasach przedwojennych na terenie osiedla mieściły się drewniane baraki spełniające funkcję pralni

i suszarni – jeden z nich zachował się do dziś i jest siedzibą Izby Pamięci, a także lokalnego oddziału MOPS. Oświetlenie pochodziło z latarni gazowych, zapalanych i gaszonych przez latarnika. W piwnicach zlokalizowano niewielkie schrony przeciwlotnicze, a w 1939 roku przy wejściu do każdej klatki wisiał gong ogłaszający alarm bombowy. Ulice zostały wyłożone brukiem z kamieni polnych, bo dzięki temu łatwiej było je czyścić strumieniami bieżącej wody. Obowiązkowym kolorem framug okiennych był dawniej żółty, dziś preferuje się raczej zieleń.

Dziś osiedle zachowuje zabytkowy charakter. Niektóre budynki są ocieplane i malowane na nowo zgodnie z wytycznymi konserwatora, przy czym na mniejszych ulicach zachowany jest bruk, a elektryczne latarnie nawiązują estetyką do dawnych lamp gazowych, które zlikwidowano w latach 70. W tym samym czasie na al. Unii Lubelskiej i ul. Srebrzyńskiej pojawił się asfalt.

WYSIEDLENIA I OKUPACJA NIEMIECKA

Przed wojną osiedle im. Montwiłła-Mireckiego było zamieszkane przede wszystkim przez Polaków, ale echa napięć polsko-niemieckich obecnych na Złotnie czy Zdrowiu docierały także tu. Część mieszkańców wywodziła się ze środowisk wojskowych – byli to dawni legioniści, członkowie Związku Strzeleckiego, Związku Sybiraków i tym podobnych organizacji. Wiedzieli dobrze, że jeśli wybuchnie wojna, pierwsi znajdą się na celowniku okupanta. W 1939 roku wszyscy czuli, że wojna wisi w powietrzu i to dosłownie: w całym kraju wprowadzono obowiązek budowania schronów przeciwlotniczych. Osiedle wywiązało się z tej powinności z ogromnym zaangażowaniem. Schrony nie zostały w pełni ukończone, ale sądząc po dawnych zdjęciach były jednymi z najpieczołowiej wykonanych tego typu obiektów w kraju. Na szczęście dla mieszkańców, na ich domy nie spadła ani jedna bomba.

Po wejściu niemieckich wojsk na osiedle padł strach. Już w pierwszych dniach okupacji żandarmi z żołnierzami przyszli po zamieszkałych na terenie osiedla Żydów i działaczy organizacji politycznych. Oto jak opisuje to we wspomnieniach Marian Minich:

„ *Przed oknami mego mieszkania, przy uliczce Feliksa Perla, na Polesiu, łopotały wrogo czerwone flagi ze swastyką. Pędzono gromady Żydów w nieznanym kierunku [...] Podczas pełnych lęku nocy słyszeliśmy od czasu do czasu w sąsiedztwie tupot podkutych, żandarmskich buciorów, niespokojny gwar i urywane nawoływania. To rozpoczęły się nowe aresztowania i wysiedlania Polaków do Guberni. Pod bramami domów warkotały ciężarowe auta [...] Tak minęły w trwożnym oczekiwaniu święta Bożego Narodzenia i z wolna zmartwiałe miasto ogarnął tryumfujący hitlerowski rok 1940. (Agnieszka Minich-Scholz, Marian Minich, Szalona galeria. Wspomnienia wojenne, s. 269)*

Ale najgorsze miało dopiero nadejść. W zaledwie dwa tygodnie po Nowym Roku, w nocy z 14 na 15 stycznia, niemieccy żołnierze i policjanci otoczyli teren osiedla i przystąpili do akcji wysiedlenia mieszkańców. Większość lokatorów wyrzucono z mieszkań, dając kilkanaście minut na spakowanie podstawowych rzeczy:

„ *Miałam prawie cztery latka. Jedliśmy kolację, ojciec doszedł do okna i pamiętam, że nas zawołał, żebyśmy z mamą podeszły. Tuż przy al. Unii przy ogródkach działkowych były rozpalone ogniska w jakichś odstępach i przy każdym ognisku stało dwóch, trzech żandarmów z owczarkami alzackimi. Ojciec mówi „coś się zaczyna dziać, coś się w Łodzi chyba stało”. Okazało się, że całe osiedle było otoczone kordonem wojska – wzdłuż parku, al. Unii i z drugiej strony. Stałam na parapecie i patrzyłam. Potem, po niedługim czasie, łomotanie do drzwi. Okazało się, że była to godzina siódma, bo o tej godzinie zaczęło wojsko*



4. Ostatnie lata przed wojną
w obiektywie Romana Wajnikonisa



5. Niemieckie zdjęcie lotnicze – między osiedlem i parkiem widoczna transzeja przeciwlotnicza

i żandarmeria wchodzić do poszczególnych klatek na całym osiedlu. Dawali mieszkańcom 15 minut na zabranie jedzenia na kilka dni, niezbędnych rzeczy jakichś do ubrania. Ja pamiętam jeszcze to, że dostałam do ręki misia i nocnik... Płakałam, że nocnik muszę nieść, bo się wstydziłam. Ojciec mi powiedział, że nie wolno mi tego misia nawet na sekundę wypuścić z rąk i dopiero po latach dowiedziałam się,

że w tym misiu były zaszyte złote dolary. (Krystyna Trojanowska)

Bożena Niemierowska-Szczepańczyk dodaje:

„Zima tego roku była niezwykle ciężka. Wskutek ostrych mrozów pękały przewody wodnokanalizacyjne. W ten trzaskający mróz wyprowadzono całe rodziny



6. Pocztówka zachęcająca Niemców z Łotwy i Estonii do osiedlenia się na Polesiu Konstantynowskim

z płaczącymi dziećmi, inwalidami i starcami na zaśnieżone ulice. Kobiety i dzieci ładowano na ciężarowe samochody, a mężczyźni pędzili pieszo [...]. (Bożena Niemierowska-Szczepańczyk, Z przeżyć okupacyjnych na ziemi opoczyńskiej, Łódź 1992, s. 58)

Mieszkańców osiedla prowadzono do fabryki Gliksmana przy Wiesenstrasse 4 (Łąkowa), gdzie

urządzono prowizoryczny obóz koncentracyjny dla osób czekających na wysiedlenie na teren Generalnej Guberni. Ich dawne mieszkania zajęli z początku niemieccy oficjele, a docelowo mieli tam zamieszkać tzw. *baltendeutsche* z terenów dzisiejszej Łotwy i Estonii. Na pocztówkach przedstawiających osiedle reklamowano je jako kolonię mieszkaniową dla urzędników.

Warunki sanitarne w „Gliksmanlager” urągały ludzkiej godności. Szybko zaczęły szerzyć się epidemie chorób zakaźnych. Część osób umarła z wychłodzenia. Oprócz łodzian stłoczono tam Polaków z różnych zakątków kraju – Niemierowska-Szczepańczyk potwierdza, że niektórzy z nich pochodzili nawet z Kresów Wschodnich. Wśród nich znalazła się pisarka Maria Rodziewiczówna, która, jeśli wierzyć relacji jednej z pielęgniarek, przyjechała tam z obozu na Wołuniu pod przybranym nazwiskiem. Była wycieńczona do tego stopnia, że Niemcy pozwolili na umieszczenie jej w izbie chorych. Jakiś czas później udało się wydostać ją z obozu i pod przybranym nazwiskiem niemieckim przemycić do Warszawy.

„W fabryce była betonowa podłoga, żadnej słomy. Dali nam jakąś zupkę, wodę do wypicia, ale nie było żadnego ognia, żeby coś ugotować, ani mleka. Dopiero po tygodniu, ojciec wspominał, pierwsze skrzynki z butelkami z mlekiem przywieźli. Mam ciągle taki pogłos w głowie „panie Wiechecki, panie Wiechecki, mleko przyszło”. Dzieci dostawały po kubku tego mleka. Był potworny mróz, blisko 30 stopni, i jakimiś patykami, papierem się ogień rozpalało. Mama mi gotowała mleko, przechodził obok umundurowany Niemiec, kopnął

w tę blachę i to mleko się wylało. Cały czas chodzili, pilnowali nas. Mama strasznie płakała. Ja się rozchorowałam ciężko i tylko dlatego, że mój ojciec pracował w Izbie Skarbowej, to nas po dwóch tygodniach Izba Skarbowa wyreklamowała, że tak powiem. Dziadek i babcia mówili, że dzięki temu w ogóle żyję, bo nie miałabym prawa przeżyć w takich warunkach. (Krystyna Trojanowska)

„Tu nas zarejestrowano, wydano zielone karteczki i ulokowano na nagiej, brudnej podłodze. Aresztowani wypełnili szczelnie trzypiętrowy budynek [...] Początkowo, zanim zainstalowano umywalnie – myto się na dwudziestostopniowym mrozie. Masowe choroby dzieci zmusiły dowództwo obozu do założenia izby chorych, która pochłaniała coraz więcej miejsca [...] Poza odrą, szkarlatyną i dyfterytem, którym z reguły towarzyszyło zapalenie płuc i uszu, pojawiły się wypadki zapalenia opon mózgowych, jaglicy i świerzb [...] Mijały dni i tygodnie. Ciężko chore dzieci wysyłało dowództwo lagru, często za późno, do szpitala Anny Marii oraz Szpitala Miejskiego w Radogoszczu [...] Matki, które utraciły dzieci, szły z przepustką Sturmbannführera do kostnicy w Radogoszczu i tam grzebiąc w rzędku trupków, usiłowały rozpoznać swoje

maleństwa. (Agnieszka Minich-Scholz, Marian Minich, *Szalona galeria. Wspomnienia wojenne*, Warszawa 2015, s. 270)

Wiele osób, które przewinęły się przez obóz i przeżyły, wywieziono w bydłowych wagonach z terytorium Kraju Warty. Nielicznym udało się uciec. Niektórzy mieli szczęście i udało im się zostać w Łodzi u rodziny lub przyjaciół.

Już w pierwszych dniach wojny niewielka część mieszkańców osiedla włączyła się do konspiracji, której struktury rekrutowały się przede wszystkim z przedwojennego Polskiego Związku Obrońców Ojczyzny z Tadeuszem Fornalskim jako prezesem. Większość działaczy z powodu wystawienia za nimi listów gończych była jednak zmuszona uciec z Łodzi i zmienić tożsamość, schodząc do głębokiej konspiracji na terenie miast Generalnego Gubernatorstwa.

Po wojnie ocaleli mieszkańcy osiedla wrócili do swoich mieszkań, często rzucając się sąsiadom w ramiona. Niemcy z reguły uciekali w popłochu i w poczuciu winy, jednak część kobiet z dziećmi postanowiła zostać w mieszkaniach do momentu, aż nie wyrzucono

ich stamtąd siłą. Niestety wielu lokatorów straciło sporą część swoich dóbr. Zdarzało się też, że niektórzy chcieli wykorzystać sytuację do swoich celów:

„Niemiec, który miał zająć nasze mieszkanie uznał, że na trzecie piętro to on się nie wprowadzi i meble nasze, włącznie z pianinem, kazał znieść na pierwsze piętro. No i po wojnie były bardzo nieprzyjemne sytuacje z sąsiadami którzy tam wrócili i którzy uważali, że to pianino należy do nich. Mój ojciec zapytał ich „a co jest w pianinie?”, a oni że nic, że młoteczek są. A on podszedł do tego pianina, wyjął dwa woreczki z nadtalną, które były przyłączone w środku, żeby mole nie wchodziły i powiedział „nic nie ma?”. Sąsiedzi nic nie odpowiedzieli. W końcu wszystkie rzeczy oddali. Natomiast powiem, że Niemcy, którzy mieszkali u nas w mieszkaniu zostawili bardzo ładną porcelanę. (Krystyna Trojanowska)

Oprócz tego powszechne były przypadki szabrowania mieszkań przez uzbrojone bandy. Warunki życia w pierwszych dniach po wypędzeniu Niemców były dość ciężkie: niektórzy musieli palić w piecu meble z braku węgla. Z powodu awarii studni głębinowych po wodę trzeba było chodzić do ulicznych pomp.



7. Zasypywanie rowów
przeciwłotniczych,
1939 lub 1940 rok

ŻYCIE NA OSIEDLU

Struktura społeczna mieszkańców osiedla nie była wyjątkowo zróżnicowana. Już w latach 30. wiadano, że z powodu kryzysu ekonomicznego częścią kosztów budowy będzie trzeba obarczyć przyszłych lokatorów. Dlatego, wbrew wcześniejszym zapewnieniom magistratu, czynsze zostały znacząco podniesione. Nie były to kwoty na kieszeń robotnika, więc w nowym budownictwie zamieszkali przede wszystkim przedstawiciele klasy średniej: nauczyciele, lekarze, kolejarze czy urzędnicy. Sporo mieszkań otrzymali tu także artyści, a także wojskowi, dawni PPS-owcy i legionieści. Było to więc na ogół „szanowane towarzystwo”, w którym jedynie ludzie sztuki mogli budzić swego rodzaju kontrowersje.

„Tu było piękne, dobrze utrzymane osiedle, sąsiadujące z rozległym parkiem, do którego szło się codziennie latem z rodzicami. Można było spokojnie, bez obawy, chodzić tu o każdej porze. Pamiętam lampy gazowe na

ulicach, pamiętam dozorcę w parku nazywanego Gajusem, który chodził z laską i nadziewał na jej metalowy szpic każdy papierek, a nie daj Boże, jeśli kogoś na rzuceniu papierku lub wchodzeniu na trawnik przyłapał. (p. Mieczysław Kieszkowski; Tadeusz Gicgier, *Wędrując z mikrofonem. Dzielnice Łodzi*, s. 92)

Dozorcy zajmowali się też wydłubywaniem żdźbeł trawy spomiędzy ulicznego bruku i nakręcaniem osiedlowych zegarów podczas nocnego obchodu. Przywiązanie do porządku, który był oznaką prestiżu, było wręcz obsesyjne. W przedwojennym regulaminie dla lokatorów można odnaleźć tego typu zapisy:

„Zabrania się wbijania haków i gwoździ do drzwi, ram okiennych i futryn. [...] Bezwzględnie zabrania się rąbania drzewa i tłuczenia węgla w mieszkaniach; czynności te mogą być wykonywane tylko w piwnicy lub na dziedzińcu. Bez zgody administracji nie wolno



8. Beztroskie dzieciństwo na rok przed wybuchem wojny – na zdjęciu Maria Rudzińska z córką Barbarą, w tle osiedle Polesie Konstantynowskie



9. Mali przyjaciele z osiedla

lokatorowi zajmować się w mieszkaniu jakimkolwiek rzemiosłem lub procederem. Pranie i suszenie bielizny w mieszkaniu jest wzbronione za wyjątkiem przepierek. [...]

Czyszczenie dywanów może się odbywać tylko na dziedzińcu lub w innym wyznaczonym przez administrację domów miejscu i tylko w pewnych ustalonych dniach i godzinach. Zakazane jest czyszczenie w przedsionkach, korytarzach lub oknach. [...]

Utrzymywanie w domach psów i kotów jest w zasadzie wzbronione. Na skutek należycie uzasadnionej prośby administracja domów może wyjątkowo zezwolić na utrzymywanie tych zwierząt. [...]

Przy szyciu i pisaniu na maszynie należy stosować środki tłumiące hałas. Gra na fortepianie lub głośnych instrumentach i śpiew dozwolone są tylko do godz. 10-ej wiecz.

Drakońskie regulaminy złagodzano nieco w latach powojennych, jednak sami mieszkańcy zgadzali się co do tego, że na osiedlu powinien panować bezwzględny spokój. A jednak hałasu nie brakowało – zwłaszcza

gdy na podwórkach bawiły się dzieci, albo gdy na brukowane uliczki wjeżdżały furmanki z węglem. Dzieci wołały zresztą zabawę w parku, choć nie znaczy to, że nigdy nie kręciły się pod blokami:

» *Najbardziej pamiętam zabawy na trzepaku. No i bawiłyśmy się z dziewczynkami w sklep. Pamiętam, że ucierałyśmy cegłę i sprzedawałyśmy to jako kakao. Była też inna zabawa: wykopywało się kawałek dołka w ziemi, zbierało się różne złotka – po cukierkach, czekoladzie, kolorowe szkiełka czy jakieś kwiatki, układało się z tego wzór, zasypywało się ziemią i to był nasz sekret. Jakaś dziewczyna innej grupie powiedziała i te kinalina [tak nazywano te zabawki – przyp. aut] były często wykradane innym. A jak nie chciało się już bawić w piaskownicy w parku to na rowerze na Złotno się jeździło. (Małgorzata Adamczyk)*

Mieszkania na osiedlu z pewnością wybijały się na tle przedwojennego standardu, ale brakowało w nich wielu wygod, które poznali lokatorzy bloków wybudowanych po wojnie. Nie było w nich łazienek (wannę należało zorganizować samemu) ani urządzeń do ogrzewania wody. Lokatorzy wstawiali do mieszkań prysznice przyczepione do zbiorników

ogrzewanych drewnem: w momencie osiągnięcia wysokiej temperatury ciśnienie wystrzeliwało wodę ku górze, dzięki czemu ta nie ciekła, lecz tryskała sporym strumieniem.

Ze względu na drakoński regulamin oraz brak miejsca w lokalach mieszkalnych, pranie suszono w specjalnych suszarniach. Niestety w latach powojennych coraz częściej zdarzały się kradzieże, na skutek czego suszarnie zaczęto zamykać i likwidować.

Uciążliwością dla wielu był fakt, że klatki schodowe zamykano po godzinie 23:00. Jeśli ktoś zapomniał kluczy, musiał szukać nocnego dozorca, który robił zwykle obchód po osiedlu i mógł być dosłownie wszędzie. Z czasem podobne regulacje zelżały, jednak wtedy były surowo przestrzegane.

W blokach mieściły się nieliczne zakłady usługowe (pamiętajmy, że panował zakaz uprawiania rzemiosła!), jednak na osiedlu był dawniej tylko jeden sklep – przy ul. Perla 9, w miejscu dzisiejszej biblioteki. W latach przed- i powojennych sklepy przyjeżdżały z zewnątrz:

„*Gospodarze ze Zdrowia, Mani, Złotna przyjeżdżali i sprzedawali warzywa z wozu. No i mleko, wszyscy przynosili mleko. Była pani Figłowa, która przyjeżdżała z banieczką z mlekiem wozem z koniem. Ten koń był wypieszczony jak Kasztanka Piłsudskiego.* (Małgorzata Adamczyk)

Jeśli chodzi o popularne anegdoty, mówiło się, że „na Polesie” nie chcą jeździć taksówkarze. Część z pewnością bała się, że bruk poniszczy im podwozia, ale mógł być też inny powód:

„*Są takie bloki, które mają wejście od strony ulicy i od strony podwórza, zwykle ogrodzonego. No i był taki sposób na niepłacenie za taksówkę: mówiło się taksówkarzowi, że ojej, nie mam pieniędzy, pójdę do mieszkania i zaraz panu przyniosę. Taksówkarz czekał przed klatką, a tymczasem wychodziło się z bloku od strony podwórza, szło się do swojego i nie płaciło.* (Krystyna Trojanowska)

Wielu mieszkańców lubiło spędzać czas na działkach, które powstały już w 1933 roku. Po wojnie prezesem Państwowych Ogrodów Działkowych zlokalizowanych przy osiedlu był Tadeusz Fornalski, wspomniany

wcześniej twórca komórek konspiracyjnych w Łodzi. Na osiedlu od dawna żyje bardzo aktywna społeczność, zwłaszcza z pokolenia dotkniętego traumą wysiedleń. Staraniem lokalnego komitetu w 1987 roku w budynku dawnej suszarni powołano Izbę Pamięci osiedla. Instytucja gromadzi eksponaty, organizuje spotkania, a także promuje historię osiedla i wiedzę o jego mieszkańcach wśród dzieci i młodzieży. Przez długi czas (lata 1996–2003) w czynie społecznym wydawano i rozprowadzano magazyn „Polesie”, zarówno opisujący najważniejsze bieżące problemy z życia społeczności, jak i podejmujący tematy historyczno-wspomnieniowe. W latach 90. działała też osiedlowa telewizja kablowa.

Warto dodać, że w 1971 roku osiedle im. Montwiłła-Mireckiego zostało wpisane do rejestru zabytków i jest objęte ochroną konserwatorską.

Literatura w domu i zagrodzie

III Rejonowa Wypożyczalnia Książek dla Dorosłych pojawiła się 12 października 1945 roku w nieistniejącym już budynku przy Srebrzyńskiej 103. Jej

pierwszą kierowniczką była Jadwiga Guzowa. Od 1953 roku główną misją placówki stało się krzewienie czytelnictwa wśród mieszkańców wsi. Biblioteka w latach 1953–1955 otworzyła trzy „wiejskie” punkty: na Nowym Złotnie, Starym Złotnie i Żabieńcu. Jak wspomina dawna anonimowa kronikarka, praca w rejonach rolnych była wysiłkiem pionierskim i wyjątkowo ciężkim. *Ludzie wsi są elementem trudnym i trzeba dobrej znajomości ich psychiki, aby wybrać odpowiednią drogę do nich i pozyskać sympatię i zaufanie* – pisała w kronice biblioteki. Zadania nie ułatwiały złe warunki lokalowe i brak komunikacji zbiorowej między odległymi rejonami. Jak wspomina kronika, najbardziej opornie szła praca w gromadzie Stare Złotno, zaś najłatwiej – na Żabieńcu. Bibliotekarze musieli sami nosić i wozić książki do wynajmowanych w prywatnych domach punktów, które zresztą były czynne tylko przez dwa dni w tygodniu.

W krótkim opisie pracy zespołów mieści się jeszcze sporo kilometrów przebytych przez bibliotekarkę w deszcz, po śniegu, wiele godzin spędzonych przez nią w nieopalanym lokalu, w przemoczonym obuwu – czytamy w najstarszej zachowanej kronice.

Zgodnie z oświatowymi trendami, biblioteka prowadziła szeroką popularyzację czytelnictwa, organizowała wystawy i spotkania autorskie, zarówno na osiedlu, jak i w dawnych wsiach. Oczywiście największą popularnością cieszyły się magazyny rolnicze (często czytane na głos) i akcje upowszechniania wiedzy o rolnictwie, organizowane wspólnie ze Związkiem Samopomocy Chłopskiej. Pomimo znacznych sukcesów, praca w rejonach i organizacja imprez była dla biblioteki na Srebrzyńskiej bardzo trudna i zabierała pracownikom nawet wolne niedziele – w końcu to właśnie w tym dniu rolnicy mieli najwięcej czasu. Kronikarz policzył, że w trakcie tzw. akcji wiejskiej wypożyczono ponad dwa i pół tysiąca woluminów, za to 124 poczytne pozycje zostały skradzione. Niektórzy po prostu nie oddawali książek, inni wyjmowali je z okładek i wkładali tam inne. Innym problemem była walka z chuliganami, którzy *urządzali koncerty pod oknami biblioteki, opluwali czytelników itp.* Ostatecznie akcję wiejską zakończono po kilku latach. Punkt na Żabieńcu zamknięto w 1955 roku, a punkt na Starym Złotnie w 1957 roku. Punkt na Nowym Złotnie na Płatowcowej otrzymał za to stałą obsadę pracowników ze względu na wysoką frekwencję.

Zbiory skomasowane w lokalu na Srebrzyńskiej przeniesiono do dawnej suszarni przy ul. Perla 2 – tam, gdzie dziś mieści się Izba Pamięci. W starym pomieszczeniu powstała biblioteka dla dzieci i młodzieży. Warunki w baraku przy Perla były z początku dramatyczne: brakowało oświetlenia, pomieszczenie było bardzo trudne do ogrzania, a w *pierwszym roku wilgoć była tak straszna że poodklejały się ramy od obrazów i spadły na podłogę.* Do tego zimą schodziły się tam myszy z ogródków działkowych, obgryzając grzbiety książek i niszcząc rośliny doniczkowe. Tym niemniej biblioteka działała prężnie, a jej kierowniczka Irena Drezner prowadziła akcję propagowania książek popularnonaukowych.

Wypożyczalnia wytrwała w tych spartańskich warunkach do połowy lat 60. i została przeniesiona do bardziej komfortowego lokalu po dawnym sklepie spożywczym przy ul. Perla 9, gdzie mieści się do dziś i jest filią nr 3 Miejskiej Biblioteki Publicznej Łódź-Polesie. Nosi imię Katarzyny Kobro, wieloletniej mieszkanki osiedla i znanej na całym świecie awangardowej artystki. W bibliotece można znaleźć literaturę dla młodzieży i dorosłych, nowości, a także pozycje traktujące o historii osiedla i postaci z nim

związanych. Działa w niej Dyskusyjny Klub Książki, a od czasu do czasu odbywają się również spotkania z autorami.

Szkoła

Pierwsza placówka szkolna na osiedlu powstała w czasach powojennych – była to Szkoła Podstawowa nr 129, która mieściła się w bloku przy ul. Srebrzyńskiej 91. Uczyły się w niej przede wszystkim dzieci z osiedla i z Mani.

„*To była szkoła pełnowydziałowa, było siedem klas. Z tyłu bloku, na tym terenie zielonym, jak było lato to wychodziło się na gimnastykę, a jak był deszcz czy zimno to była gimnastyka w klasie. Był taki nauczyciel, pan Łomnicki, który przeżył Oświęcim. Trochę przerażał. Chodził przez jakiś czas tylko w czarnych rękawiczkach, bardzo był nerwowy i bił po rękach drewnianym piórnikiem.* (Krystyna Trojanowska)

Już w 1950 roku rozpoczęła się budowa nowoczesnego zespołu szkół przy ul. Praussa 2 projektu Czesława Jabłońskiego. Trwała aż do roku 1953, kiedy to

14 kwietnia odbył się uroczysty apel inaugurujący lekcje w nowym budynku. Uczniowie dawnej „129” dzielili go z uczniami Szkoły Podstawowej nr 40, przeniesionej w 1954 roku na osiedle z kamienicy przy ul. Hibnera 9 na Kozinach (dziś ul. Waryńskiego). Chaos organizacyjny pogłębiło jednoczesne utworzenie tam 22 Szkoły Ogólnokształcącej Podstawowej Towarzystwa Przyjaciół Dzieci, która miała połączyć się z dawną szkołą ze Srebrzyńskiej. W tym samym czasie w bliźniaczym budynku z wejściem od ul. Praussa powstało Liceum Pedagogiczne. Dopiero w kolejnym roku 22 TPD stała się szkołą jedenastoletnią TPD o numerze XVIII, zaś do 1957 roku szkoła nr 40 wchłonęła dawną placówkę nr 129, która przestała istnieć. W pierwotnych planach w obu budynkach miały znajdować się „jedenastolatki”, jednak szkoła TPD zamieniła się w klasyczne Liceum Ogólnokształcące o numerze XVIII, a w 1958 roku zyskała imię Jędrzeja Śniadeckiego. W późniejszych latach w budynkach mieściło się również II Liceum dla Pracujących, a w 1975 roku wszystkie szkoły (oba licea i podstawówka) stały się Zespołem Szkół nr 5. W roku 1999 powstał Zespół Szkół Ogólnokształcących nr 10, w skład którego weszło dawne liceum i nowe Gimnazjum nr 48, zlikwidowane w 2006 roku. Dziś istnieje



10. Budynek Szkoły Podstawowej nr 40, lata 50.

tam tylko Szkoła Podstawowa nr 40 i XVIII Liceum Ogólnokształcące.

Z powodu częstych zmian organizacyjnych, wielu mieszkańców utożsamia ze sobą np. Szkołę Podstawową 129, szkołę TPD i „czterdziestkę”. Szkolne lata są raczej dobrze wspominane:

„ Chodziłam do tej szkoły, ale już w tym budynku, gdzie jest dzisiaj. Pięknie wtedy wyglądała, nie tak jak teraz – nowe cegły, zadbane budynki, wielka przestrzeń w środku. W dodatku panie nauczycielki mieszkaly tu na osiedlu, więc wszystko wiedziały co dzieci robią. Ale to nie był problem, bo do nauczycieli był szacunek. (Małgorzata Adamczyk)

Szkoła Podstawowa nr 40 mieści się w budynku przy Perla do dziś, kontynuując swoją długą historię sięgającą najwcześniejszych lat międzywojennych. Dziś nosi imię Bohaterów Rewolucji 1905 roku, a w jej budynku mieści się Młodzieżowy Ośrodek Socjoterapii nr 3, przeniesiony na osiedle z dawnej willi Schmidta na Mani. XVIII Liceum Ogólnokształcące (dziś im. braci Śniadeckich) również działa nieprzerwanie i jest obecne we wspomnieniach wielu mieszkańców Zdrowia, Mani i Złotna, a także innych części miasta. Sporo ciekawostek o szkolnym życiu w latach 60. można znaleźć w autobiograficznej książce absolwenta „osiemnastki”, Witolda Głuchowskiego, zatytułowanej *Piękne lata w trudnych czasach, czyli życie szczęśliwego licealisty w Łodzi*.

OSIEDŁOWA BOHEMA

Osiedle im. Montwiłła-Mireckiego było przed wojną miejscem zamieszkania wielu artystów i naukowców, których nazwiska zyskały lokalną lub światową sławę. Wielu z nich mieszkało tu tylko przez pewien czas, jednak sama ich obecność wzbogacała koloryt tego miejsca.

Najbardziej barwnymi i znanymi postaciami łódzkiego świata sztuki czasów przedwojennych byli z pewnością Katarzyna Kobro (ur. 1898) i Władysław Strzemiński (ur. 1893), którzy mieszkali przy ul. Srebrzyńskiej 75. Obydwójce byli artystami związanymi ze środowiskiem awangardy, tworzyli grupy Blok, Praesens i a.r. – on poświęcił się teorii unizmu w malarstwie, zgłębiając tajniki widzenia, ona tworzyła rzeźby i prace oparte na pojęciu nieskończonej przestrzeni. Na osiedlu zamieszkali w 1933 roku, trzy lata przed narodzinami ich córki Niki.

Strzemińscy przyjaźnili się z Wegnerami czy Hille-rami, również mieszkańcami osiedla. Nie robiąc sobie wiele z postanowień restrykcyjnego regulaminu, urządzili w mieszkaniach pracownie artystyczne i zaadaptowali ich przestrzeń do swoich koncepcji:

„ W 1935 roku sensacją na osiedlu i wśród przyjaciół stały się domy naszych rodzin – pisze Anna Wegner-Sumień. – Rozważania Strzemińskiego i Wegnera z zakresu kompozycji przestrzeni znalazły zastosowanie w naszych mieszkaniach. Płaszczyzny ścian, sufitów i podłóg zostały podzielone na kwadraty i prostokąty i pomalowane na białe, szare, niebieskie, żółte i czarne – wydzielono w ten sposób funkcje poszczególnych części pokoi. (Małgorzata Czyńska, *Kobro. Skok w przestrzeń*, s. 123)

Artyści nie należeli jednak do najbogatszych mieszkańców osiedla i często musieli żyć bardzo skromnie,

by móc opłacić czynsz. Z tego zresztą powodu musieli przeprowadzić się do mniejszego mieszkania w tym samym bloku.

” *Dom umeblowany jest byle jak, po spartańsku – sieni- niki na żelaznych łóżkach, stół. „Żyli bardzo skrom- nie – wspomina Anna Wegner-Sumień – niemal biednie. W nieuporządkowanym mieszkaniu, prawie bez mebli, panował wieczny rozgardiasz, mieli pełno pudełek, wiaderek i klatek z myszkami i ptaszkami, a między nimi wylegiwały się psy” [...]. W mieszka- niu jest wprawdzie łazienka z wanną, ale Strzeмиńscy z niej nie korzystają, bo wodę na kąpiel trzeba grzać w piecyku – długiej rurze opalanej węglem. Katarzyna musi nosić węgiel do ogrzania mieszkania z piwnicy na trzecie piętro, brak jej sił i ochoty, żeby męczyć się jeszcze przy kąpeli. Łatwiej zagrzać wodę w kuchni na gazie i umyć się w misce. U Wegnerów węgiel nosi służąca.* (Małgorzata Czyńska, *Kobro. Skok w prze- strzeń*, s. 126)

Po wojnie i już po rozwodzie ze Strzeмиńskim Ka- tarzyna Kobro wróciła do dawnego mieszkania na Srebrzyńskiej razem z Niką. Wielu mieszkańców wspomina ją z wielką sympatią i współczuciem dla

jej trudnej sytuacji materialnej. Niektórzy pamiętają jeszcze zabawki, które sprzedawała, by zarobić kilka groszy. Pamiętają też, że bardzo dbała o swoją córkę nawet w latach największej biedy. Kobro do końca ży- cia utrzymywała w swoim mieszkaniu „święty kącik” z ikoną i lampką wieczną, do którego nikt postronny nie miał wstępu. Zniszczona procesem ze Strzeмиń- skim o jego rzekome „wynarodowienie” artystka zachorowała na nowotwór szyjki macicy i zmarła w 1951 roku.

Kolejnym słynnym lokatorem osiedla był Karol Hil- ler – awangardowy malarz i grafik, twórca konstruk- tywistyczny zainteresowany biomorficzną abstrak- cją, pomysłodawca techniki heliograficznej (łączącej fotografię, rysunek i malarstwo). Zamieszkał w blo- ku przy Srebrzyńskiej 93. Hiller był bliskim przyjacie- lem Mariana Minicha, jednego z twórców łódzkiego Muzeum Sztuki. Należał do Ligi Obrony Praw Czło- wieka i Obywatela, a także do Komunistycznej Par- tii Polski do momentu jej rozwiązania przez Stalina. Jak wspomina Minich, obaj uwielbiali wielogodzin- ne spacerować po parku na Zdrowiu i dyskusje o sztuce. Hiller rzadko wspominał o tym, że miał niemieckie pochodzenie – w momencie jego aresztowania przez

Niemców 11 listopada 1939 roku i wywiezienia do obozu na Radogoszczu jego rodzina chciała wydo- stać go pod tym właśnie pretekstem. Nie wypusz- czono go jednak z aresztu, a wszelka wieść o nim przepadła. Najprawdopodobniej rozstrzelano go w ramach Intelligenzaktion Litzmannstadt, choć Marian Minich do końca życia żywił nadzieję, że ja- kimś cudem Hillerowi udało się przeżyć. Po wojnie istniały plotki o jego rzekomej ucieczce do ZSRR pod fałszywym nazwiskiem.

Wśród ważnych osobistości osiedlowej bohemy warto wymienić również Feliksa Paszkowskiego czy Józefa Sielankowskiego. Spoza środowiska artystycznego na wzmiankę zasługuje Anna Rynkowska – archiwistka i historyczka, autorka słynnej książki *Ulica Piotrkow- ska* i licznych artykułów dotyczących historii Łodzi, zamieszkała przy Srebrzyńskiej 89. W tym samym bloku, w którym mieszkali Strzeмиńscy, lokatorem był również Antoni Purlat – powstaniec śląski, dzia- łacz Pogotowia Bojowego PPS i ostatni wiceprezydent Łodzi. Zginął w Auschwitz w 1943 roku.

ZBIORNIK GAZU

Łódzka gazownia przy ul. Targowej od 1869 roku dostarczała światła miastu, jednak dopiero w XX wieku postanowiono zwiększyć jej moc i rozwinąć zakres oddziaływania. W tym celu w 1909 roku Konsorcjum Dzierżawców Gazowni Miejskiej w Łodzi postanowiło wybudować zbiornik gazu na Polesiu Konstantynowskim. Planowano, że w przyszłości powstanie tu druga miejska gazownia. Uznano to miejsce za dogodne, w końcu leżało blisko torów kolejowych, którymi można było dowozić węgiel, a rzeka Łódka wydawała się dobrym kanałem odprowadzania ścieków. Z centrum miasta poprowadzono gazociąg, a zbiornik przy ul. Srebrzyńskiej, pośród pól i lasów, stanął w 1911 roku. Koszt jego budowy wyniósł ponad 250 tysięcy rubli.

Gaz, który nazywano koksowniczym, uzyskiwano metodą beztlenowego spalania węgla w temperaturze ok. tysiąca stopni Celsjusza. Aż do momentu zastąpienia go gazem ziemnym był powszechny we wszystkich miastach Polski. Był też bardzo

toksyczny – zawierał ogromne ilości tlenku węgla. Zbiornik przy Srebrzyńskiej wyglądał jak wielki balon otoczony drewnianą konstrukcją – kiedy napływał do niego gaz, powierzchnia balonu unosiła się. Nawet gdy w bezpośrednim otoczeniu zbiornika powstało osiedle im. Montwiłła-Mireckiego, nie zdecydowano o jego usunięciu: normalną praktyką było bowiem budowanie tego typu obiektów nawet wśród gęstej zabudowy. To właśnie tej bliskości mieszkańcy osiedla zawdzięczali pełne oświetlenie pochodzące z gazowych lamp.

Tuż obok powstał drewniany budynek techniczny gazowni i murowany dom dla pracowników, przypominający willę. Zbiornik rozebrano w okolicy lat 70., natomiast oba budynki stoją do dziś, choć ich stan pozostawia wiele do życzenia. Zwłaszcza „willa” przy Srebrzyńskiej 77 popada w ruinę i wymaga natychmiastowego remontu. Warto dodać, że tuż obok budynku technicznego wciąż znajduje się stacja gazowa.



11. Nieistniejący
zbiornik gazu przy
ul. Srebrzyńskiej



12. Pocztówka przedstawiająca drewniany budynek techniczny gazowni...

13. ...popadający dziś w ruinę



Fotografie

1. Archiwum Państwowe w Łodzi
- 2, 3. Piotr Kowalczyk, Kamila Kula
4. Zdjęcie ze zbiorów prywatnych p. Justyny Wajnikonis-Maciejewskiej
5. www.fotopolska.eu
6. Archiwum Państwowe w Łodzi
7. Fotografia Alfreda Kissa dzięki uprzejmości autora strony historia-nieznana.blogspot.com
8. Zdjęcie ze zbiorów prywatnych p. Anny Lipińskiej
9. Zdjęcie ze zbiorów p. Doroty Fornalskiej
10. Archiwum szkolne Szkoły Podstawowej nr 40 w Łodzi
11. Archiwum Państwowe w Łodzi
12. www.fotopolska.eu
13. Piotr Kowalczyk, Kamila Kula

LITERATURA

Badziak Kazimierz, Chylak Karol, Łapa Małgorzata, *Łódź wielowyznaniowa. Dzieje wspólnot religijnych do 1914 roku*, Łódź 2014

Baranowski Bohdan, Fijałek Jan i inni, *Łódź. Dzieje miasta t. 1 do 1918 roku*, Warszawa 1988

Czernielewski Konrad, *Garnizon Łódzki Wojska Polskiego w latach 1918–1939*, Toruń 2008

Czyńska Małgorzata, *Kobro. Skok w przestrzeń*, Wołowiec 2015

Dębowski Grzegorz, *Dobroczyńcy Nowego Złotna. Rodzina Suwalskich*, „Kronika miasta Łodzi”, nr 2/2007

Gigier Tadeusz, *Wędrując z mikrofonem. Dzielnice Łodzi*, Łódź 1994

Głosek Marian (red.) *Nekropolia z terenu byłego poligonu wojskowego na Brusie w Łodzi*, Łódź 2010

Głuchowski Witold A., *Piękne lata w trudnych czasach, czyli życie szczęśliwego licealisty w Łodzi*, Łódź 2012

Grzesiuk Stanisław, *Boso, ale w ostrogach*, Warszawa 2008

Gumkowski Czesław, *Wielka Łódź*, „Dziennik Zarządu Miejskiego w Łodzi” nr 6/1945

Haniszewski Edward, *Aeroklub Łódzki im. kpt. pil. Fr. Żwirki: 1929–1969*, Łódź 1970

Klink Mariola, *Baba z baby*, Warszawa 2014

Kowalczyk Oskar, *Suburbanizacja Łodzi – przykład osiedla Złotno. Przyczynek do rehabilitacji funkcjonalno-przestrzennej*, praca dyplomowa inżynierska, Politechnika Łódzka 2016

Kossman Oskar, *Rozwój terenów rolniczych w puszczy łódzkiej: wiek XIII–XVIII*, Łódź 1934

Liszewski, Stanisław (red.) *Atlas Miasta Łodzi*, Łódź 2002

Makowiecki Andrzej, *Białe wygrywa, czarne przegrywa*, „Odgłosy” nr 25/1975

Makowiecki Andrzej, *Zdrowie – wizja przyszłości*, „Odgłosy” nr 20/1972

Michalska Anna, Koliński Michał, Kulesza Piotr, *Łódzkie kina. Od Bałtyku do Tatr*, Łódź 2015

Minich-Scholz Agnieszka, Marian Minich, *Szalona galeria. Wspomnienia wojenne*, Warszawa 2015

Mowszowicz, Jakub (red.) *Parki Łodzi: praca zbiorowa*, Warszawa 1962

Szymański, Jakub Marcin, *Łódzka elektrownia i gazownia do 1939 roku*, Łódź 2016

Niemierowska-Szczepańczyk Bożena, *Z przeżyć okupacyjnych na ziemi opoczyńskiej*, Łódź 1992

Piotrowski Waław, *Spoleczno-przestrzenna struktura m. Łodzi: studium ekologiczne*, Wrocław 1966.

Rynkowska Anna, *Osada fabryczna Mania i jej dzierżawcy*, Warszawa 1980

Witczak Jerzy, *Zdrowie: prawda i legenda*, „Odgłosy” nr 2/1963

Walczak Bronisław, „Polesie” nr 3/1998

Werner Piotr, *Zmurszałe epitafia. Złotno wobec wymogów historii*, „Kronika Miasta Łodzi” 3/2005

Żródlak Wojciech, *Łódzkie tramwaje 1898–1998*, Łódź 1998

Strony internetowe, blogi

Archiwum Map Wojskowego Instytutu Geograficznego: polski.mapywig.org

Facebook: www.fabebook.com

Fotopolska: www.fotopolska.eu

Fototeka Filmoteki Narodowej:
www.fototeka.fn.org.pl

Historia Nieznana: www.historia-nieznana.blogspot.com

Nasze Złotno: www.naszezlotno.strefa.pl

Nasza-Klasa: www.nk.pl

Society For German Genealogy in Eastern Europe:
www.sggee.org

Wikimedia Commons: commons.wikimedia.org

Archiwa

Archiwum Biblioteki Publicznej Łódź-Polesie Filii nr 3 im. Katarzyny Kobro.

Archiwum Państwowe w Łodzi

Archiwum Szkoły Podstawowej nr 40 w Łodzi

Archiwum Zakładu Wodociągów i Kanalizacji w Łodzi

PODZIĘKOWANIA

Dziękujemy serdecznie wszystkim, którzy przyczynili się do powstania tej książki. Dziękujemy, że nas wspieraliście, odpowiadaliście na nasze pytania, udostępnialiście nam opowieści i pamiątki rodzinne, służyliście poradą i dobrym słowem. Jako ludzie niezwiązani osobiście z tą częścią Łodzi nie poradziłobyśmy sobie bez takiej pomocy – dlatego ta książka jest tak naprawdę jedną wielką dedykacją.

W pierwszej kolejności dziękujemy za pomoc i wsparcie Małgorzacie Skwarek-Gałęskiej, bez której nie byłoby wniosku do Budżetu Obywatelskiego, a więc i niniejszej książki. Warto wspomnieć, że projekt nie zaistniałby także bez miłośników Złotna – na przykład Andrzeja Mieszka, autora strony internetowej Nasze Złotno, i Jacka Wystopa, znawcy historii lokalnej.

Dziękujemy również radzie osiedla Złotno, jej przewodniczącemu Jackowi Kopczyńskiemu i sekretarzowi Kacprowi Gorczycy, autorowi fanpage’a Złotno Jest

Fajne. Dziękujemy Ewie Gojawczyńskiej z drukarni Ale Kino za udostępnienie zdjęcia i dużo ciepłych słów, a także Annie Wiercińskiej za pomoc i za zdjęcie nieistniejącego już nagrobka z cmentarza w Odziera-dach. Dziękujemy Oskarowi Kowalczykowi za świetną syntezę dawnej historii Złotna i udostępnienie nam swojej pracy dyplomowej oraz Wojciechowi Źródla-kowi z Klubu Miłośników Starych Tramwajów za nieocenioną pomoc merytoryczną i cenne materiały dotyczące pętli na Złotnie. Dziękujemy Kołu Gospodyń Wiejskich ze Starego Złotna, a także Zofii Figiel, prezes Ochotniczej Straży Pożarnej Stare Złotno, za pomoc w organizacji spotkania z mieszkańcami. Dziękujemy Krzysztofowi Figlowi za udostępnienie archiwalnych materiałów i Adrianowi Kozielowi za jego pracę nad popularyzacją historii jednostki.

Dziękujemy radzie osiedla Zdrowie-Mania i miesz-kance, która chciała pozostać anonimowa, ale naprowadziła nas na kilka tropów. Dziękujemy Januszowi

Bilskiemu za zdjęcie z jego prywatnych zbiorów, a także Łódzkiemu Ogrodowi Zoologicznemu, Zakładowi Wodociągów i Kanalizacji w Łodzi i Ryszardowi Bonisławskiemu za udostępnienie archiwalnych fotografii. Dziękujemy firmie Bellussi. Dziękujemy również Studiu Filmowemu KADR i Centrum Fotografii Krajoznawczej PTTK za cenne materiały zdjęciowe oraz użytkownikom serwisu Fotopolska, a w szczególności Tomaszowi Tietze, Zeto i Baggio, którzy służyli nam pomocą lub dobrą radą.

Dziękujemy społeczności osiedla Montwiłła-Mireckiego na czele z Tadeuszem Krzemińskim i pozostałymi opiekunami Izby Pamięci. Dziękujemy Dorocie Fornalskiej za podzielenie się swoim zdjęciem i umożliwienie nam wysłuchania opowieści starszych mieszkańców osiedla, na podstawie których powstaje jej książka – o wiele bogatsza i bardziej szczegółowa niż nasz krótki rozdział. Dziękujemy Janinie Franaszek, dyrektorze Szkoły Podstawowej nr 40 za dostęp do szkolnego archiwum, a także Ewie Dybale, kierownicze Filii nr 3 Miejskiej Biblioteki Publicznej Łódź-Polesie im. Katarzyny Kobro za wsparcie i pokazanie nam dawnych bibliotecznych kronik. Dziękujemy

Justynie Wajnikonis-Maciejewskiej za unikalne zdjęcie ze zbiorów jej dziadka, Romana Wajnikonisa, a także Andrzejowi Braunowi, regionaliście i autorowi bloga Historia Nieznana, za fotografię ze zbiorów Alfreda Kissa.

Dziękujemy wszystkim naszym rozmówcom, bez których opowieści ta książka byłaby z pewnością o wiele mniej ciekawa. To właśnie Wasze wspomnienia ożywiły statyczny obraz tych okolic, a przechowywane przez Was zdjęcia i pamiątki rodzinne nadały „wielkiej” historii ludzki wymiar. Dziękujemy Wam wszystkim i każdemu z osobna: Małgorzacie Adamczyk, Jolancie Całej, Annie Lipińskiej, Romualdzie Dudce, Leszkowi Fecko, Karolinie Figiel, Zofii Figiel, Stanisławowi Koprowskiemu, Irenie Kubiszewskiej, Andrzejowi Kujawie, Stefanowi Kwapiszowi, Honoracie Malickiej, Bożenie Podstawczyńskiej, Adamowi Prukowi, Reginie Sicińskiej, Janowi Stawskiemu, Jadwidze Terpiał, Krystynie Trojanowskiej, Krystynie Tyrpiał, Ilonie Wojdydze i wszystkim tym, którzy ucinali z nami drobne pogawędki podczas naszych wędrówek po Złotnie, Zdrowiu i osiedlu Mireckiego, a których nie zdążyliśmy nawet spytać o imię.

Szczególne podziękowania należą się również pomocnym, kompetentnym i cierpliwym pracownikom oraz dyrekcji Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej im. Józefa Piłsudskiego w Łodzi, w szczególności zespołom z Czytelni Zbiorów Regionalnych i Działu Zbiorów Specjalnych – za ofiarną pomoc

w wyszukiwaniu materiałów i niezwykle przyjazne nastawienie.

Na koniec dziękujemy również Maćkowi Kronenbergowi za anielską cierpliwość, konsultację merytoryczną i wsparcie w trudnych chwilach.

Kamila Kula
Piotr A. Kowalczyk

Złotno, Zdrowie i osiedle im. Montwiłła-Mireckiego
w dokumentach i wspomnieniach mieszkańców

© Kamila Kula, Piotr A. Kowalczyk

© Centrum Inicjatyw na rzecz Rozwoju REGIO

© Urząd Miasta Łodzi

Wydanie I, 2017

Korekta: Michał Sobczyk

Projekt okładki i opracowanie graficzne: Magdalena Warszawa

Druk: recykplus.com

Fotografie współczesne: Kamila Kula, Piotr A. Kowalczyk

Fotografie archiwalne ze zbiorów: Janusza Bilskiego, Ryszarda Bonisławskiego, Andrzeja Brauna, Ewy Gojawiczyńskiej, Zenona Gorzkiewicza, Anny Lipińskiej, Honoraty Malickiej, Justyny Wajnikonis-Maciejewskiej, Anny Wiercińskiej, Archiwum Biblioteki Publicznej Łódź-Polesie Filii nr 3 im. Katarzyny Kobro, Archiwum szkolnego Szkoły Podstawowej nr 40 w Łodzi, Archiwum Państwowego w Łodzi, Klubu Miłośników Starych Tramwajów, Młodzieżowego Ośrodka Socjoterapii nr 3, Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej w Łodzi, Zakładu Wodociągów i Kanalizacji, Archiwum Map Wojskowego Instytutu Geograficznego

Wydawca: Centrum Inicjatyw na rzecz Rozwoju REGIO

ul. Kamińskiego 3/5 lok. 43, 91-427 Łódź

e-mail: biuro@regiocentrum.pl

www.regiocentrum.pl



ISBN 978-83-949070-0-6



Książka powstała w ramach
Budżetu Obywatelskiego
Miasta Łodzi za rok 2016/2017.